M.B. dru L. W. w Łodzi

WIDEONOTES
a w nim między innymi
o najnowszych technikach
wideo

Nr indeksu 36762PL ISSN 0472-5042 **str. 12**

Łódź
tygodnik społeczno-kulturalny
Odgłosy
NUMER 44 (1544) ROK XXX 31 PAŹDZIERNIKA 1987 ROKU CENA 25 ZŁ

■ Kupiłam duszę na bazarze — str. 13
■ Z kim zakładamy się w Totolotku? — str. 14
■ Kapłan i błazen — str. 8
■ Jak z Piotra N. robiono żołnierza — str. 15
■ „Dzieci Arbatu" — str. 10

Opowieść o takich, którzy chcą i potrafią!

Już wkrótce poród...

DARIUSZ DOROŻYŃSKI

Foto: Grzegorz Gałasiński

Hotel dla pielęgniarek prezentuje się naprawdę bardzo okazale. Nowoczesna bryła, a raczej architektoniczny „parawan" stworzony z różnej wielkości i wysokości ceglanych „klocków", z fantazyjnymi aletkami i zielonym dywanem trawników wewnątrz cieszy oko odmiennością, wyraźnym odejściem od smętnych, betonowych stereotypów. Gwarno tu i wesoło, hotel tętni życiem, na dodatek mieści się tu dyrekcja Pomnika Szpitala, więc ruch duży. Sporo ładnych dziewczyn, na co natychmiast zwrócił mi uwagę „szalony paparazzo" czyli Grześ Gałasiński, dyskretnie pstrykając kilka fotek spod pachy. Oko reportera jest jednak bezlitosne, obok piękna dziewczyn, niewątpliwej oryginalności rozwiązań architektonicznych wyłowi natychmiast perełki braku smaku, braku wyobraźni, a także prozaiczne „fuszerki". Niezależnie od niewątpliwie nowatorskiego usytuowania śmietnika na dziedzińcu hotelu (co prawda dla zmylenia malkontentów przybrał on formę małego betonowego planetarium ewentualnie muszli koncertowej...), zastanawia brak ogrodzenia w części centralnej, natomiast klasycznym partactwem nazwać trzeba zainstalowanie efektownej lampy oświetleniowej czyli latarni na środku chodnika vis a vis głównego wejścia do dyrekcji...

Grześ zniknął gdzieś, gdyż uzbrojony w „Canona", pod opieką przewodnika, łapać będzie najbardziej efektowne ujęcia naszej reprezentacyjnej budowy. Budowy, która śledzą oczy Polski i Polonii, budowy, z wizyty na której nie chce zrezygnować żadna, odwiedzająca Łódź delegacja.

Budowy, która szokuje tempem, ale przecież wszyscy chcemy by była dowodem naszych możliwości...

— *To mówisz pan, że miejsca w gazecie mamy ile dusza zapragnie?* — sprawdza mnie jeszcze raz doktor Jan Matczak, nerwowo nieco wertując kartki notatnika. — *Taaak, tu nie zdążę, tu dwa*

6

Belgradzka „Borba" drukuje fragmenty książki Roya Miedwiediewa „Wszyscy ludzie Stalina".

Kim był Wiaczesław Mołotow?

WITOLD BOROWY

Pamiętacie Arkadija Rajkina? Otóż ten popularny nie tylko w ZSRR aktor estradowy „dorobił się" zawału serca i leżał w szpitalu. Opiekował się nim jego osiemnastoletni wnuk. Któregoś dnia, gdy Arkadij Rajkin czuł się już dużo lepiej, jego wnuk siedział przy łóżku. Korytarzem przechodził jakiś staruszek. Na jego widok Arkadij Rajkin aż podskoczył na łóżku.

— *Ależ to on!* — zawołał.

— *Kto?*

— *Mołotow!*

— *A kto to jest Mołotow?* — zapytał wnuk zdziwiony niebywałym poruszeniem swego dziadka.

Anegdotę tę opisał w wydanej w 1976 roku książce „Rosjanie" amerykański dziennikarz Henry Smith. A przecież w roku wydania tej książki minęło dopiero 19 lat od daty pozbawienia Wiaczesława M. Mołotowa wszystkich funkcji partyjnych i państwowych za działalność frakcyjną oraz 15 lat od jego odejścia na emeryturę. Takie wymazywanie ze świadomości społecznej wielu działaczy partyjnych i państwowych różnych okresów nie tylko w ZSRR stało się możliwe na skutek tego, że w historii zapanował koniunkturalizm.

„*Koniunkturalizm* — powiedział radziecki historyk J. Polakow w rozmowie z dziennikarzem J. Jankowskim opublikowanej na łamach „Litieraturnoj Gazety" — *wyrządził nauce niemałe szkody. Przez długi czas ukierunkowywał on badaczy na to, by bezgranicznie uwypuklali te czy inne wydarzenia historyczne, wyolbrzymiali rolę jednych działaczy lub przeciwnie — pomniejszali ją na korzyść innych*".

Tenże J. Polakow przypomniał, że w wielu książkach i podręcznikach wydanych w ZSRR czytelnik nie znajdzie nazwisk wszystkich przewodniczących Rady Komisarzy Ludowych, a później Rady Ministrów ZSRR w ciągu 70 lat władzy radzieckiej. A było ich tylko... dziesięciu. Jednym z nich był właśnie Wiaczesław M. Mołotow.

Dziś można spokojnie zadać pytanie:

KIM BYŁ WIACZESŁAW MOŁOTOW?

I można spodziewać się, że na pytanie to nie padnie prawidłowa odpowiedź. Przypomnijmy zatem podstawowe fakty z jego życia.

Urodził się w 1890 roku w guberni wiackiej w szlacheckiej rodzinie. Nazywał się właściwie Wiaczesław Michajłowicz Skriabin. Gimnazjum kończył w Kazaniu. Tam też wstąpił do Socjaldemokratycznej Partii Robotniczej Rosji. Za działalność rewolucyjną został aresztowany w 1909 roku i zesłany na 2 lata do guberni wołogodzkiej. Po powrocie z zesłania rozpoczął studia w Instytucie Politechnicznym w Petersburgu. W latach 1912—1913 był redaktorem bolszewickich gazet „Zwiezda" i „Prawda". Początek wojny spędził w Moskwie. W 1915 roku aresztowany i zesłany do guberni irkuckiej, skąd zbiegł w 1916 roku. Po ucieczce z zesłania został dokooptowany do Biura Politycznego KC SDPRR (b).

Po rewolucji lutowej 1917 roku został członkiem Komitetu Wykonawczego Petersburskiej Rady Delegatów Robotniczych i Żołnierskich. Podczas Rewolucji Październikowej był członkiem Komitetu Wojskowo-Rewolucyjnego. Później pracował w KC Rosyjskiej Komunistycznej Partii (bolszewików) i Komunistycznej Partii (bolszewików) Ukrainy. W 1921 roku został wybrany członkiem i sekretarzem KC RKP(b), a od 1926 roku został członkiem Biura Politycznego Wszechzwiązkowej Komunistycznej Partii (bolszewików), pełnił też później funkcje członka Prezydium (równoznaczne z Biurem Politycznym) KC KPZR.

W latach 1930—1941 był przewodniczącym Rady Komisarzy Ludowych ZSRR oraz ministrem (ludowym komisarzem właściwie) spraw zagranicznych. W sierpniu 1939 roku jako ludowy komisarz spraw zagranicznych podpisał wspólnie z ministrem spraw zagranicznych III Rzeszy Joachimem von Ribbentropem pakt o nieagresji między Niemcami hitlerowskimi a ZSRR. W połowie listopada 1940 roku na zaproszenie ministra Joachima von Ribbentropa gościł w Berlinie.

Nie więc dziwnego, że w latach sześćdziesiątych, już po przejściu Wiaczesława Mołotowa na emeryturę, gdy przy bramie arbackiej spotkał go zmarły później na emigracji pisarz Anatolij Jakobson, to — będąc nieco pijanym — zawołał:

— *Jak się ma twój przyjaciel Ribbentrop?*

Wiaczesław Mołotow i jego żona Polina Żemczużina przeszli obok wołającego pisarza z kamiennymi twarzami, jakby to ich nie dotyczyło.

22 czerwca 1941 roku, w samo południe, Wiaczesław M. Mołotow, jako przewodniczący RKL, wygłosił słynne już przemówienie o napaści hitlerowskich Niemiec na ZSRR. Podpisany przed dwoma laty pakt o nieagresji z III Rzeszą nie na wiele się przydał.

23 czerwca 1941 roku utworzono Kwaterę Główną Dowództwa Sił Zbrojnych ZSRR, na czele której stanął Józef Stalin. Został on również przewodniczącym Rady Komisarzy Ludowych oraz ludowym komisarzem obrony. Zgromadził w swoim ręku ogromną władzę. Był bowiem ponadto sekretarzem generalnym KC WKP(b) oraz Wodzem Naczelnym Sił Zbrojnych ZSRR.

Wiaczesław Mołotow w tym czasie był ludowym komisarzem spraw zagranicznych, był też przez to uczestnikiem Konferencji Wielkiej Czwórki w 1943 roku w Teheranie oraz w 1945 roku w Jałcie i Poczdamie. Był pierwszym zastępcą przewodniczącego RKL a później pierwszym wicepremierem Rady Ministrów ZSRR. Był najbliższym współpracownikiem Józefa Stalina. A mimo to,

4

Odgłosy

Adres redakcji: 90-113 Łódź, ul. Henryka Sienkiewicza 3/5.

Telefony: redaktor naczelny 36-52-44.

sekretarz redakcji,

fotoreporter: 36-80-99.

publicyści: 36-77-70.

Redaktor naczelny: Lucjusz Włodkowski.

Zastępca redaktora naczelnego: Edmund Lewandowski.

Sekretarz redakcji: Grażyna Olechnowicz.

Kierownik działu literackiego: Henryk Pustkowski

Redaktor techniczny: Janusz Kozłowski.

Zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Andrzej Karolczak, Roman Kubiak, Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Paweł Tomaszewski, Jolanta Wrońska,
Grafik: Janusz Szymański-Glanc.
Fotoreporter: Grzegorz Gałasiński.
Korekta: Mariola Knaga, Jolanta Sawiuk.
Stale współpracują: Tadeusz Błażejewski, Bohdan Gadomski, Grzegorz Gazda, Jacek Głębski, Witold Kasperkiewicz, Andrzej Kempa, Wasyl Kocznow (Iwanowo), Marek Koprowski, Włodzimierz Krzemiński, Marek Mamos, Zenon J. Michalski, Ryszard Nakoniecznv, Adam Ochocki, Jerzy Panasewicz, Karol J. Stryjski, Maciej Świerkocki, Witold Werner.

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa — Książka — Ruch" 91-103 Łódź, ul. Sienkiewicza 3/5.

DRUK: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch" Łódź, ul. Armii Czerwonej 28

Redakcja nie zwraca nie zamówionych rękopisów i zastrzega sobie prawo do skrótów.

Warunki prenumeraty: 1. Dla instytucji i zakładów pracy — zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" zamawiają prenumeratę w tych oddziałach — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli 2. Dla indywidualnych prenumeratorów — osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-oddawczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora Wpłaty dokonuje się używając blankietu „wpłaty" na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa — Książka — Ruch" 3 Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa — Książka — Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw ul Towarowa 28 00-958 Warszawa konto NBP XV Oddział w Warszawie nr 1153-201045 139-11 Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc dla zlecających instytucji i zakładów pracy Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę — do dnia 10 listopada na I kwartał i półrocze roku następnego oraz cały rok następny — do dnia 1 każdego miesiąca — poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego

Zam. 3336. H-11.

Przegląd prasy

Na zaproszenie Chrześcijańskiego Stowarzyszenia Społecznego odwiedził Polskę brazylijski dominikanin — brat Betto. Jest rzecznikiem teologii wyzwolenia, działaczem społecznym, autorem głośnej książki „Fidel i religia". Ciekawą rozmowę z nim przeprowadził dla „TRYBUNY LUDU" (nr 27) Marek Jaworski.

Brat Betto opowiada się za zjednoczeniem wysiłków wszystkich ludzi dobrej woli. Współpraca taka rozwija się już w Ameryce Łacińskiej.

„Dla mnie — mówi — jako chrześcijanina, świat nie dzieli się na marksistów i katolików, lecz na rzeczników wolności i ucisku. Gdy ktoś mi mówi, że jest katolikiem — to mi nie wystarcza, tak samo gdy przedstawia się jako komunista. Hitler uważał się za chrześcijanina, a Stalin za komunistę. Chcę wiedzieć jakie dana osoba ma zrozumienie sprawiedliwości. Proces zbliżenia między marksistami i katolikami nie jest kwestią teorii, ale praktycznego doświadczenia. W Ameryce Łacińskiej katolików i komunistów zbliża problem straszliwej nędzy tych krajów, wynikającej z ich systemów społecznych — i wspólna chęć przezwyciężenia tego stanu Dla tamtejszych dyktatur wojskowych, jak i dla burżuazji, my wszyscy, nie godzący się z tym, jesteśmy komunistami. Europa powinna zrozumieć, że marksiści i katolicy w Ameryce Łacińskiej zbliżają się do siebie dlatego, że chcą uwolnić ludzi od nędzy".

ŚWIATOPOGLĄD MARKSISTOWSKI

nie odstrasza teologów wyzwolenia. Ateizmu mogą się bać tylko ci, którzy nie mają silnej wiary. Poza tym kwestie teologiczne nie są przedmiotem dyskusji. Obie strony rozmawiają o sprawach doczesnych: nędzy ludu, zadłużeniu zagranicznym, reformie rolnej itp W Brazylii — 27 razy większej od Polski, liczącej 141 mln ludzi — prawie co drugi obywatel cierpi głód, 40 mln żyje w głębokiej nędzy, 30 mln dzieci i młodzieży mieszka na ulicach, 360 tys. dzieci poniżej roku umiera corocznie z nędzy.

Marksiści i katolicy w Ameryce Łacińskiej pragną razem budować ustrój socjalistyczny, ale bez naśladowania żadnego gotowego wzoru. Chcą uniknąć popełnionych gdzie indziej błędów, w tym ateizacji społeczeństwa.

Brat Betto uważa, że znana teza Karola Marksa — *„Religia jest opium ludu"* — odnosi się do Niemiec w XIX wieku. Nie jest to ogólna i pryncypialna prawda. Marks i Engels rozpatrywali funkcję religii w kontekście historycznym. Komuniści nie powinni dziś mieć zastrzeżeń do religii, ani traktować marksizmu jako nowej religii.

Zakonnik brazylijski dostrzega dużą różnicę między kościołem swego kraju a kościołem polskim. Kościół w Brazylii nie praktykuje klerykalizmu i nie chce być siłą polityczną. Katolicy powinni działać w istniejących ruchach i partiach.

W świecie współczesnym nasilają się procesy sekularyzacji i laicyzacji. Tak jest w Europie Zachodniej i krajach socjalistycznych. Ale różne są rozmiary i

PRZYCZYNY SEKULARYZACJI.

O sprawie tej dyskutowali w końcu września br. publicyści katoliccy z Austrii, NRD, Węgier, Jugosławii i Polski. Miejscem obrad było austriackie miasteczko Eisenstadt. Niektóre wnioski przedstawia ksiądz Jan Miazek w „PRZEGLĄDZIE KATOLICKIM" (nr 42). Pisze między innymi:

„Sekularyzacja, wielki współczesny proces duchowy obejmujący wszystkie dziedziny życia ludzkiego, to świat i człowiek bez odniesienia do transcendencji. W tym obrazie świata zanika problem Boga, człowiek nie walczy już z Bogiem. Dla człowieka czasu sekularyzacji problem Boga nie istnieje. W świecie zachodnim jednostka i społeczeństwo odchodzą od Boga bez nacisku z zewnątrz. Człowiek ma prawo swobodnie wyznawać swą wiarę, ale potrzeba wiary w nim ginie, zamiera. Stąd ciągły spadek liczby wierzących i praktykujących, zeświecczenie życia rodzinnego i społecznego. Taki obraz wyłonił się w wystąpieniu przedstawiciela publicystów austriackich. W krajach socjalistycznych sytuacja jest bardziej złożona. Pomimo istniejących w Europie podziałów politycznych, zasadnicze prądy obejmują cały kontynent, różny jest jedynie stopień ich nasilenia. Sekularyzacja dotarła więc również do Europy Wschodniej, Środkowej i Południowej. Może najsilniej zaznacza się na południu, w Jugosławii, kraj ten posiada bowiem najwięcej możliwości kontaktu z Zachodem. W krajach socjalistycznych procesy sekularyzacyjne spotkały się z procesami laicyzacji; przy czym o ile sekularyzacja jest zjawiskiem niejako samoistnym, o tyle laicyzacja jest celowym działaniem zmierzającym do usunięcia religii z życia jednostki i społeczeństwa. Można powiedzieć, że w Europie socjalistycznej, przynajmniej w początkowym okresie budowy ustroju, właśnie laicyzacja wysunęła się na pierwsze miejsce. Sekularyzacja przychodziła nieco później i dotykała społeczeństwa w dużym stopniu już odsuniętego od religii".

Przedstawiciele krajów socjalistycznych rozróżniali w swych wypowiedziach to, co jest obecnie od czasów dawniejszych. Teraz mogą już mówić o pewnej liberalizacji. Ksiądz J. Miazek zastanawia się jednak, czy celowo nie łagodzi się laicyzacji na rzecz bardziej skutecznej sekularyzacji. W każdym razie na Wschodzie również maleje udział wierzących i praktykujących.

Publicyści z Jugosławii i NRD zazdroszczą Polakom występującej u nas formy cenzury (zaznaczanie ingerencji w tekście). Oni natomiast muszą uzyskać zgodę na rozpowszechnianie wydrukowanego już numeru. Przez to sami się „ocenzurowują": Jugosłowianie wobec urzędu kontroli, a Niemcy wobec urzędu pocztowego (państwowa poczta chce wiedzieć, co rozsyła do obywateli).

Sprawy religii i laicyzacji nie są dziś w Polsce najważniejsze. Zdecydowanie dominuje problematyka reform gospodarczych i politycznych. Na tym tle powstaje zresztą pewne

ZAMIESZANIE IDEOLOGICZNE.

Nie wiadomo bowiem jak ma się program reform do zasad ideologicznych i teoretycznych socjalizmu. Ortodoksi nie mogą znaleźć dla siebie miejsca. Niektórzy ostrzegają przed niedocenianiem ideologii. Konsekwentnie to czyni na łamach tygodnika „SPRAWY I LUDZIE" (nr 41) Hieronim Orzeszek W ostatnich notatkach „zgryźliwego dogmatyka" czytamy:

„A więc, towarzysze, klamka zapadła. Cokolwiek, ktokolwiek prywatnie i osobiście sobie myśli o tzw. drugim etapie reformy (nie tylko gospodarczej), jakiekolwiek nachodzą go ewentualne wątpliwości — przestaje się liczyć. Musi przestać się liczyć! Jest uchwała V Plenum KC naszej partii i w myśl statutu PZPR stanowi to dla nas kategoryczną dyrektywę. Skoro tak jest, to wbrew temu, czymżeśmy nasiąknęli przez parę dziesiątków lat, trzeba będzie wszystko przeliczać na pieniądze, najlepiej wymienialne... Co się zaś tyczy ideologii, to jak widać z tzw. sond przeprowadzonych przez partyjnych respondentów z tzw. przeciętnymi ludźmi z tzw. ulicy (przeważnie czy wyłącznie z Warszawy) — jest ona obywatelom PRL zupełnie niepotrzebna. Sondaże telewizyjne bezlitośnie demistyfikują problemy ideologiczne i faceci zaproszeni do dziennika telewizyjnego (którego ogólne nadkierownictwo przejął tow. Bilik) mówią wprost, że ideologia to mitologia. Czyżby więc ANS czekało przemianowanie na Akademię Mitologii Społecznej? Mówiąc wciąż o tym samym: Bardzo dobrze się stało, że pod koniec dnia odbywania się V Plenum poproszono do telewizji przedstawiciela PAP z Londynu, redaktora Jackowskiego, który w nadzwyczaj prostym i inteligentnym wywodzie dowiódł nam, jak błogosławione dla Wielkiej Brytanii są skutki rządów pani Thatcher. Była ona w polityce reprywatyzacyjnej i strukturalnej konsekwentna, nie ulękła się związków zawodowych, przeprowadziła — jak to ujęto — demokratyzację gospodarki, no i proszę: Anglia wyszła z kryzysu! — Wszystko dobrze, ale nie zapominajmy, że Anglia ma jeszcze królową!"

Hieronim Orzeszek ironizuje dalej, że Krzysztof Teodor Toeplitz stanowi teraz wzorzec idealnego wykładowcy szkolenia partyjnego. Autor kpi też sobie z poważnego „Tygodnika Powszechnego", który z okazji obchodów 800-lecia urodzin św. Franciszka przypomniał o cudzie nawrócenia wilka.

„I to jest optymistyczne. — konstatuje H. Orzeszek — samego wilka dało się kiedyś »nawrócić«..."

Przechodząc do spraw gospodarczych, pragnę zwrócić uwagę na dwa teksty: artykuł Witolda Gadomskiego w katolickim tygodniku społecznym „ŁAD" (nr 23—160) i rozmowę w „POLITYCE" (nr 43) Jerzego Kleera z byłym wicepremierem i przewodniczącym Komisji Planowania — Manfredem Gorywodą. Pierwszy tekst przedstawia

ROZMIARY INFLACJI.

O inflancji w naszej gospodarce zaczęto mówić pod koniec lat siedemdziesiątych. Przedtem nie było to zjawisko znane gospodarce socjalistycznej. W latach 1960—1970 średni wzrost cen wynosił zaledwie jeden procent rocznie. Wynikał tylko ze sporadycznie przeprowadzanych akcji podwyżek. Samoczynny mechanizm inflacyjny został uruchomiony dopiero później. Ekipa Edwarda Gierka początkowo obawiała się protestów związanych z podwyżkami cen. Witold Gadomski pisze:

„Nowe władze przez 6 lat nie ośmieliły się podnieść cen żywności, a później w 1976 roku wycofały się szybko z kolejnej podwyżki cen. Mimo to ceny zaczęły rosnąć wyraźnie szybciej niż w dekadzie poprzedniej. W latach 1970—75 średnioroczny wzrost cen wynosił 2,1 proc., w okresie 1975—80 już 6,5 proc.

Potem powstała ogromna luka inflacyjna. Miała ją zlikwidować 100-procentowa podwyżka z marca 1982 roku. Tymczasem nadal szybko rosły płace i ceny. W latach 1983—86 wskaźniki wzrostu cen detalicznych wynosiły: 1983 — 21,9 proc., 1984 — 14,5 proc., 1985 — 14,3 proc., 1986 — 17,6 proc. W pierwszej połowie bieżącego roku wskaźnik ten wzrósł do ponad 20 procent.

Teraz okazuje się, że konieczna jest następna duża regulacja cen zaopatrzeniowych i detalicznych — w tym także cen żywności. Nie odbędzie się to bez konsultacji i akceptacji społecznej, co mocno podkreślił premier Zbigniew Messner w Sejmie.

„Proponujemy przede wszystkim — mówi Manfred Gorywoda — *zniesienie dotacji do cen węgla i energii, z wyjątkiem 10—11 kopalń o krańcowo wysokich kosztach wydobycia. Na ten wyjątek jesteśmy zdecydowani jedynie z uwagi na napięty bilans paliw. Przewidujemy również urealnienie innych cen surowców i materiałów produkcji krajowej, jak np. wyrobów walcowanych. Skala dotacji jest tu nadmierna, w latach minionych nie udało się jej zmniejszyć".*

Wzrost cen środków produkcji dla rolnictwa musi spowodować podwyżkę cen artykułów żywnościowych. Ale przyjęto trwałą zasadę, że ruch cen podstawowych artykułów (mięso i jego przetwory, chleb, mąka, kasza, makaron, mleko, napoje mleczne, sery, masło, tłuszcze roślinne i zwierzęce, cukier) będzie rekompensowany. Rząd rozumie, że na te sprawy społeczeństwo nasze jest szczególnie wyczulone.

E.L.

Niedziela, 25 października 1987 roku

Jeśli nie my, to kto?

Ulubioną rozrywką Polaków jest zbawianie ojczyzny. Niech tylko zbierze się „doborowe grono", niech sobie nieco wypiją, a już nad stołem krzyżują się recepty na lepsze jutro. Rano zbawiciele wstają najczęściej z bólem głowy i niechęcią do skrzeczącej wokół rzeczywistości. Po wczorajszych uniwersalnych receptach nie pozostało nawet wspomnienie. I oto nadszedł taki czas, gdy już nie przy biesiadnym stole, ale wobec siebie samego trzeba się opowiedzieć. Za czym? Ano za sposobem zmiany owej skrzeczącej codziennie rzeczywistości. Sprawa jednak nie jest prosta.

Zadzwonił do mnie Czytelnik z Widzewa i bardzo narzekał na swoich współobywateli. Też o niektórych z nich nie mam dobrego zdania. Są wśród nas lenie, dranie, ale są też ludzie uczciwi, pracowici, którym ciągle jeszcze o coś chodzi, dla których Polska nie jest tylko słowem o pustym brzmieniu. Wszakże ów Czytelnik z Widzewa powiedział otwarcie: do referendum nie pójdę, już w nic nie wierzę, a przede wszystkim nie wierzę w to, że z moimi rodakami da się coś zmienić.

Słyszałem też wypowiedź łódzkich robotnic, które owszem były za postępem i bardzo chciałyby, aby można było szybko uporać się z naszymi kłopotami, nawet kosztem różnych wyrzeczeń, ale nie mają gwarancji, że to się powiedzie. Boją się ryzyka, bo wiedzą, że koszt tego ryzyka one poniosą. One i ich rodziny.

Rozumiem ten niepokój i te obawy. Byłbym człowiekiem obłudnym, gdybym napisał, że sam nie mam obaw i wątpliwości. Mam. Ileż już poznałem pięknych programów, zachwycałem się — również w piśmie — pięknymi zamierzeniami. Czego to nie mieliśmy dokonać. I jakoś nie dokonaliśmy. Przeciwnie. Znaleźliśmy się na końcu europejskich statystyk, co niektórzy publicyści pięknie nazywają „czerwoną latarnią" Europy. Może to i piękne określenie, ale smutne i zmuszające ludzi myślących do wstydu. Jak to, my Polacy na samym końcu? Ano taka jest prawda. A przecież chcieliśmy dobrze. Mieliśmy piękne zamiary. Czy ktoś nam przeszkodził w ich realizacji, czy też sami spartoliliśmy?

Weźmy choćby owe sporne 6 ostatnich lat. Ciągle słyszę, że ludzie są przekonani, iż zmarnowaliśmy owe 6 lat. Premier Zbigniew Messner powiedział w Sejmie, że „okres tych 6 lat z pewnością nie został stracony", ale też zaraz dodał, że „można było oczywiście zrobić więcej". Jest w tym niewątpliwie prawda. Tylko, kto ponosi za to winę, jeśli już rzecz rozpatrywać w takich kategoriach. Czy winę ponosi rząd, że działał zbyt ostrożnie, połowicznie, niekonsekwentnie? Czy może każdy z nas ponosi część tej winy, bo nie zmienił sposobu myślenia, bo ciągle czekał, aż ktoś coś zrobi za niego, bo chętnie reformowałby innych, byle jemu dano święty spokój? Jest to pytanie, na które każdy z nas sam przed sobą musi odpowiedzieć.

Ludzie sprawujący władzę — jak to ludzie — lubią, żeby dostrzegać ich wysiłek, pochwalić za to, co robią, bo — ich zdaniem — robią tyle, ile mogą, a czasem nawet więcej. Ludzie nie sprawujący władzy oczekują najczęściej cudu i są ciągle rozczarowani, bo spodziewali się, że wszystko co złe zniknie z naszego życia szybciej, że zmiany nastąpią prędzej i będą bardziej trwałe, bardziej głębokie. A tak się nie stało. Dlaczego? Chyba dlatego, że ciągle nie potrafimy — ja, ty, on, oni, my — zmienić naszego sposobu myślenia, inaczej spojrzeć na otaczającą nas rzeczywistość, spróbować zrozumieć, że jeśli nie my coś zmienimy, ulepszymy, to kto to ma zrobić? Zbyt mocno utrwalili się w nas dogmat o tym, że tak mało od nas zależy. I jeśli nie obalimy tego dogmatu, jeśli nie zrozumiemy, że od nas musi wiele zależeć, to boję się, że nie pomogą żadne referenda, żadna demokratyzacja, żadne reformy, bo nie będzie kto miał tego robić. Zbyt mocno w wielu z nas tkwi przekonanie, że wystarczy, aby tam, w Warszawie byli mądrzy ludzie i mądrze za nas rządzili. A takie myślenie — to niewybaczalny błąd!

Weźmy prosty przykład. Ileż czasu tracimy na bzdurnych, nikomu niepotrzebnych — poza urzędnikami wypełniającymi zbiorcze arkusze statystyczne — naradach i posiedzeniach. Ale przecież ktoś je mimo tej świadomości organizuje, ktoś na nie przychodzi, ktoś na nich wygłasza pełne pustosłowia referaty, ktoś udaje, że dyskutuje, ktoś znudzony drzemie, ktoś coś czyta pod stołem, ktoś zdenerwowany wychodzi... A czy ktoś wstał i powiedział, że to wszystko nie ma sensu, że to strata czasu, że to w konsekwencji działalność szkodliwa? Jakoś nie słyszałem o takich bohaterach. Sam zresztą też tego nie zrobiłem, po prostu przestałem na wiele narad chodzić.

Popadliśmy w układy, zależności, współzależności. Ileż to razy pisałem przy różnych okazjach, że „Prawo prasowe" chroni informatorów i dziennikarz nie może ujawnić swego informatora, że nadawcy listów mają zagwarantowaną anonimowość, jeśli sobie tego życzą. I co? I nic. Nadal zdarzają się listy anonimowe, nie podpisane, albo podpisane cudzym imieniem i nazwiskiem i opatrzone fałszywym adresem. Trzeba z tym walczyć, ale trudno się niekiedy ludziom dziwić, gdyż ich sposób myślenia kształtował się w warunkach pełnej podejrzliwości, powszechnego braku zaufania, kiedy zakładano, że każdy z nas jest potencjalnym wrogiem, rewizjonistą, dogmatykiem, złodziejem, oszustem, a w najlepszym razie cwaniakiem, co też było podejrzane. Czy już od tego odeszliśmy? Boję się, że daleko nam do tego, że czynimy dopiero pierwsze kroki. I że właśnie te układy, zależności, koterie, to była — i jest — swoista obrona przed tą powszednią podejrzliwością. Komuś trzeba przecież ufać, na kimś polegać.

I oto stajemy przed koniecznością zmienienia tego wszystkiego. I musimy siebie zapytać, czy chcemy to zmieniać szybko, co wymagać będzie poświęcenia, strat, dokuczliwości, rosnących trudności. Nikt nam nie obiecuje złotych gór, ale uczciwie określa okres tych trudności na 3 lata. A jak znów nie wyjdzie? A jak będzie to musiało — z bardzo różnych przyczyn — potrwać powiedzmy 4 lub 5 lat? Gwarancji nikt nam nie da. Gwarancją może być tylko nasza praca, nasz inny, nowy, rewolucyjny sposób myślenia i postępowania. Ale czy nas stać będzie na to? Wszystkich? Większość? Mniejszość tylko? Na te pytania nikt nam nie da gotowych odpowiedzi. Wszystko dopiero sprawdzi się w praktyce, którą sami będziemy kształtowali. Dlatego tak trudno nam się na coś już teraz, zaraz zdecydować.

Bo gdyby to nie od nas zależało. Gdyby nas się tylko pytano, czego sobie życzymy, a później dano by nam tę rzeczywistość przez nas wymarzoną. Ale tak nie będzie. I dlatego powinniśmy mieć w pamięci to bardzo mądre określenie Michaiła Gorbaczowa: Jeśli nie my, to kto, jeśli nie teraz, to kiedy? Jest to miara naszego zrozumienia współczesności. Można przecież stanąć w miejscu, ale nie można zatrzymać czasu. Niestety. Trzeba wybierać między świętym spokojem a przyszłością Polski. Może to i zabrzmiało patetycznie, ale taka jest obiektywna prawda. Innej nie ma. I nie moja to wina.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Nie Polska dla Polaków, ale Polacy dla Polski

Człowiek, który dał imię ulicy

ANDRZEJ FELCHNER I BOŻENA KRZEMIŃSKA

Urodzony 12 czerwca 1882 r. w Barchowie koło Węgrowa. Dzieciństwo i młodość przeżył w trudnych warunkach niewoli w zaborze rosyjskim. Do Łodzi przybył w końcu XIX wieku, aby uczyć się w państwowym gimnazjum. Uczył się następnie w Siedlcach, Warszawie i Carskim Siole, gdzie w 1904 r. — jako ekstern otrzymał maturę. Miał wtedy 22 lata. Nazywał się Antoni Stanisław Więckowski.

Rozpoczął studia humanistyczne na Uniwersytecie Warszawskim. Był świadkiem i zapewne uczestnikiem burzliwych wydarzeń lat 1904—1905. Związał się wtedy z organizacjami PPS. Po strajku uniwersyteckim wyjechał do Krakowa. Podjął tam studia na Wydziale Lekarskim Uniwersytetu Jagiellońskiego, uwieńczone w 1911 r. dyplomem doktora wszech nauk lekarskich. Miał wtedy 29 lat.

Powrócił do Łodzi i zaczął pracować w szpitalu psychiatrycznym Kochanówka, wówczas leżącym poza granicami miasta. Szybko awansował — został ordynatorem, a następnie zastępcą dyrektora szpitala.

Wybuchła wojna światowa.

Front zbliżył się do Łodzi. Leżąca dotąd na uboczu, przy drugorzędnej drodze z Aleksandrowa do Łodzi, Kochanówka, znalazła się w czasie jesiennych walk o Łódź na pierwszej linii działań wojennych. Stworzyło to zagrożenie dla pacjentów. Antoni S. Więckowski wykazał się odwagą i poświęceniem, wyprowadzając, pod ostrzałem, z oblężonego szpitala chorych i ratując jego co cenniejsze wyposażenie.

Kiedy w końcu 1914 r. wojska rosyjskie opuściły miasto, z inspiracji, przebywającego wówczas w Łodzi znanego działacza PPS, Jędrzeja Moraczewskiego zorganizował Koła Patriotów. Prowadził kursy dla pielęgniarzy i analfabetów. Pisywał artykuły do niepodległościowych czasopism.

W lutym 1916 roku Antoni S. Więckowski wstąpił do Legionów Polskich, służył jako lekarz batalionowy w 6 pułku piechoty III Brygady. Uczestniczył w walkach pod Optową, Sitowiczami i nad Styrem. Po wycofaniu Legionów z pierwszej linii walki był lekarzem w 2 i w 3 pułku piechoty. W chwili odzyskania przez Polskę niepodległości — 10 listopada 1918 r. — już w randze kapitana — powrócił do Łodzi.

W Łodzi objął stanowisko lekarza formowanego 28 pułku piechoty. Był też naczelnym lekarzem wojska stacjonującego w mieście, wreszcie komendantem szpitala wojskowego.

Kiedy wybuchła wojna z Rosją Radziecką wyruszył na front. Jako doświadczony lekarz i oficer objął dowództwo 402 szpitala polowego, a w 1920 roku został mianowany szefem sanitarnym 10 dywizji piechoty. Powrócił do Łodzi w początkach 1921 r., już w stopniu podpułkownika. Objął stanowisko kierownika Wydziału Superrewizyjno-Inwalidzkiego w Dowództwie Okręgu Korpusu nr IV. Dał się poznać jako lekarz i oficer o dużych umiejętnościach fachowych i organizacyjnych. W 1929 roku otrzymał stopień pułkownika.

W 1925 r. został ordynatorem oddziału okulistycznego łódzkiego 4 Szpitala Okręgowego; w 1930 r. — komendantem tej placówki.

Praca w wojsku nie zaspokajała jego życiowych i zawodowych aspiracji.

Podjął więc działalność oświatową. Był organizatorem i wykładowcą różnego rodzaju kursów dokształcających; w 1921 r. założył pierwsze w Polsce gimnazjum wieczorowe dla dorosłych — Gimnazjum POW.

W 1923 r. dojrzały już, bo 40-letni człowiek znany i ceniony w łódzkim środowisku lekarz i oficer rozpoczął studia historyczne na Wydziale Filozoficznym Uniwersytetu Jagiellońskiego. Był to z pewnością powrót do jego młodzieńczych zainteresowań humanistyką. Ale nie tylko. Studia te dawały mocne postawy do coraz szerszej pracy pedagogicznej i oświatowej. Wieńczy je absolutorium, uzyskane w maju 1928 r. Wraz z nim otrzymuje Antoni S. Więckowski dyplom nauczyciela szkół średnich ze specjalizacją historii i nauk obywatelskich.

W końcu lat 20 został członkiem zarządu, a następnie — prezesem Stowarzyszenia Gimnazjum Żeńskiego im. E. Orzeszkowej. Uczył również historii w prywatnej szkole żeńskiej Sobolewskiej-Konopczyńskiej. Właśnie za działalność na niwie oświatowej uhonorowany został w 1929 r. Złotym Krzyżem Zasługi.

Równolegle z pełnieniem odpowiedzialnych stanowisk w wojsku uczestniczy w seminariach historii starożytnej UJ, prowadzonych przez wybitnego znawcę starożytności — prof. dr. Ludwika Piotrowicza. Plonem naukowych zainteresowań w tej dziedzinie była rozprawa „Julian Apostata jako administrator i prawodawca", która ukazała się drukiem w 1930 r. W trzy lata później stała się ona podstawą do uzyskania promocji doktorskiej.

W obronie zasad demokracji, tolerancji, równych praw dla wszystkich obywateli związał się z powstałą w 1921 r. organizacją „Liga Obrony Praw Człowieka i Obywatela". Należąc do lewicy legionowej wkrótce stał się jej aktywnym członkiem, współpracował w utworzeniu łódzkiej filii Ligi. Dość wcześnie też stał się wolnomularzem.

Był współzałożycielem i długoletnim mistrzem powstałej w 1926 r. w Łodzi loży im. Gabriela Narutowicza. Obok niego członkami byli znani łódzcy lekarze: Wincenty Tomaszewicz, Seweryn Sterling i Antoni Tomaszewski oraz działacze oświatowi i pedagodzy: Stefan Kopciński, Leon Starkiewicz i Zygmunt Lorentz. Nie ulega wątpliwości, że przynależność do wolnomularstwa wywarła istotny wpływ na kształtowanie się osobowości, postawy i poglądów przyszłego działacza politycznego. Przysporzyła też Antoniemu S. Więckowskiemu wielu wrogów, wywodzących się zwłaszcza z silnej w okresie międzywojennym w mieście narodowej demokracji oraz z kręgów związanych z Kościołem.

Na początku lat 30 otrzymał propozycje objęcia stanowiska szefa sanitarnego Dowództwa Okręgu Korpusu, najpierw w Lublinie — a kiedy jej nie przyjął — w Przemyślu, którą też odrzucił. W 1934 r. zaproponowano mu stanowisko szefa sanitarnego DOK nr IV w Łodzi. Antoni S. Więckowski objął tę funkcję 30 kwietnia 1935 r.

Jego opinie służbowe z tego okresu pełne są pozytywnych ocen. W 1934 r. dowódca łódzkiego OK i bezpośredni zwierzchnik — gen. bryg. Stanisław Małachowski napisze o nim: *„jako szef sanitarny — b. dobry. Na zajmowanym stanowisku przejawia b. dużo inicjatywy i bardzo duże zdolności organizacyjno-administracyjne. Wywiera b. dobry wpływ na żołnierzy"*. A mimo to 30 listopada 1935 r., w wieku 53 lat, przeniesiony został w stan spoczynku.

Jego odejście z wojska było z jednej strony sprawą wówczas normalną, ale z drugiej — w pewnym stopniu — wynikiem sytuacji, jaka wytworzyła się po śmierci Józefa Piłsudskiego. Dekompozycji uległ wtedy obóz rządzący, związany z osobą Marszałka Piłsudskiego. Poważne zmiany nastąpiły również w kierownictwie wojska — w tym także garnizonu łódzkiego. Nie sposób wreszcie nie podkreślić, że II połowa lat 30 — to okres znacznej aktywności Ligi Obrony Praw Człowieka i Obywatela. Organizacja ta, której przewodniczył wówczas Andrzej Strug — znany pisarz, będący zresztą także Wielkim Mistrzem Polskiej Masonerii, stała się w owym czasie — terenem jednolitej działalności KPP i PPS oraz wielu postępowych sił społecznych w obronie demokracji i swobód obywatelskich. Znane były jej apele w obronie więźniów politycznych, protesty przeciwko obozowi w Berezie Kartuskiej, ostrzeżenia przed coraz groźniejszym włoskim i niemieckim faszyzmem. Antoni Stanisław Więckowski, jako aktywny członek Ligi, uczestniczył w wielu jej akcjach, bądź za nie był współodpowiedzialny. Nie przysporzyło mu to z pewnością sympatii przełożonych i władz. Broniła go legionowa przeszłość i nienaganna służba wojskowa. Kiedy jednak zmieniła się sytuacja, uznano, iż nadszedł dogodny moment, aby pozbyć się oficera, którego poglądy i działalność były dla ówczesnych władz coraz bardziej kłopotliwe. Dla Antoniego S. Więckowskiego przejście na emeryturę otwierało nowy etap życia.

Po śmierci Andrzeja Struga staje na czele łódzkiego oddziału Ligi Obrony Praw Człowieka i Obywatela i kieruje nim do listopada 1937 roku, tj. do czasu rozwiązania jej przez władze. Pochłania go praca naukowa i społeczna. W 1936 roku wraz ze Stefanią Skwarczyńską, Teodorem Viewegerem, Janem Dylikiem zakłada Towarzystwo Przyjaciół Nauk w Łodzi, w czerwcu 1938 roku został członkiem władz łódzkiego oddziału Polskiego Towarzystwa Historycznego.

Swoją wiedzę historyczną przekazywał słuchaczom miejscowego oddziału Wolnej Wszechnicy Polskiej, prowadząc tam w roku akademickim 1938/39 cykl wykładów: „Następcy Konstantyna Wielkiego" — rezygnował z wykonywania zawodu lekarza — pracował w ambulatorium na Bałutach, tej największej wówczas i wyjątkowo zaniedbanej dzielnicy Łodzi. Utrzymywał także żywe kontakty z młodzieżą — od 1935 r. wraz z żoną Marią organizował Ogniska Pracy Patronatu nad Nieletnimi.

Na ostatnie lata II Rzeczypospolitej przypada niezwykle ważny okres życia Antoniego S. Więckowskiego — działalność w łódzkim Klubie Demokratycznym, a później — Stronnictwie Demokratycznym.

15 października 1937 r. utworzony został w Warszawie — pod przewodnictwem znanego lekarza — pediatry prof. dr. Mieczysława Michałowicza — Klub Demokratyczny. Dał on początek u schyłku II Rzeczypospolitej zorganizowanemu ruchowi politycznemu demokratów polskich.

Ogromną rolę w tych procesach odegrał Antoni S. Więckowski. W dwa miesiące po utworzeniu Warszawskiego Klubu Demokratycznego, z jego inspiracji i pod jego przewodnictwem 15 grudnia 1937 roku w jednym z mieszkań przy ul. Jana Kilińskiego 86 odbyło się zebranie grupy działaczy polityczno-społecznych. Najliczniejszą grupę spośród nich stanowili pracownicy umysłowi, rekrutujący się z pracowników Rady Miejskiej w Łodzi; sporo było lekarzy, nauczycieli łódzkich szkół średnich, a także kupców. Powołano wówczas komitet organizacyjny, który doprowadził do zwołania konstytucyjnego łódzkiego Klubu. Odbyło się ono 7 lutego 1938 r. z udziałem — jak to określiła miejscowa prasa — *„około 100 osób, rekrutujących się ze wszystkich sfer społeczeństwa łódzkiego"*. Wybrano wówczas władze łódzkiego Klubu Demokratycznego, funkcje prezesa powierzono Antoniemu S. Więckowskiemu. Wiceprezesami zostali: prof. dr med. Wincenty Tomaszewicz — znany w Łodzi lekarz — społecznik, organizator szpitali i sanatoriów łódzkich, wieloletni lekarz naczelny Kasy Chorych oraz Kazimierz Gallas — działacz samorządowy.

Od początku swego istnienia Klub Demokratyczny nawiązał współpracę z łódzką organizacją PPS. Wojewoda łódzki w jednym ze swych sprawozdań informował, że *„Klub Demokratyczny prawdopodobnie zupełnie ściśle zwiąże się z PPS, stanowiąc nie formalnie, ale praktycznie przybudówkę inteligencką"*. Antoni S. Więckowski często i chętnie przemawiał na różnego rodzaju wiecach i zgromadzeniach. Był dobrym mówcą.

Jego artykuły w latach 1937—39 ukazywały się na łamach pism zbliżonych do kół demokratycznych, takich jak: „Epoka", „Czarno na Białem", „Orka na Ugorze", a także na łamach PPS-owskiego „Robotnika". Stanowiły one dość dobrą wykładnię poglądów Antoniego S. Więckowskiego na wiele zjawisk ówczesnego życia społeczno-politycznego. Na robotniczym wiecu ostrzegał, iż: *„na wyjałowionym — w sensie ideowym — gruncie życia politycznego pleni się chwast obcej, wrogiej nam ideologii hitleryzmu. Brunatna fala zalała już Gdańsk, pochłania setki tysięcy obywateli polskich pochodzenia niemieckiego, zamula i znieprawia dusze nie mniej licznych, rdzennych Polaków"*.

W jednym z artykułów tak formułował zadania dla nowego ugrupowania politycznego: *„i dlatego musi się znaleźć w Polsce odpór przeciwko zalewowi fali faszyzmu i dlatego wysiłek demokracji, której zadaniem jest kontynuować wielkie tradycje naszych dziejów musi być zwarty i jednolity"*. W tym samym artykule uzasadnił, iż *„razem z całą demokracją polską jesteśmy przekonani, że najbardziej palącą koniecznością jest wspólny, zbiorowy wysiłek, aby rozerwać pęta złowieszczej sieci"*.

W artykule „Platforma ideowa Klubu Demokratycznego" tak interpretował pojęcie demokracji: *„Ideały demokracji zorganizowanej w Klubie odbiegają daleko od myśli o jakichkolwiek przewrotach czy przełomach. Przeciwnie, przekonani o głębokiej prawdzie rządzącej światem zasady ewolucyjnej pragniemy współpracować w dziedzinie jej realizacji w zakresie stosunków społeczno-politycznych w naszej Ojczyźnie"*.

W czerwcu 1938 r. zapadła decyzja o utworzeniu Stronnictwa Demokratycznego, na 19 września zwołano zebranie komitetu organizacyjnego łódzkiego okręgu SD. Na czele tego Komitetu stanął Antoni S. Więckowski. Intensywne prace zmierzające do utworzenia SD zbiegły się z rozpoczynającą się w tym okresie w Łodzi i innych miastach kampanią wyborczą do samorządu miejskiego. Dla nowego ugrupowania politycznego była to pierwsza, poważna kampania polityczna, w której postanowiono wziąć udział — w sojuszu z z PPS, klasowymi związkami zawodowymi oraz innymi postępowymi partiami i organizacjami.

W zamieszczonym 15 grudnia 1938 r., na łamach „Epoki" artykule Antoni Stanisław Więckowski — *„wybitny szermierz demokracji i postępu"* pisał: *„organizująca się we własnym stronnictwie demokracja polska stanęła w obliczu wyborów, w chwili swych narodzin jako grupa ukonstytuowana..."*

Warto w tym miejscu, choć w skrócie, przypomnieć najważniejsze punkty programu wyborczego SD, odnoszącego się w dużej mierze do spraw łódzkich, lokalnych. Odpowiadał on ówczesnym potrzebom społecznym i co ciekawe, nie w pełni się chyba zdezaktualizował. Program ten postulował m.in.: wyzwolenie samorządu z pęt biurokracji, usprawnienie opieki lekarskiej nad matką, dzieckiem i młodzieżą, podniesienie zdrowotności miasta, zwiększenie liczby łóżek szpitalnych, rozwinięcie budownictwa tanich mieszkań, założenie Akademii Medycznej, zapewnienie pomocy dla Wolnej Wszechnicy Polskiej. Wśród punktów tego programu znalazł się także postulat dotyczący pomocy kredytowej dla rzemieślników i drobnego handlu.

W wyniku wyborów, które odbyły się 18 XII 1938 r., łódzka organizacja SD wprowadziła do Rady Miejskiej 3 swoich przedstawicieli: dr. A. S. Więckowskiego i prof. dr. W. Tomaszewicza. Na kilka miesięcy przed wybuchem wojny, w lutym 1939 r. odbyło się pierwsze posiedzenie nowej Rady. Występując w imieniu SD A. S. Więckowski powiedział:

„Organizująca się we własnym stronnictwie Demokracja Polska w Łodzi przystępuje do prac na terenie samorządowym w oparciu o te same zasady służby w imię dobra ogółu obywateli, jakimi kieruje się niezmiennie we wszystkich przejawach swojej działalności publicznej. Gdy mówię o ogóle o-

bywateli, stwierdzam tym samym, że odrzucamy możliwości czynienia jakichkolwiek dyskryminacji czy różnic w stosunku do obywateli w zależności od ich wyznania, pochodzenia czy pozycji socjalnej. W szczególności jesteśmy zdecydowanymi przeciwnikami rasizmu — ciężkiej klęski czasów obecnych. Z uwagi na charakter wielkoprzemysłowy naszego miasta i na olbrzymią większość robotniczą jego mieszkańców, rozumiemy, że gospodarka samorządowa Łodzi winna mieć w pierwszym rzędzie na uwadze interesy najszerszych warstw umysłowych i fizycznych robotników i to zarówno interesy dotyczące dóbr materialnych, jak i duchowych. W przeświadczeniu, że obecna większość socjalistyczna Rady Miejskiej realizować będzie na jej terenie cele i zadania, które są jednocześnie naszymi tutaj celami — współdziałać z nią chcemy jak najściślej, zachowując jednak wraz z odrębnością organizacyjną niezależny nasz osąd dla spraw kardynalnych".

Przemówienie zakończył słowami: *„Nie Polska dla Polaków, ale Polacy dla Polski"*.

Przemówienie to spotkało się z ostrym atakiem prawicowych radnych, a sam Antoni Stanisław Więckowski obrzucony został niewybrednymi epitetami.

15 kwietnia 1939 r. zebrał się w Warszawie I Zjazd (Kongres) Stronnictwa Demokratycznego. Prezesem Zarządu Głównego SD wybrano prof. dr. M. Michałowicza; jednym z czterech wiceprezesów władz naczelnych SD został Antoni S. Więckowski.

Kiedy nadszedł wrzesień 1939 r. Antoni S. Więckowski nadaremnie szukał swego miejsca w wojsku. Zdając sobie sprawę z grożących mu niebezpieczeństw w grudniu 1939 r., po włączeniu Łodzi do Kraju Warty wyjechał do Warszawy. Nawiązał tam kontakty z działaczami SD. W styczniu 1940 r., po ustąpieniu ze stanowiska prezesa ZG SD — prof. dr Mieczysława Michałowicza — objął kierownictwo Stronnictwa Demokratycznego, które w konspiracji przyjęło kryptonim „Prostokąt". Sam posługiwał się pseudonimami „Doktor" i „Piotr".

Nie zrezygnował z publicystyki politycznej. W jednym z artykułów drukowanych w konspiracyjnej prasie SD pisał iż: *„dalsze losy kraju (...) zależne będą jedynie od tego czy polska lewica i demokracja reprezentując ruch chłopski, robotniczy i inteligencji pracującej, zdołają wytworzyć jednolity front wolności i walki, który idąc śladami przeszłości łączyłby zarazem postulat wolności narodowej, ustrojowej i gospodarczej, a nadto uwolnił życie polityczne Polski od faszyzmu i reakcji, odpowiedzialnych za klęskę wrześniową oraz obarczonych winą za zamach na wolność i demokrację"*.

W 1940 r. podjął pracę pedagogiczną na Wydziale Humanistycznym tajnego Uniwersytetu Warszawskiego, prowadząc tam zajęcia z historii starożytnej. Od 1942 r. był również wykładowcą na podobnym wydziale w Wolnej Wszechnicy Polskiej. Aresztowany został przypadkowo w nocy z 9 na 10 czerwca 1942 r. w mieszkaniu przy ul. Lenartowicza 13 w Warszawie. Osadzono go na Pawiaku, skąd 17 listopada przewieziony został do Oświęcimia. Otrzymał tam numer 75894. 31 grudnia 1942 r. numer ten odnotowany został w liście zmarłych w obozie. Okoliczności jego śmierci są do dnia dzisiejszego nie w pełni wyjaśnione.

W 1946 r. uchwałą Miejskiej Rady Narodowej jedną z ważniejszych ulic w centrum miasta, dawną ulicę Śródmiejską, przy której mieściło się Gimnazjum POW nazwano jego imieniem.

W ten sposób społeczeństwo Łodzi uczciło pamięć oraz zasługi tego wybitnego społecznika i działacza.

Dla Członków Stronnictwa Demokratycznego w Łodzi, inaugurującego właśnie obchody 50-lecia swego powstania, postać A. S. Więckowskiego wraz z jego naczelną dewizą życiową — *„nie Polska dla Polaków, ale Polacy dla Polski"* — stanowi niezmiennie symbol patriotyzmu, postępu i demokracji. Są to wartości na trwałe związane z programem i działalnością Stronnictwa Demokratycznego. Wyznaczać one będą także cel i kierunek jego działalności w latach następnych.

Fotos Grzegorz Gałasiński

ze str. 1

a może przez to, w 1949 roku, gdy na stanowisku ministra spraw zagranicznych zastąpił go Andriej Wyszyński, po raz drugi życie jego zawisło na włosku. Wiele bowiem wskazuje, że Józef Stalin szykował wtedy wielką czystkę na szczycie partyjno-rządowym. W realizacji tego zamierzenia przeszkodziła mu choroba. Przeciw Wiaczesławowi Mołotowowi zbierano już materiały obciążające.

Ministrem spraw zagranicznych został ponownie w 1953 roku. W czerwcu 1957 roku został usunięty z władz partyjnych i rządowych za działalność frakcyjną. Został mianowany ambasadorem ZSRR w Mongolii, gdzie przebywał do 1960 roku. Później przez rok pełnił funkcję szefa stałej misji ZSRR przy Międzynarodowej Agencji Energii Atomowej w Wiedniu. Na początku lat sześćdziesiątych wykluczono go z KPZR. Po powrocie do Moskwy zamieszkał w niej jako emeryt.

ROY MIEDWIEDIEW NAPISAŁ KSIĄŻKĘ „WSZYSCY LUDZIE STALINA"

Książkę tę w odcinkach drukuje belgradzki dziennik „Borba". Ten sam dziennik opublikował — również w odcinkach — pełny tekst „tajnego referatu" wygłoszonego przez N. S. Chruszczowa w 1956 roku na zakończenie XX Zjazdu KPZR. Roy Miedwiediew jest też autorem książki „Ostatnie lata Bucharina".

Nikołaj I. Bucharin był wybitnym działaczem bolszewickim, redagował pismo bolszewickie „Socjał-Demokrat", był naczelnym redaktorem „Prawdy", członkiem KC SDPRR(b) został w 1917 roku. W latach 1919—1929 był członkiem Biura Politycznego KC WKP(b), a w latach 1926—1929 przewodniczącym Komitetu Wykonawczego Międzynarodówki Komunistycznej. Był głównym oponentem wobec polityki Józefa Stalina w sprawach uprzemysłowienia ZSRR, kolektywizacji i likwidacji kułactwa jako klasy. W 1929 r. został uznany przywódcą odchylenia prawicowego w WKP(b) i usunięty ze stanowisk partyjnych i państwowych. W 1938 roku aresztowany i po pokazowym procesie skazany na śmierć. Obecnie w ZSRR mówi się o potrzebie rehabilitacji Nikołaja Bucharina. Pisał o tym na łamach „Moskowskich Nowosti" Jurij Afanasjew. Niektórzy postulują wydanie prac Nikołaja I. Bucharina, podobnie zresztą jak i wydanie prac Józefa Stalina, aby ludzie sami mogli się przekonać, o czym oni pisali, mówili, jakie mieli poglądy.

Książka Roya Miedwiediewa „Wszyscy ludzie Stalina" ma ukazać się w Sarajewie nakładem tamtejszego wydawnictwa „Svjetlost". Autor przedstawia w niej kilku współpracowników Józefa Stalina: Wiaczesława Mołotowa, Łazara M. Kaganowicza (urodzonego w 1893 roku, członka SDPRR od 1911, w latach 1953 — 1957 wicepremiera, w latach 1928—1939 sekretarza KC WKP(b), a w latach 1930—1953 członka BP KC WKP(b), a od 1952 roku KPZR, usuniętego ze stanowisk partyjnych i państwowych w roku 1957 za działalność frakcyjną), Anastesa I. Mikojana (urodzonego w 1895 roku, w partii od 1915, działającego w latach 1917—1920 w Azerbejdżanie, członka najwyższych władz partyjnych i państwowych, I wicepremiera od 1955 roku, a w latach 1964—1965 przewodniczącego Prezydium Rady Najwyższej ZSRR), Klimienta J. Woroszyłowa (urodzonego w 1881 roku, marszałka ZSRR, w partii od 1903 roku, żołnierza I Armii Konnej, komisarza ludowego do spraw wojskowych w latach 1925—1934, ludowego komisarza obrony od 1934 roku do 1940, dowódcę Frontu Leningradzkiego, przewodniczącego Rady Najwyższej ZSRR w latach 1953—1960, zmarłego w 1961 roku), Gieorgija Malenkowa (urodzonego w 1902 roku, w partii od 1920, członka KC WKP(b) od 1939, Biura Politycznego KC od 1946, w latach 1946—1953 wicepremiera, od 1953 do 1954 premiera Rady Ministrów ZSRR, usuniętego z władz partyjnych i państwowych w roku 1957 za działalność frakcyjną, był później dyrektorem elektrowni), Michaiła A. Susłowa (urodzonego w 1902 roku, w partii od 1921, w latach 1939—1944 I sekretarza Stawropolskiego Komitetu Krajowego WKP(b), członka Rady Wojennej Frontu Zakaukaskiego, w latach 1944—1946 przewodniczącego Biura KC WKP(b) do spraw Litewskiej SRR, w latach 1949—1950 redaktora naczelnego „Prawdy", członka BP KC KPZR od 1955 roku, pełniącego rolę ideologa KPZR, zmarłego przed kilku laty).

Roy Miedwiediew zapytany, dlaczego właśnie ci, a nie inni? — odpowiedział:

— *Pragnąłem zbadać polityczne i osobiste losy ludzi, którzy wstąpili do partii i rozpoczęli karierę polityczną jeszcze za życia Lenina, kontynuowali ją pomyślnie w czasach Stalina, przeżyli straszną epokę stalinowską i byli nadal aktywnymi politykami w czasach Chruszczowa. Wszyscy oni odegrali znaczącą rolę w historii ZSRR i KPZR.*

Aliści nie było wcale łatwo odtworzyć ich życia, ich losów, gdyż — jak utrzymuje Roy Miedwiediew — *„tworzyli politykę w gabinetach, za wieloma zamkniętymi drzwiami, wypoczywali za wysokimi ogrodzeniami odosobnionych ośrodków państwowych, starali się zostawić jak najmniej dokumentów, dzięki którym historykowi łatwiej byłoby zrekonstruować przeszłość"*. A przecież mimo to udało się Royowi Miedwiediewowi pokazać tragiczne i dramatyczne losy Wiaczesława Mołotowa.

Roy Miedwiediew utrzymuje, że żadnego z ludzi przez niego sportretowanych *„nie można w gruncie rzeczy nazwać wybitnym politykiem"*, choć odgrywali znaczne role na wewnętrznej i międzynarodowej scenie. *„Jednakże nie byli oni ani reżyserami, ani autorami scenariusza. Mołotow nie był dyplomatą, mam na myśli* — pisze Roy Miedwiediew — *prawdziwego dyplomatę, mimo że zajmował przez długi czas stanowisko ministra spraw zagranicznych. Woroszyłow nie był prawdziwym dowódcą wojskowym, choć dowodził armiami i frontami. Susłow nie był prawdziwym teoretykiem i ideologiem marksizmu, mimo że pełnił funkcję „głównego ideologa" partyjnego. Malenkow był bardzo doświadczony w intrygach administracji partyjnej, ale zbyt mało biegły w prawdziwie państwowych sprawach. Kaganowicz zajmował wiele bardzo wysokich stanowisk, a nie nauczył się pisać zwykłych listów czy notatek"*.

Na początek Roy Miedwiediew wybrał Wiaczesława Mołotowa. Jego opowieść zaczyna się w 1936 roku.

GDY DOSZŁO DO KONFLIKTU MIĘDZY STALINEM A MOŁOTOWEM

Rzecz tę opowiedział były korespondent radziecki Aleksander Orłow w książce opublikowanej w 1953 roku poza granicami ZSRR. Konflikt ten wybuchł na tle stosunku do zarysowującego się już terroryzmu Józefa Stalina.

Przygotowywano właśnie proces grupy Zinowiewa — Kamieniewa byłych wybitnych działaczy partyjnych z czasów Włodzimierza Lenina, którzy weszli w konflikt z Józefem Stalinem. NKWD usiłowało zdobyć od przesłuchiwanych zeznania na temat działaczy, których „spiskowcy" chcieli zgładzić. Tak powstała lista: Stalin, Mołotow, Woroszyłow, Kaganowicz, Kirow i inni. Lista ta trafiła do Józefa Stalina a ten skreślił z niej nazwisko Wiaczesława Mołotowa. Dla dowództwa NKWD był to znak, że Wiaczesław Mołotow znalazł się w niełasce i zaczęli gromadzić przeciw niemu dowody. Sprawa jeszcze bardziej stała się dla NKWD jasna, gdy Józef Stalin kazał Mołotowowi wyjechać na południe na wypoczynek. To już był sygnał, że może nie wrócić do działania w partii i rządzie. Czynnych działaczy Józef Stalin nie pozwalał nigdy aresztować. Dokonywano tego w czasie urlopu. Ale Wiaczesław Mołotow wrócił po 6 tygodniach do Moskwy i wziął się do roboty, jakby nigdy nic.

Stało się tak dlatego — pisze Roy Miedwiediew — *„bowiem Mołotow był mu jeszcze potrzebny. Wśród przeciętnych, niedostatecznie wykształconych urzędników, jakimi Stalin zapełniał swoje Biuro Polityczne, Mołotow był wyjątkiem. Odznaczał się niewiarygodną pracowitością. Uwalniał Stalina od ciężkiego brzemienia bieżących spraw państwowych"*. I był jedynym — obok Stalina — który zaliczał się do starych bolszewików.

„Po opisanym epizodzie — pisze dalej Roy Miedwiediew — *Mołotow przestał się sprzeciwiać represjom. Co więcej — zaczął aktywnie uczestniczyć w masowym terrorze lat 1937—1938. Z 25 ludowych komisarzy w 1935 roku w represjach nie ucierpieli jedynie Mikojan, Woroszyłow, Kaganowicz i, oczywiście, Mołotow. Trzy lata później z 28 członków Rady Komisarzy Ludowych ZSRR 20 było represjonowanych"*.

Mołotow podpisywał obok Stalina listy z nazwiskami ludzi, których miano aresztować. Przy niektórych nazwiskach stawiał literki: NWK — *najwyższy wymiar kary!* W 1937 roku zdarzyło się, że przyjmował na Kremlu delegatów I Wszechzwiązkowego Zjazdu Delegatów. Jak relacjonował to później członek Akademii Nauk S. Czernyszow, któryś z architektów skrytykował budynki zaprojektowane przez niemieckiego architekta Ernsta Meya, który jako zagraniczny fachowiec budował w ZSRR. Było to już po jego wyjeździe z ZSRR. Krytykę tę Wiaczesław Mołotow skwitował „żartem":

— *Szkoda, że pozwoliliśmy mu wyjechać. Należało go wsadzić do więzienia na 10 lat.*

Niedawno „Ogoniok" opublikował nie publikowane do tej pory fragmenty wspomnień Ilji Erenburga. Rzecz działa się w 1955 roku. Aleksander Czakowski i Ilja Erenburg przygotowywali wydanie miesięcznika „Inostrannaja Litieratura", w którym miało się ukazać opowiadanie Ernesta Hemingwaya „Stary człowiek i morze". Okazało się jednak, że opowiadanie nie może się ukazać, bo *„Mołotow orzekł, że jest to głupia książka"*. Przy okazji bytności u ministra spraw zagranicznych Wiaczesława Mołotowa Ilja Erenburg zapytał go o powody tej oceny. Okazało się, że Mołotow książki nie czytał. Później się wyjaśniło, że w Genewie sporo o tej książce mówiono. Któryś z urzędników pochwalił się, że ją czytał i opowiedział jej akcję Mołotowowi.

— *Rybak złapał piękną rybę, ale zjadły ją rekiny.*

— *I co?*

— *Dalej nic, koniec.*

Wtedy Wiaczesław Mołotow powiedział: — *Przecież to jest głupie.* — Ta opinia stała się obowiązująca. Dopiero po rozmowie Ilji Erenburga z Mołotowem zezwolono na druk opowiadania Ernesta Hemingwaya.

Józef Stalin przebaczył Mołotowowi i pozwolił, aby fabryki, kołchozy, instytuty nosiły imię Wiaczesława Mołotowa. W 1940 roku miasto Perm przekształcono na Mołotow, a oprócz tego były jeszcze dwa miasta Mołotowsk. Przez cały ten czas, gdy Wiaczesław Mołotow współdziałał ze Stalinem w jego różnorodnych planach, wisiało nad nim wielkie niebezpieczeństwo, ale groziło ono nie tyle jemu, co jego żonie.

TRAGEDIA POLINY ŻEMCZUŻINY

rozpoczęła się 15 listopada 1932 roku. Polina Żemczużina była Żydówką. Do RKP(b) wstąpiła w 1918 roku. Szybko pięła się po stopniach partyjnej kariery. Działała na Ukrainie. Została kierownikiem Wydziału do Spraw Kobiecych. Na początku lat dwudziestych odbywał się w Moskwie zjazd takich kierowników. Polina Żemczużina przyjechała do Moskwy i zachorowała. W szpitalu odwiedził ją Wiaczesław Mołotow. Wynikła z tego miłość i małżeństwo. Polina Żemczużina w Moskwie zaprzyjaźniła się z ówczesną żoną Józefa Stalina Nadieżdą Alilujewą. Stalin bardzo źle odnosił się do swojej żony. Właśnie 15 listopada 1932 roku grupę przywódców partyjnych i państwowych wraz z żonami gościł u siebie Kliment Woroszyłow. Józef Stalin brutalnie odniósł się podczas kolacji do swojej żony. Ta wstała i ze łzami w oczach wyszła. Poszła za nią Polina Żemczużina. Józef Stalin nigdy jej tego nie przebaczył, ale na zemstę czekał bardzo długo.

Następnego dnia rano znaleziono Nadieżdę Alilujewą z pistoletem w ręku i głową roztrzaskaną kulą. Popełniła samobójstwo. Najpierw — co było dość charakterystyczne — zawiadomiono o tym Grigorija i Zinaidę Ordżonikidze, później Wiaczesława i Polinę Mołotowów, a na koniec dopiero obudzono Józefa Stalina.

W latach wojny utworzono w ZSRR Antyfaszystowski Komitet Żydów Radzieckich, w skład którego weszła Polina Żemczużina. Na czele tego komitetu stał stary bolszewik Salomon A. Łozowski. Komitet ten działał też po wojnie. W 1947 roku ONZ podjęło decyzję o utworzeniu państwa żydowskiego i arabskiego, połączonych unią. Powstało wszakże tylko państwo żydowskie. ZSRR nawiązał stosunki z Izraelem. Ambasadorem Izraela w ZSRR została Golda Meir. Spotykała się z nią często Polina Żemczużina.

Polina Żemczużina miała siostrę, która w latach wojny domowej wyjechała do Palestyny. Do 1939 roku utrzymywała z nią korespondencję a Wiaczesław Mołotow przy wypełnianiu wszelkich ankiet w rubryce *„krewni za granicą"* musiał wpisywać siostrę żony i jej potomstwo.

W latach 1948—1949 w ZSRR przedsięwzięto kampanię przeciw *„określonym kosmopolitom"*, była też „osławiona" sprawa lekarzy kremlowskich żydowskiego pochodzenia. Wtedy właśnie nadszedł moment zemsty Józefa Stalina na Polinie Żemczużinie za to, że zbyt wiele wiedziała o intymnym życiu wodza. Polinę Żemczużinę oskarżono o *„zdradę ojczyzny i powiązania z międzynarodowym syjonizmem"*. Wniosek o aresztowanie Poliny Żemczużiny zgłoszono pod rozwagę Biura Politycznego KC WKP(b), na którym obecny był Wiaczesław Mołotow. Wszyscy głosowali za aresztowaniem, tylko Mołotow wstrzymał się. On też obarczony został obowiązkiem powiadomienia żony o decyzji BP KC WKP(b).

— *I ty uwierzyłeś w te oszczerstwa!* — wykrzyknęła Polina.

— *Przedstawione zostały tak przekonujące dokumenty* — odpowiedział na to Wiaczesław Mołotow.

Polinę Żemczużinę aresztowano następnego dnia. Była przesłuchiwana i torturowana, została zesłana na Sybir. Był to wyraz braku zaufania również wobec samego Mołotowa. Ale Józef Stalin w tym czasie chorował, a jego najbliższy współpracownik — Wiaczesław Mołotow zastępował go.

W marcu 1953 roku zmarł Józef Stalin. Wówczas powstał problem następcy. Roy Miedwiediew opowiada, jakie rozmowy słyszał w pewnym osiedlu na Uralu, gdzie pełnił rolę nauczyciela. Jeden z podpitych byłych żołnierzy Wojny Ojczyźnianej pytał:

— *Za kogo będziemy teraz wojować? Za Stalina ginęliśmy. A teraz? Za Mołotowa? Nie, nie pójdę teraz na wojnę, aby ginąć za Mołotowa.*

Ale w marcu 1956 roku, po XX Zjeździe KPZR i „tajnym referacie" Nikity S. Chruszczowa, obalającym wodza, w Tbilisi odbyły się burzliwe demonstracje, podczas których wołano: *„Precz z Chruszczowem"*, *„Precz z Bułganinem"*, *„Chcemy Mołotowa na przewodniczącego rządu ZSRR"*, *„Mołotow na czoło partii"!!!* Demonstracje stłumić musiało wojsko.

W 1955 roku Wiaczesław Mołotow przebywał w rządowym szpitalu w Kuncewie. Przebywał tam również sekretarz generalny Komunistycznej Partii Izraela S. Mikunis. On w pidżamie, też jako pacjent, podszedł do Mołotowa w pidżamie, też pacjenta i zapytał:

— *Dlaczego jako członek Biura Politycznego pozwoliliście, aby wam aresztowano żonę?*

Mołotow spojrzał na niego zimnym jak lód wzrokiem.

— *Kim jesteście?* — zapytał.

— *Jestem sekretarzem generalnym KP Izraela i dlatego pytam was i nie tylko was, postawię to pytanie również KC. Dlaczego pozwoliliście, by wam aresztowano żonę?*

— *Ponieważ jestem członkiem Biura Politycznego i mam obowiązek podporządkować się dyscyplinie partyjnej!*

Pogrzeb Józefa Stalina odbył się 9 marca 1953 roku. Nad trumną, która wówczas spoczęła obok Włodzimierza Lenina w Mauzoleum na Placu Czerwonym, przemawiał Gieorgij Malenkow. Tak się złożyło, że był to dzień urodzin Wiaczesława Mołotowa. Gdy po pogrzebie schodzili z trybuny na Mauzoleum Nikita Chruszczow i Gieorgij Malenkow złożyli życzenia urodzinowe jubilatowi. Któryś z nich zapytał, co by sobie życzył na prezent.

— *Zwróćcie Polinę!* — niegrzecznie odpowiedział Mołotow, odwrócił się i odszedł.

Ławrientij Beria nie był — jak to się mówi — w ciemię bity. Sprowadził już był Polinę Żemczuzinę do Moskwy. Była tak dokładnie odizolowana od życia, że nie wiedziała, iż Józef Stalin już nie żyje, że pochowano go w Mauzoleum. Gdy Ławrientijowi Berii przedstawiono prośbę Mołotowa, ten kazał wezwać ją do swego gabinetu. Skoro tylko weszła wstał, podszedł do niej, objął ją i wykrzyknął:

— *Polina! Jesteś uczciwą komunistką!*

Spodziewała się wszystkiego, tylko nie tego. Przesłuchania przecież skończyły się dopiero 1 marca 1953 roku. Zaledwie kilka dni temu. Zemdlała. Ocucono ją, ubrano i odwieziono do willi Wiaczesława Mołotowa pod Moskwą.

Już po odejściu Wiaczesława Mołotowa z wszystkich funkcji i przejściu na emeryturę Switłana Alilujewa — córka Józefa Stalina — odwiedziła rodzinę Wiaczesława Mołotowa. Opisała to później w książce *„Ledwie rok"*. W czasie tej wizyty Polina Żemczużina mówiła:

— *Twój ojciec był geniuszem. Zniszczył „piątą kolumnę" w naszym kraju i kiedy zaczęła się wojna, partia i naród były zwarte. Teraz już nie ma rewolucyjnego ducha wszędzie jest oportunizm. Popatrz tylko, co robią włoscy komuniści! Wstyd! Wojną ich wszystkich wystraszyli. Jedyną naszą nadzieją są Chiny. Jeszcze tylko tam zachował się duch rewolucji!*

W 1987 roku — jak wyczytałem z doniesień z Pekinu — podczas obchodzonego tam święta, miasto udekorowano portretami: Marksa, Engelsa, Lenina, Mao i Stalina. Józefa Stalina czczą też w Albanii.

Gdy wówczas Polina Żemczużina mówiła, Wiaczesław Mołotow potakiwał głową. Natomiast *„jego córka i zięć* — pisze Świetłana Alilujewa — *milczeli ze spuszczonymi głowami, wpatrzeni w talerze. Było to inne pokolenie i było im wstyd"*.

Polina Żemczużina umarła w 1967 roku. Wtedy to, na jej pogrzebie, Wiaczesław Mołotow wygłosił swoją ostatnią publiczną mowę. Wysławiał swoją zmarłą żonę, ale nie wspomniał ani słowem, że była prześladowana za Stalina.

POWOLI ODCHODZIŁ W ZAPOMNIENIE

„Zesłano go do Ułan Bator, gdzie spędzał czas samotnie. Gdy w 1958 roku przybyła do Ułan Bator radziecka delegacja na zjazd Mongolskiej Partii Ludowo-Rewolucyjnej, ignorowała całkowicie Wiaczesława Mołotowa, przecież oficjalnego przedstawiciela ZSRR. W przemówieniu pozwolono sobie nawet na aluzje polityczne pod jego adresem. Nie słuchał ich, demonstracyjnie wyszedł z sali, co wszystko razem wywołało niezadowolenie mongolskich działaczy partyjnych.

Po powrocie z Wiednia do Moskwy mieszkał spokojnie jak większość emerytów, spacerował po Arbacie, bywał w teatrze, robił zakupy. Kiedyś podwiózł go znany artysta Jurij Nikulin. Dziękując mu za przysługę powiedział:

— *Wnuki mi nie uwierzą, że podwiózł mnie do domu sam Jurij Nikulin!*

W teatrze otoczyła go kiedyś grupka ludzi, prosząc o autografy na programach. Twarz mu się rozjaśniła, zaczął podpisywać, gdy nagle jakaś kobieta zawołała:

— *Co robicie?! Przecież to kat. Zniszczył setki, setki ludzi!*

Ludzie się rozpierzchli. Spuścił głowę i wolno poszedł ku wyjściu.

Innym razem w sklepie na Żukowce przywieźli pomidory i Wiaczesław Mołotow ustawił się w kolejce jak wszyscy. Jakaś kobieta go poznała i głośno powiedziała, że nie będzie stała w jednej kolejce z tym katem Mołotowem. Wyszedł ze sklepu.

Zmarł niedawno w całkowitym zapomnieniu.

„W niektórych obszernych pracach z historii ZSRR — pisze Roy Miedwiediew — *lub KPZR można się jeszcze natknąć na nazwisko Mołotowa, choć bardzo rzadko. Poświęcono mu niewielką wzmiankę w ostatnim wydaniu Wielkiej Encyklopedii Radzieckiej"*.

A przecież, żeby rozumieć trzeba wiedzieć! I dlatego dziś wydobywa się w ZSRR z niepamięci ludzi i zdarzenia w myśl zasady — jak to stwierdził w wywiadzie dla „Litieraturnoj Gaziety" J. Polakow — *„historia, to nie polityka skierowana w przeszłość, to nauka o przeszłości, pomagająca w wypracowaniu i realizacji polityki partii"*. I ta historia — jak to powiedział w jednym z wykładów prof. J. Borisow, a co wydrukował miesięcznik „Nauka i Żizn" — *„spłatała Stalinowi fatalnego figla. Człowiek, który w swoim czasie wyeliminował z radzieckich książek historycznych inne postacie, sam stał się „osobą przemilczaną"*. Dodajmy, że przez wiele lat przemilczany był on i jego ludzie, bo dziś coraz więcej się mówi o tym, jakim był Józef Stalin. Ale to zupełnie inny temat.

WITOLD BOROWY

Kim był Wiaczesław Mołotow?

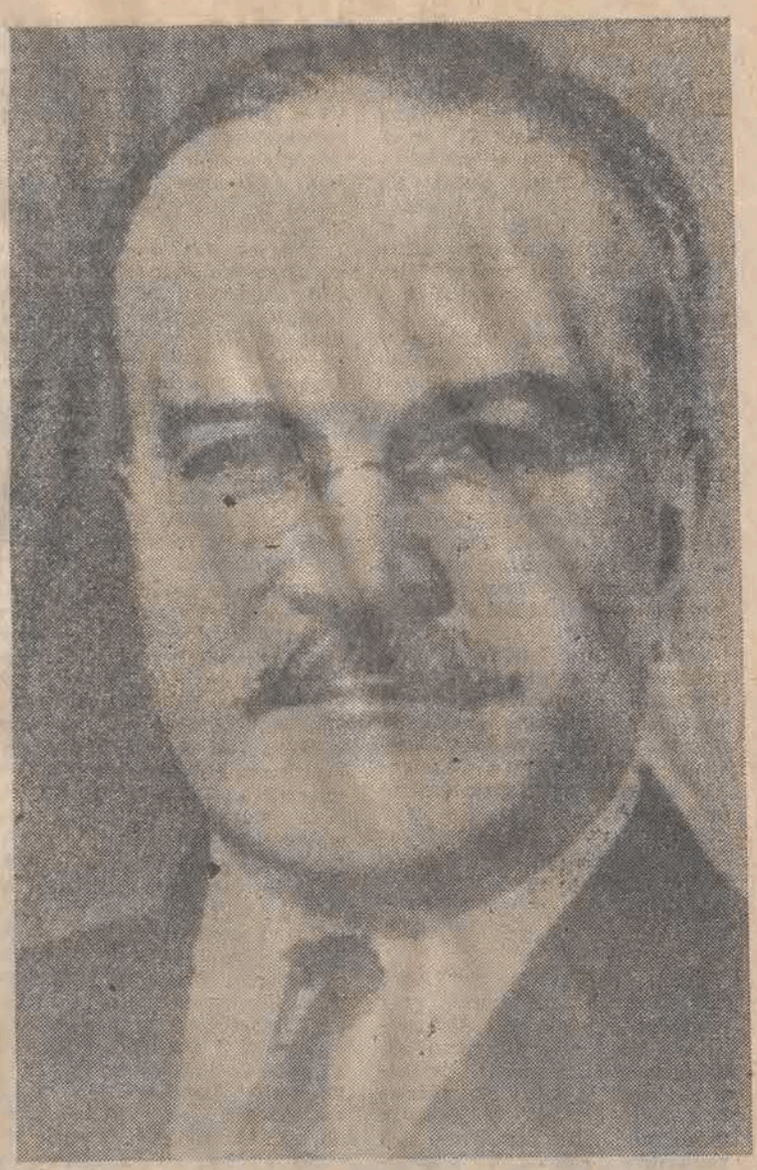

Rozmowa z człowiekiem, który jest już tylko wspomnieniem.

Więź

TADEUSZ GICGIER

Do ciebie mówię, który odszedłeś, ale jesteś, jesteś jeszcze na krótko w cmentarnej kaplicy główny bohater żałobnej uroczystości. Popatrz, stąpałeś cicho, dyskretnie, przemykałeś się poboczem życia — zawsze nieśmiały, zawsze skromny, a tu zostałeś nagle głównym bohaterem. Nie przeczę, miałeś pewne skłonności aktorskie, ten twój gest świadomie hamowany, twój półuśmiech jakby trochę ironiczny, oszczędne słowo, wiele mówiące spojrzenie. Ale prawdziwym aktorem zostałeś dopiero po śmierci.

Patrzę na twoją twarz, gładką i piękną, nigdy nie miałeś takiej twarzy za życia, nie wadzą twej urodzie szeroki nos i wąskie usta, ani bladość, ani woskowa skóra. Prawda, brakuje mi twoich zmarszczek (mówiłeś o nich: to zmarszczki mimiczne), grymasu warg, ciepła oczu — ale przecież jesteś piękny, przerażająco piękny.

Tylko dlaczego ubrano cię w te irchowe rękawiczki, obcisłe irchowe rękawiczki, jakże zmalały w nich twoje dłonie! Tak, podchodziłeś do wszystkich w rękawiczkach, wszystko załatwiałeś w rękawiczkach, aby nikogo nie urazić, może dlatego założyłeś je i teraz. Założyłeś? Przyglądam się uważnie, bardzo uważnie — przecież to po prostu twoje ręce!

U twojej trumny żona i syn, syn dorastający, twoja kopia, pamiętam dzień, w którym oznajmiłeś mi o jego narodzinach, mówiłeś, że może stanie się chlubą niezbyt podłego rodu, jeśli nie stanie się jego zakałą, w każdym razie ród ów ma teraz szanse kontynuacji Do trumny podchodzi twój brat, także jakby skopiowany z ciebie, żegna cię ostatnim uściskiem i zaraz odstępuje, jego-twoja twarz skurczona w paroksyzmie płaczu, czyżbyś to ty płakał nad sobą? Z trudem powstrzymuję się, aby nie podejść do tego nieznanego mi człowieka i go nie uścisnąć. Kochałem ciebie.

A potem uderzają o trumnę grudki zmarzniętej ziemi, uderzają miarowo, teraz słyszę twój gardłowy, urywany śmiech, z czego właściwie się śmiejesz? Tak, tak, exegi monumentum, non omnis moriar, oda Horacego, kiedyś rozmawialiśmy o nim i o jego licznych naśladowcach, jaka w nich buta, mówiłeś, jaka zarozumiałość, rozważaliśmy kwestię, czy istotnie wierzą w to, co piszą, czy przeciwnie — uciekają przed niewiarą, starają się ją zagłuszyć, przekrzyczeć, bronią się przed nią?

Stoję nad twoim grobem i nagle czuję w kościach gwałtowny skurcz mrozu, nie jego stopniowe, powolne przenikanie, ale właśnie skurcz, skurcz lodowaty. Więc teraz szybko do domu napić się mocnej, gorącej herbaty, rozgrzać odnaleźć w niej potwierdzenie życia, satysfakcję trwania.

Popatrz, znaliśmy się ponad trzydzieści lat, a tak mało wiedziałem o tobie. Okruchy, okruchy, tylko okruchy. Składam je teraz mozolnie, w złudnej nadziei, że powstanie z nich jakiś obraz Obraz na podobieństwo twoje.

Pamiętasz początki naszej przyjaźni, spacery po deptaku, po głównej ulicy miasta? Nasze szybkie posiłki w barze „na stojaszczy" (ty jadłeś tak, jeszcze przez szereg lat następnych). Moje miasto rodzinne, twoje przybrane, ty, syn niedużego, farnego miasteczka nigdy nie mówiłeś, jak czujesz się w tym wielkim, hałaśliwym mieście, dopiero teraz czytam w twoim opowiadaniu:

— *A jak się czujesz w nowym otoczeniu? I w nowym mieście...*

— *Znośnie. Jakoś przywyklem.*

— *Ale niełatwo ci to przyszło?*

— *Niełatwo — przyznał.*

Powiedziałeś to znajomej dziewczynie, którą spotkałeś po latach. A może i to, że jest piękna okrutna, lubiłeś tak mówić do kobiet, z tym twoim charakterystycznym „r" i naciskiem na „r" śledząc mimochodem, jakie to robi na nich wrażenie? Lubiłeś kobiety, ja lubiłem także. „*Pewnie przez tę swoją nieszczęsną skłonność do kobiet nabawię się katary*" — napisałeś w innym opowiadaniu, mówiącym o wakacjach nad morzem A w jeszcze innym, o młodej topielicy, że nie umiała żyć bez miłości i że w tym wieku jeszcze się tego nie potrafi. O kim tak pisałeś: o niej czy o sobie, tym późniejszym, dojrzałym?

Najpierw zamieszkałeś w wielkim secesyjnym gmaszysku, na piątym piętrze, w jednym pokoju z małżeństwem rencistów Gdy tam cię odwiedziłem, przyjąłeś mnie w swoim kącie za szafą. Uciekałeś często z tego kąta, podobnie jak ja z sublokatorskiego mieszkania, na deptak, na podmiejską wycieczkę, do niedalekiej miejscowości wczasowej położonej wśród lasów nad Pilicą. Chodziliśmy godzinami po sosnowych lasach, odzywaliśmy się do siebie rzadko, dwóch mruków, od jakaś luźna refleksja jakieś wspomnienie, skojarzenie, jakaś uwaga na marginesie lektury. Wystarczało nam, że byliśmy ze sobą. To tam właśnie napisałem tę miniaturę:

„*Siedzieliśmy pod dębczakami na skraju kartoflirka — dwóch mieszczuchów, zasłuchanych w wieczorną, wiejską ciszę. Naprzeciw nas wisiał nieruchomo księżyc, za nami stał zagajnik równie jak my zasłuchany i zapatrzony. Chwilami tylko podnosił się tam w tyle szum, który stopniowo narastał i obejmował całą tę niewielka przestrzeń leśną, szum dla nas niepojęty bo cisza i spokój były tak wielkie, że w obrębie naszego wzroku nie drgnął ani jeden liść dębowy W pewnej chwili uświadomiliśmy sobie obaj równocześnie, że to z nas wyszły te niepokoje i że na ten krótki czas znalazły się poza nami*".

Pisałeś powoli, awansowałeś powoli. Po jakimś czasie zabrałeś swoje lary i penaty (twój ulubiony zwrot) i przeniosłeś się do pokoju w oficynie, niedaleko domu, w którym ja mieszkałem z rodziną Żartowałeś, że chodzisz po moich śladach Więc kiedy się ożeniłeś zamieszkałeś w podmiejskiej dzielnicy, która była dzielnicą mego dzieciństwa i młodości Jestem znowu u ciebie i nie mogę się nadziwić: z twojego okna widać mój dawny dom i podwórze, widać okno, z którego często wyglądałem, starą studnię z żelazną pompą, drewniane pokrzywione komórki, za którymi bawiliśmy się w chowanego Mit dzieciństwa, mit dzieciństwa — mówimy do siebie, choć każdy ma przed oczyma inny obraz: ja ten bliski, podmiejski, ty — kamieniczkę w ciasnej ulicy i łęgi nad Bzurą Dlaczego teraz się wyłamałeś, sprzeniewierzyłeś tradycji? Po czyich poszedłeś śladach?

Rozeszły się nasze drogi Zresztą już po raz drugi Pierwszy raz przed szesnastu laty, kiedy wyjechałem na wschód, do innego miasta, nie widzieliśmy się wtedy bardzo długo. Pisałeś często do mnie, zachowałem twoje listy. Patrzę teraz na twoje pismo, przedziwne pismo słaniające się w kierunku pisania, jakby uderzał w nie wiatr z przeciwnej strony. Za chwilę padnie chyba do tyłu, na plecy, ale nie, nie pada, trwa. To chwiejne pismo przetrwało ciebie.

„*Drogi Kresowiaku! Dziękuję Ci za list. Cieszę się, że „grubsze" kłopoty masz już za sobą i wszedłeś „na czysto" w Nowy Rok. A propos — jak go powitałeś? Co do mnie, to siedziałem w domu (nie te lata) z Jadwigą. Teraz — mając już prawo jazdy — trochę próbuję prowadzić wóz i pisać powieść. Nie wiem, co udaje mi się lepiej? Pozdrawiam Was i czekam na relacje „z rubieży"*."

„*Drogi Tadziu! Ostatnio — jak nigdy w życiu — byłem strasznie zalatany (dziecię, które nam zachorowało, dwie posady, a wreszcie kłopoty z samochodem, gdyż „stuknął" mnie nieprzytomny jacet w tył i musiałem go (samochód) klepać i naprawiać) i pewnie nie dopełniłem wielu obowiązków towarzyskich. Najgorsze chyba już minęło i wreszcie mogę skreślić do Ciebie parę słów (do czego zabierałem się tak długo)*".

Pod koniec listu — sakramentalne —„*nihil novi*", po wielu różnych nowinach

„*Drogi Tadeuszu! Składam ci niniejszym serdeczne gratulacje z powodu narodzin męskiego potomka (który oby przyczynił się do sławy rodu), jak również matce, której życzę szybkiego powrotu do zdrowia. Piotrowi zaś życzę, aby zdrowo się chował.*

Jest to niewątpliwie fakt z wielu względów dla Ciebie doniosły i ustawia Twoją sytuację rodzinną, a także wiele zmienia w życiu, jego trybie itp., o czym ja na świeżo przecież pamiętam Mam nadzieję, że będziesz mi o wszystkim szczegółowo donosił".

„*Drogi! Nie pisałem do ciebie długo, jako że w ogóle piękna sztuka epistolografii obecnie zanika, a w szczególe nie miałem Ci nic rewelacyjnego do przekazania, ponadto przypuszczając, że spotkamy się bezpośrednio z okazji literackiego Zjazdu (lub innej) i sobie porozmawiamy. Przy moim piórowstręcie najbardziej sobie cenię bowiem rozmowę, zresztą i dlatego, że więcej można w niej zawrzeć niż w liście*".

Pamiętam, że uśmiechnąłem się w tym miejscu, bo rozmowy z tobą były równie lapidarne jak twoje listy, i przypomniałem sobie — dziwnym trybem skojarzeń — twoją wizytę w domu pewnej dziewczyny, z którą się wtedy, na przekór sobie, rozstałem, podjąłeś się roli mediatora, ale matka dziewczyny wzięła cię za kolegę jej brata, który zwykł wyciągać go na wódkę, i ostro na ciebie naskoczyła, a ty nie mogłeś wykrztusić słowa, jąkałeś się bardziej niż zwykle, dopiero dziewczyna rzecz całą wyjaśniła. Ale przedtem, nim doszło do pojednania z dziewczyną, spędziłeś ze mną noc, nie spałeś pamiętam, unosiłeś stale w ciemności głowę, domyślając się, że ze mną dzieje się coś niedobrego.

Spotkaliśmy się zaraz po moim powrocie do Łodzi Popatrzyliśmy na siebie i nic nie powiedzieliśmy, bo po cóż komentować przybyłe zmarszczki i pierwszy szron na głowie. Potem mówiliśmy o wszystkim innym, rzucając na siebie ukradkowe spojrzenia.

W niecałe trzy lata później otrzymałem znów list od ciebie. Bardzo mnie ten list zaskoczył, no bo jakże, mieszkamy znów w jednym mieście, a ty, zamiast zadzwonić do mnie i umówić się na spotkanie — posługujesz się listem? Otwieram kopertę, czytam:

„*Drogi Tadziu! Jak wiesz, zawsze tak się składa, że podążam za Tobą (przede wszystkim w sensie topograficznym — Koziny itp.), więc i obecnie również jestem dość blisko Ciebie, a mianowicie w szpitalu im. Madurowicza przy Fornalskiej (na III p., w boksie intensywnej terapii).*

Stało się tak, iż 6 bm. (w przeddzień 60 rocznicy WRP) łapnął mnie regularny herzschlag Po kilku dniach leżenia w domu i czekania w kolejce na elektrokardiogram, po jego zrobieniu szybciutko tu przybyłem i pozostałem na parę chyba tygodni.

Mam tzw. zawał podsierdziowy na tle choroby wieńcowej, który — jak dobrze pójdzie — może kiedyś ustąpić, a wtedy trochę można sobie w spokoju, bez większych wstrząsów, pożyć Pierwszy krok ku temu już zrobiłem, co kosztowało mnie sporo.

Życzę Ci twórczej weny i przede wszystkim dobrego i długiego zdrowia — Ryszard".

Odwiedziliśmy cię w szpitalu z żoną. Bardzo się zmieniłeś, jakby przybyło ci nagle dziesięć lat, znów mówiliśmy o wszystkim innym, o tym, że ty musisz wyzdrowieć, a ja pojadę teraz, niestety sam do „naszej" miejscowości wczasowej. Napisałem stamtąd do ciebie, a ty mi zaraz odpowiedziałeś:

„*Drogi Tadziu! Twój list z jakże nam dobrze znanej Spały czytałem z podwójną zazdrością. raz że ze Spały, a dwa, że ze słoneczno-zimowej.*

Przez okna szpitala obserwuję lekko zaśnieżone (brudno) ulice i dachy oraz czyste, błękitne niebo, łatwo więc mogę sobie wyobrazić, jak przyjemnie (słonecznie i mroźnie) musi być teraz w Spale.

Myślę, że znajdzie się dostatecznie dużo powodów (patrz wyżej), aby poczuć chęć zapisania czymś godnym kartki papieru Nawet ja — chyba dzięki tzw. zmienionym warunkom — po kilkunastu latach przerwy napisałem trzy wiersze (jeśli właściwie określam gatunek literacki tekstów).

Czuję się już całkiem dobrze, chodzę na bardziej własnych nogach i flirtuję z pielęgniarkami, które tu — jak na złość — są młode, miłe i chyba nienawykłe do szwoleżerskich szarż starych wyjadaczy, zdolnych jako tako wykorzystać i zaanektować dla swych aktualnych potrzeb tzw. zdobycze całych pokoleń różnych pięknoduchów.

14 bm. wybywam ze szpitala na — nomen omen — Popioły. Jest to ulica w Rudzie Pabianickiej, przy której, wśród jakichś mizernych sosenek, znajduje się ośrodek rehabilitacyjny dla pozawałowców. Tam chyba sobie pobędę przez ok. miesiąc, trochę odpoczywając, spacerując i lekko się gimnastykując. Może uda mi się wrócić również do moich rozpoczętych prac".

Odwiedziłem cię na Popiołach, a potem straciłem z oczu. To przez ten twój wiejski dom, a właściwie starą chałupę nad Wartą (zawsze ciągnęło cię w okolice rzek!), w której osiadłeś dla ratowania zdrowia, a także po to, aby mieć lepsze warunki do pracy. Resztę znam już tylko z opowiadania twej żony. Ten dom to miała być taka „cicha przystań" na następne lata. Aby zapuścić tam korzenie, zdobyłeś nawet uprawnienia rolnicze (ty i rolnictwo, dobre sobie!), uprawiałeś piaszczysty ugór przy chałupie i radowałeś się jak każdy mieszczuch, kiedy pojawiły się pierwsze buraki, marchew, pietruszka, zaczęły owocować krzewy agrestu i porzeczek. Pracowałeś w ziemi razem z synem, z nim teraz odbywałeś długie wędrówki. Syn zastąpił mnie u twego boku, taka jest kolej rzeczy

Odżył na nowo twój sentyment do wsi, który zrodził się w czasie wojny, u ciotki w Kampinosie (opowiadałeś mi kiedyś o tym, trafiłeś tam po śmierci matki, odumarła ci młodo, zaważyło to na twoich późniejszych losach, nosiłeś w sobie tę skazę). Lubiłeś gawędzić z sąsiadami, słuchałeś opowieści starych chłopów, którym plącze się czas i wydarzenia, rzeczywistość miesza się ze zmyśleniem, były to opowieści często niesamowite, czartowskie, irracjonalne, zawsze jednak podszyte chłopskim realizmem Widzę cię, jak słuchasz tych bajd, jak uśmiechasz się trochę ironicznie, a trochę pobłażliwie.

Przyglądałeś się, jak każdy mieszczuch, codziennej pracy na roli, i chyba przyrównywałeś ją do swojej pracy. Złoża ziemi do złóż słów, którymi czułeś się zawsze przygnieciony. Chyba dopiero tam udało ci się przez te złoża przekopać, otrząsnąć się z nich, wyswobodzić. I — zawsze taki powolny — zacząłeś nagle galopować, gorączkowo pisać, jakbyś dopiero teraz przejrzał na oczy.

Piszemy stopami na piasku,
kijem na wodzie.
Piszemy ramionami
po przezroczystej tafli powietrza,
głową po chmurach.
Piszemy śladami
na brudnej karcie śniegu
i najmozolniej, najtrudniej —
na białej kartce papieru.
Wiem wreszcie, jak pisać —
powiedziałeś pewnego styczniowego ranka
i wtedy
wypisałeś się z księgi żywych.

Zaparzam drugą herbatę, robię poprawki w wierszu o tobie Poprawki — muszę zrobić je nie tylko w wierszu. Bo przecież nie ustała więź między nami, choć było nią najczęściej milczenie, urwane słowo, czasem twój dyskretny uśmiech, wymowne spojrzenie Dopiero teraz rozumiem, co ono oznaczało. Ty nigdy nie obnosiłeś się ze swymi sprawami, nie chciałeś nimi nikogo obarczać, a już najmniej przyjaciela Ja tego nie potrafiłem.

— *Przyjedź do mnie nad Wartę* — mówiłeś.

— *Przyjedź koniecznie*

Przyjadę, tylko muszę przeprawić się przez inną rzekę.

Fotos: Grzegorz Gałasiński

ze str. 1

spotkania, może by jedno przełożyć, a tu się najwyżej spóźnię. Dobra — nagle podejmuje decyzję — zróbmy więc ten nietypowy materiał, tak jak nietypowa, niespotykana to budowa. Ale wie pan — zerknięcie na zegarek — czasu mamy dokładnie godzinę i dwadzieścia dwie minuty, zapraszam więc później na kawę do mnie, do pogotowia, najlepiej po dwudziestej drugiej...

— Chciałbym też obejrzeć co nieco z bliska...

— *Jasne, ale to dopiero w poniedziałek, znajdę jakąś godzinną lukę, to „sprzedam" pana swoim zastępcom. Bo żeby się tej budowie dokładnie przyjrzeć, to i tydzień by panu nie wystarczył.*

— Dla lekarza praktyka znaleźć się raptem w skórze „biurowo-administracyjnej" to chyba niezbyt przyjemna przemiana?

— *No wie pan, praktykiem to ja już zostanę do końca życia. Zdecydowałem się jednak przyjąć dwa lata temu ofertę władz ministerstwa i władz miasta, bowiem zawsze pasjonowały mnie problemy medycyny społecznej, zdrowia zbiorowości. A nie ma w kraju lepszego w tej mierze pola do obserwacji jak nasz Pomnik-Szpital Centrum Zdrowia Matki-Polki.*

— Dwa lata „dyrektury", czyli — jak słyszałem — rządów „mocnej ręki" i pełna euforia czy raczej czas obaw, niepokojów, ciągłej rywalizacji z napiętymi terminami?

— *Jeszcze inaczej. Do tej budowy żadne znane miary, więc i uproszczenia nie pasują. To ogromna satysfakcja, ale i strach, niepokój — to prawda. Szpital jakiego w Polsce nie ma, ba — taki jak nasz kompleks położniczo-ginekologiczno-pediatryczny jest rzadkością w Europie. Osobiście wiadomo mi o jednej, podobnej placówce: w Belgii, pod Antwerpią.*

— Dumni jesteśmy z niego wszyscy, ale też wszyscy znamy nasze budowlane bolączki, znamy tak zwane prawa wielkich budów...

— *Ale tu, jak już mówiłem, brak punktów odniesienia, to jest budowa szalenie zorganizowana i — moim zdaniem — wzorowa, choć nie do powielenia. Dość powiedzieć, że codziennie działa tu średnio 2000 pracowników z 29 firm podwykonawczych plus obecnie około 500 osób od nas, czyli ze strony użytkownika oraz inwestora zastępczego.*

— Złośliwi twierdzą, że szpital wyłącznie ze względu na tempo powinien trafić do księgi rekordów Guinessa...

— *Cóż, złośliwych nigdy nie brak. Ale to naprawdę jest rekord: w Polsce szpital na 600—800 łóżek buduje się zwykle w 8—12 lat. Tu — w cztery — pięć lat, (wszystko na to wskazuje!) stanie nowoczesny obiekt obliczany na ponad 1000 łóżek.*

— Czy na tym tempie „wygrał" standard wyposażenia, technologie, rozwiązania i organizacyjne, i techniczne?

— *Ależ oczywiście! Przez to z pozoru szalone tempo szpital nie zdąży się zestarzeć i prezentował będzie naprawdę europejski poziom.*

— Skąd więc te obawy, niepokoje?

Opowieść o takich, którzy chcą i potrafią!

Już wkrótce poród...

— *Skąd? Niech pan spojrzy na Pomnik moimi oczami. Będzie to spore powiatowe miasto położone na prawie 50 hektarach, z indentycznym jak w tym miasteczku poborem prądu, wody, ciepła, to obiekt, gdzie czy się komuś podoba czy nie — będzie się codziennie przewijać w różnych układach około 8—10 tysięcy ludzi i rodzić się będzie tyle maluchów co w 250-tysięcznym grodzie...*

— Bardzo dobre porównania. Proszę jeszcze o kilka danych.

— *Czemu nie! Nasz Pomnik to między innymi ponad 500 tysięcy metrów sześciennych kubatury i ponad 110 tysięcy metrów kwadratowych powierzchni użytkowej (to między innymi dodatkowe 5 tysięcy metrów wygospodarowanych powierzchni w podziemiach, na magazyny...). To 3 kilometry obwodnicy wokół szpitala, to także 10 oryginalnie rozwiązanych bloków dla naszego personelu, czyli 219 mieszkań o strukturze od M-1 do M-5. To również ponad 600 metrów specjalnych, dwukierunkowych tuneli, którymi wędrować będzie do pawilonów szpitalnych odzież bielizna leki, żywność. To choćby 1200 metrów kanałów instalacyjnych, z których większość osobiście „zwiedziłem". Możemy w tym stylu godzinami...*

— Cieszę się, może uda się nam opowiedzieć o tej inwestycji i wszystkich jej problemach w możliwie skondensowanej formie. Przedstawmy zatem główne obiekty Pomnika.

— *Przede wszystkim dwa pawilony szpitalne. Pawilon „A", czyli — ginekologia i położnictwo, to oryginalny, pięciopiętrowy obiekt o powierzchni 46 tysięcy metrów kwadratowych, gdzie przewidziano miejsce na 360 łóżek. Znajdzie się tu między innymi oddział patologii ciąży, leczenia niepłodności, położnictwa izolacyjno-obserwacyjnego. 220 łóżek dla noworodków, a w tym wydzielony (48 łóżek) oddział dla wcześniaków. Tu także znajdzie się miejsce dla oddziału zapłodnienia w probówce, czyli „in vitro". Tu będzie funkcjonowała przychodnia z poradniami położnictwa i ginekologii, genetyczną, szkołą rodzenia i wiele innych. To oczywiście w telegraficznym skrócie.*

— Świetnie! Proszę o podobną charakterystykę drugiego, głównego pawilonu — czyli „B".

— *Czyli — pediatria. Ponad 38 tysięcy metrów kwadratowych, budynek praktycznie jednopiętrowy, inny nieco w kształcie, choć o identycznym wystroju zewnętrznym. 483 łóżka i wszystkie specjalności niezbędne w funkcjonowaniu szpitala pediatrycznego: oddział intensywnego nadzoru (OJO) — 13 łóżek, przeznaczonych dla najcięższej chorych dzieci, noworodków i niemowląt oddział patologii noworodka, oddziały: chirurgii, neurochirurgii, laryngologii, okulistyki i tak dalej i tak dalej. Oprócz tego — dział dializoterapii, a także — kuchnia mleczna.*

— Zaraz, zaraz, bo się pogubię. Więc w sumie będzie tu...

— *...Dokładnie 1063 łóżka. W tym aż 703 dla noworodków, niemowląt i dzieci starszych. A zatrudnionych będzie dla tylu pacjentów — 3200 ludzi ze służby zdrowia.*

— A pielęgniarek?

— *Ponad 600.*

— Widziałem tu wiele pięknych dziewczyn...

— *Cóż, współczynnik urody brany jest tu poważnie pod uwagę. Zatrudniamy głównie absolwentki szkół, ponad 240 dziewczyn już zaangażowaliśmy, na razie zdobywają praktykę w łódzkich szpitalach, z momentem uruchomienia Pomnika — przejdą tutaj.*

— Czy na korytarzach przewidziano miejsca na łóżka i chorych?

— *Nie przewidziano, u nas nie będzie tam chorych...*

— *Wiem, te oddziały szpitalne będą miały tunelowe połączenia między sobą.*

— *Nie tylko między sobą. Będzie się można „suchą stopą" dostać także do patomorfologii (dawniej anatomia patologiczna), a także pralni, kuchni, magazynów. Pralnia już działa, już pierzemy dla innych łódzkich szpitali, będzie mógł ją pan obejrzeć, bagatela — 6—7 ton bielizny i pościeli na dobę. Będziemy potrzebowali około 14 tysięcy pieluszek na dobę...*

— I będą prasowane?

— *Będą sterylnie pakowane. A kuchnie są właściwie dwie: jedna w pawilonie pediatrii, to już wspominałem, a główna, obiekt o powierzchni kilku tysięcy metrów kwadratowych wydawać będzie, uwaga! — około 6 tysięcy posiłków na dobę, łącznie ze wszystkimi specjalistycznymi dietami.*

— Poza siecią tunelowych połączeń znalazała się między innymi nowoczesna centrala techniczna.

— *Tak, a w niej: trzy niezależne źródła zasilania w energię elektryczną — dwa z elektrowni, no i własne agregaty, które są w stanie zasilać szpital przez 8—10 godzin; mamy też dwa źródła zasilania w parę i wodę — EC-IV i ciepłownia przy ulicy Ustronnej. Znalazły się również w centrali specjalistyczne urządzenia do uzdatniania wody.*

— Dobrze. A teraz, drogi dyrektorze, wróćmy jeszcze do spraw personelu. Wiemy, ile będzie tu pracowało pielęgniarek, ale wiemy także, że w kraju występuje deficyt specjalistycznego personelu w wielu medycznych branżach. Czy tu nie odczuwacie tego zjawiska?

— *Niestety, odczuwamy. Jest dużo młodych, chętnych do podjęcia pracy ludzi na ginekologii i pediatrii, na laryngologii, okulistyce, ale mamy już kłopoty ze zdobyciem specjalistów, których chcielibyśmy zatrudnić na oddziale noworodków, na radiologii, diagnostyce, rehabilitacji. Co więcej — nie ma kolejki na stanowiska kierownicze: ordynatorów, kierowników działów, mimo, że przecież oferujemy im bardzo nowoczesny warsztat pracy. Może być też kłopot ze średnim personelem, położnymi, technikami, analitykami.*

— Czy tylko dużo wyższe zarobki byłyby w stanie przyciągnąć ich do pracy w Szpitalu-Pomniku?

— *To skomplikowany problem, godzien osobnej rozprawy, a fakt, dla wielu względy finansowe grają decydującą rolę...*

— Atutem, który ma przyciągnąć młodych i w większości wypadków przyciąga — jest — jak pan wspomniał — bardzo nowoczesny warsztat pracy. Czym może się już dziś Pomnik poszczycić?

— *Przepraszam, ale już o pięć minut przekroczyliśmy nasz czas. Muszę trzymać się harmonogramu, tego następnego spotkania już nie mogę przełożyć. Zapraszam nocą do szpitala Pogotowia. Miejmy nadzieję, że będzie spokojny dyżur, to sobie pogawędzimy nieco...*

No i byłem o dwudziestej drugiej w tym Pogotowiu. Pogawędziliśmy, bodaj do pół do drugiej w nocy. Było cicho i sympatycznie. Potrójna, mocna kawa i żadnych telefonów.

— *Pytał pan o aparaturę. Jest tego sporo i to na najwyższym światowym poziomie. Tak sprzęt krajowy jak i zagraniczny jest już montowany.*

— Zaprezentujmy choć kilka nowości, które znajdą się w Szpitalu.

— *Choćby aparatura ultrasonograficzna i rentgenowska najnowszej generacji firmy Siemens, przeznaczona dla pediatrii i ginekologii. Kupiona za „twarde" dewizy, za ponad 3 milionów dolarów. Instalują ją w tej chwili specjaliści z Siemensa, nasi inżynierowie i technicy są przy tym obecni.*

— Czytałem gdzieś o rewelacyjnych stołach operacyjnych...

— *Wyposażenie sal operacyjnych zapowiada się bardzo nowocześnie, między innymi dzięki importowi wielu urządzeń z Austrii i RFN. A stoły niemieckiej firmy „Maqueta" umożliwiają chirurgowi precyzyjne, w zależności od potrzeb, ułożenie pacjenta. Bardzo nowocześnie wyposażony też będzie dział centralnej sterylizacji i stacja dezynfekcji sprzętu — oddzielna dla ginekologii i pediatrii. Sterowana systemem komputerowym, pierwsza tego typu w Polsce. Aparatura z RFN — firma MMM i z Holandii — firma Spencer.*

— Wspomniał pan doktor wcześniej o oddziale dializ. Czyli — „sztuczna nerka"...

— *Owszem, nieprzerwanie czynnych będzie sześć takich stanowisk, zamówionych w najlepszej w tej chwili firmie na świecie, jaką jest szwedzka „Gambro".*

— Ile będzie nasz wspaniały Pomnik kosztował. Wiem, że to pytanie z gatunku trudnych...

— *Mogę mówić tylko o sprzęcie, o aparaturze. A jej w szpitalu będzie sporo, jak wiemy — najnowocześniejszej, czyli i nietaniej. Szacuję koszt sprzętu medycznego na ponad 9,5 miliarda złotych, w tym część importowana — to koszt około 17 milionów dolarów.*

— Dzięki i za to. Jeśli można prosić o dwa słowa na temat planowanej również etapowej komputeryzacji szpitala.

— *Najkrócej jak można. Połowa drugiego piętra pawilonu położnictwa i ginekologii przygotowywana jest na dział informatyki. W pierwszym etapie chcemy — nazwijmy to niezbyt szczęśliwie — komputeryzacją objąć ruch chorych, kadry, całą działalność gospodarczą szpitala, gospodarkę lekami, krwią. W następnym etapie komputerowe możliwości wykorzystane zostaną dla celów diagnostyki i leczenia.*

— A ile nas szpital będzie kosztował rocznie?

— *Około 4 miliardów złotych. Będą to koszty żywienia, leków, części zamiennych, a również sprawy prozaiczne, jak utrzymanie dróg w czystości i opłaty za telefony... A propos telefonów: szpital dysponował będzie własną centralą wewnętrzną systemu Pentaconta na ponad 1000 numerów, choć tych wejściowych będzie zaledwie kilka. Ciekawostka: funkcjonował będzie u nas również bezprzewodowy system wewnętrznego przywoływania osób. Niektóre osoby będą miały przy sobie maleńki odbiornik i brzęczyk będzie jego czy ją wzywał w pilnych wypadkach w dyżurny rejon.*

— Zbliża się dzień, w którym przyjmiecie pierwszego pacjenta...

— *Tak, dzień 26 maja 1988 roku, Dzień Matki. Rzeczywiście już blisko i mam świadomość, że to służba zdrowia musi dać sygnał do rozpoczęcia działalności. Ale muszę mieć wcześnie absolutną gwarancję, że mam dla matki i dziecka pełne zabezpieczenie medyczne, że gotowe są sale operacyjne, oddziały intensywnej terapii, cały dział diagnostyki, oddział patologii noworodka, że funkcjonuje apteka i*

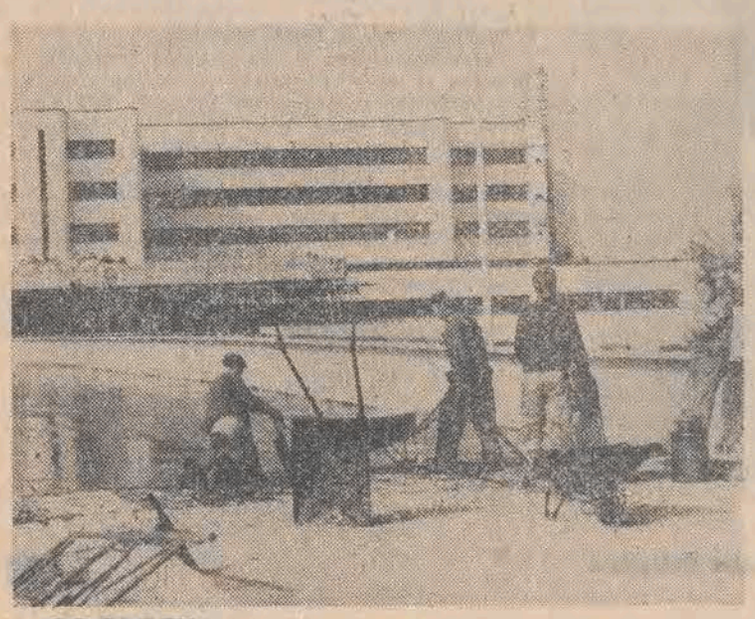

pracownia płynów infuzyjnych

— Brzmi to — delikatnie mówiąc — groźnie, te gotowe na wszystko stoły operacyjne...

— *Przecież to będzie wysokowyspecjalizowana placówka i na normalną, zdrową ciążę i poród fizjologiczny przeznaczono w dwóch oddziałach tylko 98 łóżek. „Tylko", bowiem pozostałe 112 łóżek położniczych przeznaczonych jest na wszelkiego typu „anomalia" ciąż. Choćby na przypadki ciąży u kobiety z wadą serca, z cukrzycą, dla kobiety z zatruciem ciążowym. My musimy zrobić wszystko, by ta kobieta urodziła szczęśliwie zdrowe dziecko.*

— Wspomniał pan wcześniej, że w tym szpitalu będzie obowiązywała szczególna dyscyplina. Cóż to oznacza?

— *Ten nowoczesny szpital będzie także symbolem Matki, Dziecka, Macierzyństwa. I zatrudnieni tu ludzie muszą dysponować nie tylko najwyższymi kwalifikacjami zawodowymi, ale muszą również spełniać wysokie wymogi etyczno-moralne, muszą charakteryzować się wrodzoną dyscypliną wewnętrzną. A dotyczy to tak ordynatorów, jak i pielęgniarek, jak i techników sterujących klimatyzacją.*

— Wierzę, że będzie to piękny szpital, ze świetnym, godnym najwyższych pochwał personelem. Boję się, by nie zniszczyły go nasze szare, przyziemne kłopoty i problemy. Niskie płace, brak papieru toaletowego, środków czystości, pieniędzy na zachęcającą premię dla sprzątaczki...

— *Niech mi pan wierzy, że martwię się o to w jeszcze większym stopniu... Będzie choćby około 5 tysięcy okien do umycia...*

— Powiedzmy przyszłym mamom choć w dużym skrócie jakie będą pokoje korytarze? Podobno będziecie dysponować własnymi kanałami telewizyjnymi?

— *Warto podkreślić, że informacja wewnątrz szpitala będzie bardzo przejrzysta i nowoczesna, a projektują ją ci sami specjaliści, którzy tworzyli wystrój Dworca Centralnego w stolicy i tworzą wystrój warszawskiego metra. Będą więc kolorystyczne różnice, w zależności od funkcji poszczególnych oddziałów czy pomieszczeń. I kolejna ciekawostka z tym związana: w szpitalu ułożonych zostanie ponad 12 hektarów glazury wyprodukowanej w zakładach w Opocznie. Pokoje będą dwu-, trzy- i czteroosobowe, jasne, przestronne, wszystkie wyposażone w podłączenia do różnego typu aparatury audiowizualnej większość — z telefonami.*

— Dwa słowa o „własnej" telewizji...

— *Własny będzie na pewno ośrodek audiowizualny, po którego działalności bardzo dużo sobie obiecuję. A działać będzie praktycznie pięć kanałów: dwa ogólne, jeden — za pośrednictwem kamer Sony przekazujący obraz z sal operacyjnych (to dla celów szkoleniowych). Pozostałe dwa będą wykorzystywane w zależności od potrzeb — także do szkoleń, ale także dla dzieci i maluchy będą mogły oglądać swoje ukochane „kreskówki".*

— 240 tysięcy łóżek szpitalnych w Polsce — ten wskaźnik jest jednym z niższych w Europie?

— *To prawda. W budowie mamy jednak obiekty, w których znajdzie się ponad 30 tysięcy łóżek. I warto napisać, że Łódź zdecydowanie przoduje w tego typu inwestycjach. Oprócz Szpitala-Pomnika powstaje przecież Centrum Kliniczno-Dydaktyczne AM (1600 łóżek), ośrodek geriatrii przy ulicy Przybyszewskiego przeznaczony jest docelowo dla 1000 pacjentów i godne podkreślenia jest przede wszystkim stanowisko władz łódzkich, które decydują się wziąć na siebie taki ciężar. Jest to sytuacja w Polsce bez precedensu...*

A dwa dni później ruszyłem na plac budowy.

Szef Matczak oddał mnie pod opiekuńcze skrzydła swego zastępcy do spraw technicznych — inżyniera Andrzeja Augustyniaka, który — jak sam twierdzi — od dwóch lat niemal na tej budowie mieszka. Zna tu też każdą dziurę, każde przejście i bardzo dobrze, bo nie wiem czy niżej podpisany stworzyłby tę niewątpliwie fascynującą opowieść, gdyby nie refleks przewodnika. Szedłem notując w biegu i w pewnym momencie inżynier łagodnie mnie zatrzymał tuż nad brzegiem jakiejś „technologicznej" dziury w stropie bodaj drugiego piętra. Jeszcze ze dwa słowa bym co prawda zdążył zanotować...

Z centrali technicznej pamiętam głównie plątaninę rur, przewodów, jakieś liczniki, ogromne zasobniki gorącej wody, sprężarki, wielkie reduktory. I najważniejsze: zielone rury — to woda, czerwone — para, niebieskie — powietrze. I wcale na mnie nie zrobił wrażenia agregat o mocy 2x605 „kilowoltoamperów", choć on ponoć dziesięciokrotnie mocniejszy niż w takim „Biegańskim".

W pralni królowała Ewa Pysera — starszy specjalista do spraw technologii pralnictwa. Wiem już jak działają ogromne maszyny pralnicze firmy „Textima", łykające po kilkaset kilogramów bielizny naraz. Obejrzałem maglownice, prasowalnice, duże elektryczne żelazka i urządzenia do składania bielizny na równiutkie „sztuki". Jeszcze sterylizatory na pieluchy i noworodkowe wyprawki, jeszcze agregat do chemicznego czyszczenia koców, peleryn i ubrań roboczych, jeszcze komory dezynfekcyjne gdzie musi trafić na przykład ubranko „właściciela" żółtaczki.

Augustyniak prowadzi niczym u Andrzeja Wajdy — kanałami. Sam zginąłbym już dawno w tym labiryncie pieter, betonowych korytarzy, uskoków, schodów i pochylni. Czasem tylko mój przewodnik szepnie niczym w lochach zamku:

— *Jesteśmy właśnie pod pawilonem „A", nad nami ginekologia...*

Na parterze już zielone kafle na filarach, podłogi umyte, obok — trwają prace montażowe w pomieszczeniach centralnej sterylizacji. Z drugiej strony — komory dezynfekcyjne, do których trafiać będą... łóżka. Myte będą parowo i chemicznie — jedno łóżko w pięć minut. W drugiej komorze — pościel i materace.

Brniemy dalej — już centralna sterylizacja, tu instaluje się autoklawy (no, taka nazwa...) firmy MMM — cztery parowe i jeden formaldehydowy. Pod sufitem podwieszone kilkadziesiąt lamp bakteriobójczych — one to sprawią, że w powietrzu nie ma prawa „fruwać" najmniejszy zarazek. Nieco dalej trwa montaż sterylizatorów firmy Draeger, przeznaczonych do sterylizacji aparatury anestezjologicznej i reanimacyjnej. Skąd to wszystko wiem? Od Jolanty Surowiec, która jak mogła służyła laikowi pomocą.

Jesteśmy w głównym hallu pawilonu „A". Rzekłbym — typowo: cegły, cement w workach i nieco luzem też, zwisają jakieś przewody, huk młotów pneumatycznych, wokoło rusztowania, nieco dalej właśnie kładzie się kafle. I pierwsze wrażenie: łażę tu od dobrej godziny, a nie spotkałem jeszcze faceta symbolu: siedzącego z papierosiem spokojnie odliczającego kwadranse do „fejerantu". Kij diabeł? Pewnie Augustyniaka sylwetkę dostrzegli z dala. Przecież nikt mnie nie przekona, że można tak pracować!.. A tu każdy napotkany coś kuje, stuka, przykleja, poleruje, a paru nawet miało pot na czole! Może dla telewizji ćwiczyli?...

Nie ćwiczyli chyba jednak, wszędzie było tak samo lub bardzo podobnie: pracowali. Miałem więc okazję obserwować zjawisko, które w tym kraju należy — nie tylko na budowach — do rzadkości i ma szansę za kilka lat zająć poczesne miejsce na festiwalach folkloru... Pracowali na oddziale radiologii (i to nie tylko ci od Siemensa), pracowali w głównej poczekalni i na głównym wiadukcie od strony Rzgowskiej, gdzie akurat wylewano asfaltową nawierzchnię. Kilka ekip montowało fragmenty zewnętrznej elewacji — tak zwane płyty gralewskie. Wiem już, że będzie to podstawowy motyw dekoracji zewnętrznej całego szpitala i że jedyny oprócz niego podobnie „przystrojony" jest dość znany warszawski hotel — „Victoria". Nowością są natomiast okna: aby maksymalnie ograniczyć „ucieczkę" ciepła i wytłumić hałas zastosowano aż trzy warstwy szkła.

Oglądam jeszcze z ciekawością wylewane podłogi — nazywa się to chyba plastidur. Wygląda nieźle, na pewno łatwe do zmywania. Zmierzamy w kierunku pawilonu „B", po drodze mijając kilka drzew z tabliczkami: „Drzewo chronione"...

Na pediatrii jakby cicho i spokojnie, ale to pozory. Mijamy jakieś schody, parę pomieszczeń i już wyraźnie łomocze kompresor, znów ktoś krzyczy ostrzegawczo:

— *Uwaga pod nogi!*

No jasne, teraz dla odmiany wywinąłbym salto zaczepiając nogą o przewody.

— *Tu będzie apteka, a tu dział dializy, pomieszczenie zamknięte, bo wszystko gotowe do montażu „nerki". W październiku budynek musi być zamknięty i wtedy będzie można ruszyć z robotami wewnętrznymi.*

Jeszcze oddział rehabilitacji, jeszcze oglądam dziurę, gdzie znajdzie się zespół basenów, jeszcze rzut oka na podjazd, który do tej części szpitala prowadził będzie wyłącznie od ulicy Paradnej. I koniec. To znaczy ja proszę o zakończenie, i tak za dużo jak na jeden, kilkugodzinny rekonesans. Tu naprawdę można krążyć kilka dni i mieć co podglądać, opisywać...

Idę wolno w kierunku hotelu pielęgniarek i latarni na środku chodnika. Wiem, że to będzie piękny szpital. I bardzo potrzebny. I bardzo drogi, jeśli chcemy by był nowoczesny. A chcemy tego wszyscy. Wierzę też, że będzie jeszcze piękny i nowoczesny przez wiele lat. Że będziemy o niego bardziej dbać, niż o te pomniki z brązu i granitu.

DARIUSZ DOROŻYŃSKI

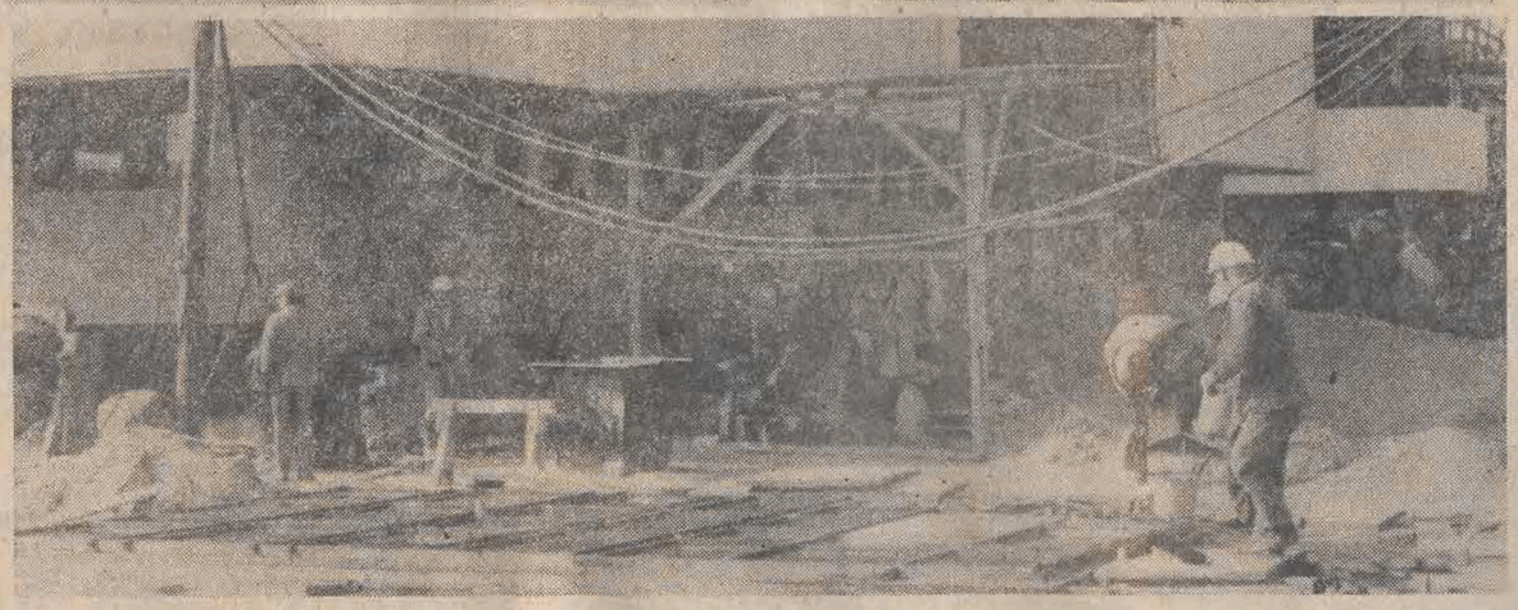

Foto: Grzegorz Gałasiński

Mówi: Grzegorz Gazda

— Mówią, że przestałeś etatowo pracować w „Odgłosach", bo nie wypada, aby docent i prodziekan parał się dziennikarstwem?

— Coś takiego mógł wymyślić jakiś domorosły poeta, którego nie chciałem drukować albo Roman Gorzelski, znany arbiter spraw osobowych w Łodzi. Choć muszę przyznać, iż nowe obowiązki uniwersyteckie i zobowiązania wydawnicze przymusiły mnie do rezygnacji. Czas, niestety, nie jest rozciągliwy. A czy wypada? Otóż, gdybym był megalomanem, mógłbym podać wiele znakomitych nazwisk osób, które łączyły pracę uniwersytecką z redaktorowaniem.

— Ten ostatni argument wskazuje jakbyś żałował, że musisz odejść?

— Chyba tak. Praca w redakcji była dla mnie wspaniałym azylem, czymś innym co robię na co dzień. Poza tym wartym uwagi doświadczeniem. Miałem przecież do czynienia z żywą literaturą, która jakby tworzyła się na moich oczach i z żywymi autorami, z ich ambicjami, fobiami i rozterkami twórczymi. To zupełnie co innego niż akademickie analizy przeszłości i zakurzonych książek.

— Gdy obserwowałem twoje „dyżury" w redakcji jednak widziałem, że nierzadko miałeś dość tych nawiedzających cię poetów?

— Tak? No, może... Bo też nie sądziłem nigdy, że w Polsce jest taki urodzaj na poetów, pisarzy i dramaturgów. Ale też każdego traktowałem tak, jakby to miał być przyszły Rimbaud albo Bursa. Nigdy nie wiadomo, co kryje się w teczkach czy kopertach. Zawsze miałem nadzieję, iż odkryję jakiś nieznany talent.

— I jak? Odkryłeś?

— Hmmm. Mógłbym się wykręcić odpowiedzią, że to przyszłość pokaże, czy któryś z debiutujących w „Odgłosach" autorów stanie się Wojaczkiem czy Poświatowską. Tak naprawdę, to może dwa czy trzy nazwiska, spośród tych, których „Odgłosy" drukowały, mają jakąś znaczącą przyszłość.

— Mógłbyś je tu wymienić?

— Lepiej nie. Środowiska poetyckie są bardzo drażliwe i psychicznie kruche. A o wszystkich poetach, których drukowałem, myślę — choć to trudne — na ogół jak najlepiej.

— Ale właśnie. Spotkałem się z zarzutem, że dawałeś pierwszeństwo młodym, początkującym i debiutantom. A „klasycy" czekali na druk całymi miesiącami.

— Nie było tak źle. „Klasycy" uważają, że należy ich drukować z dnia na dzień i to bez dyskusji, bo ma działać magia nazwiska, wieku i zasług. Ale też oni mają dostęp do wielu czasopism i wydawnictw. Natomiast młodzi, zwłaszcza ci najmłodsi, takich możliwości nie mają. Nic dziwnego, że starałem się ich szczególniej hołubić.

— Co dała ci jeszcze praca w redakcji?

— Przede wszystkim pozwoliła mi racjonalniej spojrzeć na zawód dziennikarza, na zasady redakcyjnej polityki, a także na rolę środków masowego przekazu w naszej rzeczywistości. Wokół tych trzech zakresów spraw nagromadziło się w potocznej świadomości wiele mitów, fałszów i ćwierćprawd. Powszechnie na przykład uważa się, że dziennikarze znakomicie zarabiają, że gazetami rządzą jakieś tajemnicze moce, że autorom dyktuje się co mają pisać itd. itd. Realia — przynajmniej te, z którymi się w swojej pracy stykałem — wcale nie są tak demoniczne. Inaczej teraz czytam gazety i tygodniki.

— Czy na podstawie tego, co dział literacki „Odgłosów" proponował czytelnikom można wyrokować o twoich gustach?

— Powiedziałbym tak: zachowywałem się jak rozdwojony bohater powieści Stevensona dr Jekyll i mister Hyde, bo też rozumiałem i to, że „Odgłosy" są tygodnikiem dla bardzo różnych czytelników, i że powinny docierać do jak największej ich liczby. Są tygodnikiem w zasadzie popularnym. I to decydowało o wyborach. Mówię o prozie, bo poezję drukuje się na ogół w tygodnikach dla „honoru domu", a nie dlatego, że jest na nią czytelnicze zapotrzebowanie. A moje upodobania? Są bardzo różne. Czytam dużo, nawet może za dużo. Jestem maniakiem słowa drukowanego. Ale to może skrzywienie zawodowe...

— Wykręcasz się od odpowiedzi. Zapytam wprost: Nienackiego drukował dr Jekyll czy mister Hyde?

— Co wszyscy chcą od Nienackiego! To też jest literatura, która ma setki tysięcy czytelników. Bądźmy demokratyczni i pluralistyczni także w domenie sztuki. Zresztą zauważ, gdy „Odgłosy" drukowały powieści Zbigniewa Nienackiego to „interesowali" się tygodnikiem wszyscy warszawiści i inni nam „życzliwi". Gdy drukujemy „Dzieci Arbatu", to choć wszyscy o Rybakowie piszą i wszyscy go w „Odgłosach" czytają, nikt nawet się nie zająknie, aby coś na ten temat powiedzieć.

— Widzę, że jesteś patriotą „Odgłosów"?

— A jak mam nim nie być! Mówię o tym nie tylko dlatego, że właśnie w „Odgłosach" przed wielu, wielu laty drukowałem swój pierwszy tekst, że z tygodnikiem stale współpracowałem, że wreszcie przez kilka lat związany z nim byłem etatowo. Przecież jest to jedyne w historii Łodzi tego typu czasopismo, które utrzymuje się na rynku czytelniczym od bez mała trzydziestu lat. A ponieważ jestem zawołanym łodzianinem, jestem też patriotą tego tygodnika. A wracając do Nienackiego — sam profesor Nawrocki wspiera swoją „Kulturę" najnowszą powieścią autora „Skiroławek"!

— No dobrze. A jaką ostatnio dobrą powieść przeczytałeś?

— „Imię róży" Eco. Powieść znakomita. Wystylizowana i nowoczesna, z całą maestrią „zrobiona" warsztatowo. I dla każdego w gruncie rzeczy czytelnika. Powieść-ideał. I co ciekawsze napisana przez debiutanta: Eco do tej pory uchodził za elitarnego badacza literatury i sztuki, stosującego najbardziej subtelne i znane tylko wtajemniczonym metody analizy. A tu proszę powieść-bestseller! Okazuje się, że warto studiować literaturę, a nie tylko liczyć na swój pisarski talent. Odnosi się to do wielu łódzkich i nie tylko łódzkich pisarzy.

— Uderzasz w ton mentorski?

— Daleki jestem od mentorstwa. Powiedziałbym nawet, że często w swojej pracy redaktorskiej byłem nazbyt wyrozumiały. Ale w sytuacji, gdy pełno braków naokoło, dlaczego wymagać, aby literatura produkowała same arcydzieła.

— Eugeniusz Iwanicki na moim miejscu zapytałby teraz o kobiety w twoim życiu, więc pytam.

— Kobiety? Mojemu następcy w „Odgłosach" życzę, aby musiał oceniać utwory wyłącznie pięknych poetek i aby zdobył sympatię — o co i ja się dobijałem — wszystkich urodziwych pań z redakcji, czyli Bogdy, Bogusi, Grażyny i Jolanty. Wymieniam je w takim porządku wyłącznie ze względu na alfabet.

— To żadna odpowiedź.

— Resztę znajdziesz w moich pamiętnikach, do których za parę lat zamierzam się zabrać.

Rozmawiał: WIT ZAKROTA

Ewa Filipczuk

* *

śmierć mi się zdarzy tak samo
jak ciebie życie spotka
już czeka gdzieś niedaleko
starannie skopana grządka

w koszuli zmiętej i krótkiej
z czerwonym na rękach bandażem
niedługo nasiąknę rosą
i szybko stanę się trawą

bez żalu i bez miłości
poczekam na ciebie w ciemnościach

Tadeusz Gicgier

Na Starym Cmentarzu

Znów oddychamy tym samym powietrzem
zmarła matko i ojcze, wy przez pory ziemi,
a ja przez korę wszczepionego w was drzewa.
Bo to jest jedność: ten świat napowietrzny
i świat podziemny, oba splecione w uścisku
jak ja — bywało — z wami.

Henryk Czarnecki

* *

Za kilka tchnień świeczki,
zamigotać na wietrze,
oszroniony stearyną,
gdy mi się wypali już mój wymiar trzeci
przez dziurę w płocie wejdę w czwarty
wymiar
jak do dziecinnego ogrodu ukradkiem na
jabłka.
W muzykę ciszy
nieskończenie słuchać jak Chopin gra na
fujarce
a Mickiewicz duchom bajdy plecie o duchach
— tyle tam fajnych chłopaków z zeszytów
szkolnych
że i wieczności nie starczy, by się nagadać
do syta
A mama znów będzie gderać, że tylko latam
po nieboskłonie
jak kot z pęcherzem.
A gdy wieczór nadejdzie wieczny
usiądziemy wokół
w grze wyobraźni
nieobecni, nie istniejący
— jakimi siebie zostawiliśmy nawzajem:
Ojciec — w zmęczonych okularach
a ja starszy od niego
dziesięciolatkiem nu będę
gdy mnie takiego zostawił.
Wieczór. płonie ognisko
harcerskie szumią knieje,
zaduszn-mi światłami cieni
cmentarz jaśnieje.

A jeśli za bramą nikogo nie ma,
niczego nie ma nic się nie dzieje?
To tak jakbym matce wrócił do łona
— po prostu znów nie istnieję.
Jeszcze się nie zaczęło?
Czy już się skończyło?
Wszystko jedno, od której strony
Nie już nie boli!

Maksym Tank

Warszawa w Dniu Zmarłych

„Rozstrzelany...
Rozstrzelany...
Rozstrzelany..."
Jest ich więcej niż pamiątkowych tablic
Na twych ulicach Warszawo.
Więcej ich niż liści w parkach i alejach,
Więcej niż gwiazd w żałobnym zwierciadle
Wisły.
Matko Polko!
Czemu wpatrujesz się
W zraniony pociskami asfalt i kamień,
Trzymając w drżącej ręce świecę?
To po nich przemaszerowały pochody, defilady,
Miliony póz —
Starych i umęczonych,
Młodych i szczęśliwych —
I nieskończoną ilość razy obmyły je deszcze,
Śniegi i mgły.
Czyżby jeszcze spod kamieni sterczały
Okowy twych pomordowanych dzieci?
Pozwól od twojej świecy
Mój znicz odpalić.
Może ja zobaczę tych,
Z którymi miałem tu się spotkać...

Tłumaczył z białoruskiego:
ROMAN GORZELSKI

Konfrontacje

Kapłan i błazen

Kapłan i błazen — dwie postawy, dwie kulturowe role zarazem, dwa systemy wartości były popularnymi i dość często przywoływanymi metaforami literackimi. Literackimi, bowiem — mimo pierwotnych intencji sytuujących owe postawy w ogólniejszej kategorii „gier ludzkich" — to w końcu literatura realizowała bądź weryfikowała te dwie Persony mowiskach kultury, z której i my wyrośliśmy, Skibiński pyta i konfrontuje. Pyta, co zostało z nieba Platona, a arché filozofów, z sofistycznych aporii, które przemieniły się tu „w apeiron wędrówki poprzez ziemię, wodę, powietrze i ogień do ziemi, wody, powietrza i ognia". To wieczne koło czasu i koło Natury jest sacrum, jest świątynią, w której człowiek współczesny jest kupcem, sprzedawcą niby-wartości („byle sprzedać, byle przeżyć / przyjaciela / byle żyć / byle — życiem / być w niebycie, nie być w bycie"). Skibiński tropi przejawy życia nieautentycznego, szuka trochę ratunku w nie rozpoznawanej do końca, urokliwej tajemnicy istnienia („coś trzeba podziwiać, za czymś tęsknić i sobie samemu pisać przeznaczenie") i stawia sobie ważkie zadanie: „ocalić swoją nikłą godność wobec przeszłości (...) i słuchać własnego serca przy piersi bliźniego nieprzyjaciela, by o własne istnienie poszerzyć frazy wiersza" Jeśli postawa „kapłańska" jest równoważna z postawą „strażnika wartości" — to wartości, których broni i o które się Skibiński upomina, są godne szacunku. Ta dojrzała, mądra poezja wymagająca od odbiorcy skupienia, stymulująca jego aktywność refleksyjną domagałaby się wnikliwszej interpretacji niż ta, na którą pozwala ta krótka nota. Ale przecież nie komentarze krytycznoliterackie są najważniejsze, istotna jest lektura, obcowanie z tekstem i do tej lektury gorąco zachęcam.

ujmują je albo przez wyraźną opozycję, albo też traktując je jako mały układ wzajemnie się uzupełniający. Jesteśmy dziś bliżsi temu drugiemu (komplementarnemu) traktowaniu tych postaw. Mniej się już zachwycamy „szkołą szyderców", w „kapłaństwie" zaś upatrujemy wartości pożądanych, ocalających resztki świata rozbitego, świata, w którym jednostka kaleczy się o jego spłaszczone, „jednowymiarowe" ramy. Właściwie rzecz całą gotowi jesteśmy sprowadzić do zróżnicowania tonacji stylistycznej: „błazeńskiej" tzn. ironicznej, humorystycznej oraz poważnej, patetycznej i ważkiej — wywołującej refleksję nad kondycja człowieka współczesnego, refleksję będącą budulcem każdej dobrej poezji.

Dwa takie tonusy stylistyczne a zarazem jedną dobrą poezję prezentują w swoich tomach: piątym już z kolei Ziemowit Skibiński oraz — w debiutanckim — Jacek Maciaszek. PIW-owski tomik Z. Skibińskiego już w tytule przywołuje motyw etyzacji i sakralizacji poezji. Ten trzeci (tytuł tomu zarazem) — jest człowiekiem dojrzałym — „człowiekiem religijnym" Kierkegaarda, ale pobrzmiewają tu aluzje do eklezjogalnej wspólnoty, do znanego: „gdziekolwiek dwu was się zbierze, ja będę ten trzeci". Skibiński artykułuje swoje prawdy poważnie, z niejakim nawet namaszczeniem, zna wartość słowa i pamięta Norwidowe powiedzenie, że „słowa nas osądzają". Stara się w sposób dramatyczny uchwycić sens teraźniejszości, która została wytrącona z dawnej (utopijnej) harmonii, z owej klasycznej „muzykalizacji świata". Poszukuje on przede wszystkim ciągłości kulturowej oraz etycznego spoiwa między „dawnymi a nowymi laty". Najwyraźniej to widać w pierwszej części tomu — cyklu będącym poetycką notacją podróży do Grecji. Tam na złomkach, rutości („byle sprzedać, byle przeżyć / przyjaciela / byle żyć / byle — życiem / być w niebycie, nie być w bycie"). Skibiński tropi przejawy życia nieautentycznego, szuka trochę ratunku w nie rozpoznawanej do końca, urokliwej tajemnicy istnienia („coś trzeba podziwiać, za czymś tęsknić i sobie samemu pisać przeznaczenie") i stawia sobie ważkie zadanie: „ocalić swoją nikłą godność wobec przeszłości (...) i słuchać własnego serca przy piersi bliźniego nieprzyjaciela, by o własne istnienie poszerzyć frazy wiersza" Jeśli postawa „kapłańska" jest równoważna z postawą „strażnika wartości" — to wartości, których broni i o które się Skibiński upomina, są godne szacunku. Ta dojrzała, mądra poezja wymagająca od odbiorcy skupienia, stymulująca jego aktywność refleksyjną domagałaby się wnikliwszej interpretacji niż ta, na którą pozwala ta krótka nota. Ale przecież nie komentarze krytycznoliterackie są najważniejsze, istotna jest lektura, obcowanie z tekstem i do tej lektury gorąco zachęcam.

Przed tekstami Maciaszka można by postawić motto — trochę melancholijne stwierdzenie Miłosza: „Z domieszką żartu, błazeństwa, satyry — jeszcze się umie podobać poezja". Maciaszek bowiem jest Marcholtem w świecie nie całkiem Salomonowym. Podpatruje ten świat i burzy jego „dworski" porządek. Jego poetyckie „ja" prezentuje bądź to prowokacyjny egocentryzm („na początku był mecias zek, potem dzikie króliki i węże morskie") bądź nie mniej prowokującą postawę autoironii — choćby wtedy, kiedy rewiduje mity „poetów przeklętych" („i swoją kromkę chleba z masłem zjadłem / i nazywam się Maciaszek / i czekam na prześladowania"). Literacką topikę „śmiesznej śmierci" (początki jej znajdziemy u Rabelais'go) przemienił w ironię wobec sytuacji cierpienia, zdystansowa-

cięcia wieku" nacechowana przerażeniem. Błazeńska czapeczka chroniła ongiś jej nosicieli przed zemstą tych, którym prawili prawdy niepopularne. Dziś ta postawa nie gwarantuje już bezpieczeństwa. W powszechnym „Się" inność jest zawsze podejrzana, zawiera się w niej ładunek potencjalnej rewolty, dlatego: „kto podgląda kosmos przez ucho igielne, korzysta z bezpłatnego leczenia w zakładach zamkniętych". (Ten, kto napisał na skrawku papieru, że żyje — przegrywa z „urzędowym papierem" stwierdzającym: „pana nie ma w ewidencji" i w końcu godzi się z tą Kafkowską sytuacją kwitując ją dosadnym „plebejskim": „a pie... lę was wszystkich. Mogę nawet nie żyć". Maciaszek demitologizuje również poezję, widzi bowiem przede wszystkim jej zinstytucjonalizowanie: „mali poeci oceniają jeszcze mniejszych, a ci najmniejsi nie wpuszczeni do środka, jak te roślinki natrętne, oblizują nowe długopisy", swoje zaś wiersze określa jako „grzech mniejszego kalibru", za który czeka go najwyżej „kolegium, opieka kuratora — starszego kolegi — ze związku twórczego, zetelpe jakiegoś")

Niezależnie od tego, za którą tonacją opowie się czytelnik — pozostanie przecież jeden wspólny dla nich (dla „kapłana" i „błazna" problem: samookreślenia się w „zdegradowanej rzeczywistości". I to zadanie — równie artystyczne jak etyczne ci dwaj poeci spełniają — bądź to w formie bezpośredniego, sentencjonalnego przekazu, bądź to potrząsając błazeńskim dzwoneczkiem, w którym słychać jednak przekorne: „memento!".

PuH

Ziemowit Skibiński — Ten trzeci, PIW, Warszawa 1987, ss. 90, cena 200 zł. Jacek Maciaszek — Pierwsze czytanki, WŁ, Łódź, 1987, ss. 80, cena 100 zł.

„Wieś polska roku 1934 w fotografii Louise Arner Boyd"

Louise Arner Boyd, amerykańska badaczka Arktyki, przyjechała do Polski w 1934 roku jako uczestniczka Międzynarodowego Kongresu Geograficznego. Odbyła wówczas kilkumiesięczną podróż po Polsce fotografując wieś i obyczaje ludu, wiejską architekturę, narzędzia rolnicze. Zrobiła dwa tysiące zdjęć. Fotografie oraz swój do nich komentarz wydała w albumie „Polish Countrysides" (Wieś polska).

Zbiór Louise Arner Boyd przechowywany był przez Amerykańskie Towarzystwo Fotograficzne, a następnie przez Bibliotekę Uniwersytetu w Wisconsin w Milwaukee, gdzie zainteresował się nim prof. Michał Mikoś oraz jego żona Susan Gibson-Mikoś. Ona właśnie z powiększonych kopii tych zdjęć (negatywy zaginęły) przygotowała wystawę pt. **„Wieś polska roku 1934 w fotografii Louise Arner Boyd"**, którą do połowy października mogliśmy oglądać w Muzeum Sztuki.

Dodajmy, że zdjęcia eksponowane na wystawie są darem dla Muzeum Sztuki i pozostaną już w Polsce.

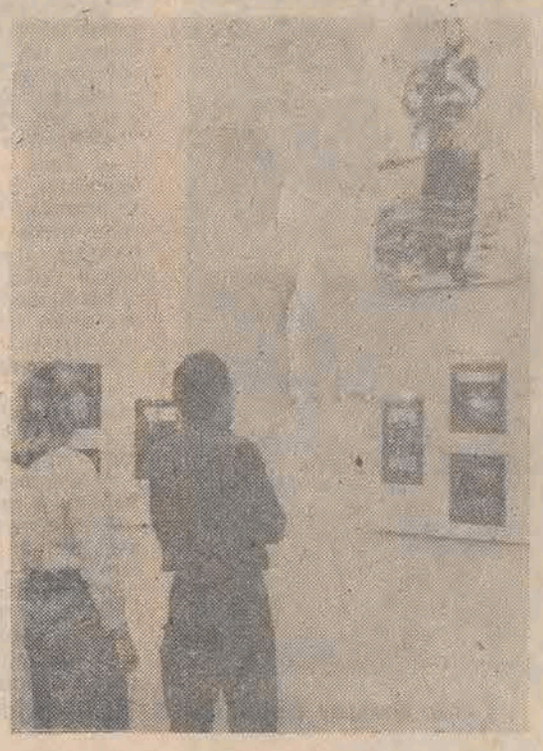

Z półki recenzenta

NOWY LEM

Wiem, że każda zachęta, by czytelnik sięgał po książki Stanisława Lema, jest niepotrzebna: od lat twórczość tego znakomitego pisarza przyciąga czytających na całym świecie. Toteż — w odniesieniu do nowej jego powieści pt. „Fiasko" — nie ma potrzeby, aby przekonywać, iż oto pojawił się utwór, który dostarczy nowych przeżyć, wzruszeń i skłoni do zadumy. I tak, w dwóch zdaniach: „Fiasko" to zderzenie się człowieka z pozaziemską cywilizacją, to przeciwstawienie sobie dwu odwiecznych potęg: Dobra i i Zła. A więc temat SF, ale podtekst zupełnie ziemski.

Stanisław Lem: „Fiasko". WL 1987. Str. 368. Cena 430 zł.

GALAOR

Któż z nas nie zna baśni o śpiącej królewnie? Okazuje się, że można ją opowiadać na kilka sposobów. Meksykański pisarz Hugo Hiriart wymyślił chyba wyjątkowo zabawny wariant doszczętnie mieszając w tyglu swojej wyobraźni zamierzchły świat rycerzy, księżniczek, wróżek i wróżbitów, ukazując niezliczone potyczki z potworami, pojedynki... W jednej z ostatnich scen błędny rycerz Galaor mówi: „Może więc nie cele są ważne, lecz sam fakt, że człowiek żyje?".

Przekład Joanny Skórnickiej-Nalepiny.

Hugo Hiriart: „Galaor". WL 1987. Str. 144. Cena 190 zł.

DRAMATY CAMUSA

To gratka dla miłośników twórczości tego filozofa, pisarza i publicysty: oto ukazały się cztery dramaty Alberta Camusa — „Kaligula", „Nieporozumienie", Stan oblężenia" i „Sprawiedliwi". Dziś twórczość dramaturgiczna Camusa jakby została nieco zapomniana, lecz jak pisze w posłowiu Małgorzata Szpakowska „Cykliczność mód pozwala sądzić, że po epoce widowisk powrócić może znowu teatr filozofującego dialogu, a w tej dziedzinie Camus nie tak wielu ma sobie równych".

Przekład zbiorowy.

Albert Camus: „Dramaty". WL 1987. Str. 304. Cena 380 zł.

BARDZO SZEROKIE MORZE

Prototypem bohaterki książki Jean Rhys pt. „Szerokie Morze Sargassowe" stała się podobno autentyczna, obłąkana kobieta. Jednakże nie sam fakt szaleństwa stanowi o wartości tej książki, lecz bardzo ciekawe obserwacje obyczajów eks-właścicieli niewolników w Indiach Zachodnich, którzy swoim postępowaniem wywołują nienawiść, gniew i pogardę u ludności tubylczej. Po szczegóły odsyłam jednak do książki.

Przekład Maryli Topczewskiej-Metelskiej.

Jean Rhys: „Szerokie Morze Sargassowe". WL 1987. Str. 208. Cena 240 zł.

O MALARSTWIE INACZEJ

Pełny tytuł tej publikacji brzmi: „Imitacje świata. O polskim malarstwie i krytyce artystycznej drugiej połowy XIX wieku". A więc analiza zjawisk (oczywiście nie wszystkich), jakie zachodziły w naszym malarstwie w drugiej połowie ubiegłego wieku oparta na nieznanych dotąd dokumentach i pogłębiona wnikliwymi studiami historycznymi. Całość została bogato zilustrowana reprodukcjami (wielka szkoda, że są one czarno-białe) obrazów wielu znanych i mniej znanych artystów.

Jerzy Malinowski: „Imitacje świata". WL 1987. Str. 258. Cena 650 zł.

CÓRKA KSIĘŻYCA

We wstępie autor pisze: „Córka Księżyca' i pozostałe legendy układają się w szlak podróży z krańców półkuli wschodniej do krańców zachodniej, wytyczony śladami prastarych mitów, podań i legend". Do tego cytatu konieczne jest pewne wyjaśnienie: otóż autor niejako „przetworzył" owe mity, podania i legendy nadając im inną wymowę, czasem komentując, innym razem znaną rzecz opowiadając na nowo.

Całość uzupełniają ilustracje Mariana Mucawskiego.

Stefan Majchrowski: „Córka Księżyca", LSW 1987. Str. 238. Cena 460 zł.

Opracował:
E.IW.

Dobrze, myślałem, Petersburg się wzburzył, ale żeby od jednego wstrząsu runęło całe imperium? Taki zdawało się monolit i raptem się rozsypał, nawet nie runął, po prostu rozsypał się, zetlał, nie było w nim nic litego, i nikt go nie podparł, i nikogo to próchno waląc się nie zabiło, co za szczęście, katastrofa bez ofiar! Ale w takim razie czym się takn mizerota trzymała tyle czasu, w jaki sposób gniotła wszystkich i wszystkim rządziła? — nie mogłem się temu nadziwić i wstydziłem się, że nie rozumiem dlatego, że mam dopiero czternaście lat. Ale kiedy zdobyłem się na pytania, to w oczach i słowach ludzi dojrzałych dostrzegłem także zdumienie i tę samą mniej więcej wizję. Nasz Dżentelmen wykręcił się przenośnią; zawsze przed świtem noc wydaje się ciemniejsza, a każdy rząd wygląda najmocniej w przededniu upadku. Podobały mi się te słowa, brzmiały ładnie, niczego jednak nie tłumaczyły. Ojciec Sieriożki, który mieszkał w gmachu banku państwowego i ponoć miał klucze od skarbca, wyznał otwarcie, że on także nic a nic nie rozumie, partie rewolucyjne zostały rozgromione na początku wojny, nie słyszeliśmy, mówił, aby prowadziły jakąś żywszą działalność. Wuj Minca, mienszewik, wrócił z zesłania i według niego wszyscy wybitniejsi rewolucjoniści znajdowali się na zesłaniu, w więzieniach albo przebywali za granicą, dopiero w marcu zaczęli powracać i włączać się w bieg wydarzeń. To mnie zbiło z tropu, bo jeśli w lutym nie było przywódców ani większości rewolucjonistów, to kto wtedy robił rewolucję?

— Motłoch — orzekł Bek Achmadarow — motłoch wyczuł, że nikt go nie rozpędzi, nie zostało ani jednego wiernego carowi pułku.

— A dlaczego nie zostało nawet pułku?

— Chłopaku, toć nie ma już armii, to jeden wielki motłoch... No i tak w kółko, motłoch, tłum, naród albo lud, jak to się komu widziało, inaczej mówiąc żywioł ruszył i zmiótł monarchię, czyli nie nowego dorośli mi nie powiedzieli, w dalszym ciągu błądziłem wśród pytań dlaczego, skąd i w jaki sposób, choć znałem już przebieg dni lutowych, gazety o tym pisały. A gazet było wtenczas mnóstwo, mogłem czytać a czytać, ludzie zachłystywali się wolnym słowem, pławili w niezależnej prasie, kto chciał a miał na papier i druk, wydawał pismo.

Otóż gazety, ile ich tam było, dość obszernie opisywały wydarzenia owych pięciu krytycznych dni lutowych w Petersburgu i wszystkie relacje przeróżnych gazet zgadzały się mniej więcej, widziałem jeden i ten sam bajeczny obraz.

Najpierw chwosty, jakich w Pienzie jeszcze nie znano — wszystko zaczęło się w ogonkach. Kobiety stojące w potwornych ogonkach przed sklepami burzą się i pomstują, przechodnie zatrzymują się, skupiają wokół kobiet, bo także są wygłodzeni i źli na cara, tworzą się tłumy, tłumy rozbijają piekarnie i sklepy, na ulicę lecą szyby i bochenki chleba, tu i tam powstają wiece.

Policmajster grozi straszliwymi karami, na chybił trafił aresztuje socjalistów, jakich ma pod ręką w swej kartotece.

Robotnicy ogłaszają strajk i porzuciwszy fabryki nadciągają od śródmieścia z peryferii i osad podmiejskich.

Policja ustawia karabiny maszynowe na dachach domów, padają pierwsze strzały, wzywa się wojsko, ale żołnierze są zmęczeni wojną i zdemoralizowani, nie bardzo już słuchają swych oficerów i jeśli się czego naprawdę boją, to powrotu na front — wojsko łączy się z narodem i zdobywa twierdzę św. Piotra i Pawła, stolica jest w rękach ludu.

Car żąda odsieczy od naczelnego dowództwa, ale generałowie w głównej kwaterze z carskim stryjem włącznie odpisują mu, ustąp, najjaśniejszy panie, nie ma rady, musisz ustąpić.

Car abdykuje na rzecz syna, tego chłopaczka w krótkich spodenkach i bluzeczce z koronkowym kołnierzem. Teraz nikt go nie chce, nie dlatego, że chorowity i złego ojca syn, ale w ogóle nie chcą nikogo więcej na tronie ani żadnego tam tronu.

Delegacje pułków, fabryk, stowarzyszeń społecznych i miast idą tłumnie pod Pałac Taurydzki, gdzie obraduje Duma, car rozwiązał ją parę dni temu, ona jednak została w swym pałacu i obraduje, bo tak chcą, tego żądają wszystkie delegacje, niech rządzi parlament!

Niedobrze, najjaśniejszy panie, mówią dworacy, abdykuj jeszcze raz, bo będzie całkiem źle, i car abdykuje na rzecz młodszego brata, lecz wielki książę Michał nie chce wkładać korony i narażać głowy.

Nie ma starego cara i nie ma nowego, rzecz straszna, jak mnie objaśnił Kazarkin, wszyscy generałowie, ministrowie, gubernatorzy, wszyscy urzędnicy od dyrektorów i radców stanu aż do ostatniego wójta, listonosza i stójkowego, z chwilą abdykacji ich imperatora, tracą wszelką moc, nie istnieją już i znikną jak promienie świetlne po zachodzie słońca, jest więc zamęt i trwoga, musi być przecież jakiś rząd, jakaś władza, ale komu ją dać i kto się podejmie?

A w tym samym czasie i w tymże Pałacu Taurydzkim powstaje Rada Delegatów Robotniczych i Żołnierskich, rej tam wodzą socjaliści rewolucjoniści przy pomocy innych socjalistów i oni żądają od Dumy, by wyłoniła Rząd Tymczasowy, dopóki nie odbędą się wybory do Konstytuanty, a ta już ostatecznie rozstrzygnie, jaki ma być ustrój i rząd w Rosji.

I oto od marca istnieje Rząd Tymczasowy z kadetów, o których wiem już, że nie mają nic wspólnego z chłopcami w mundurkach kadeckich, to są poważni ludzie, konstytucyjni demokraci, po większej części kupcy, przemysłowcy, profesorowie uniwersytetów i bardziej postępowi ziemianie, tak zwana liberalna burżuazja, która chce, by w Rosji było jak w Anglii albo jak we Francji.

A więc zwyciężyła rewolucja, rewolucja krótka i wspaniała jak majowa burza, nie było zniszczeń, nie było krwi, nie było mściwego pastwienia się nad pokonanym wrogiem, zwycięstwo chlubne i godne Rosji, bo lud rosyjski ma Boga w sercu i mistyczne treści, gdzie indziej pisano, że ma treści humanitarne, odwieczną, mużycką tęsknotę za sprawiedliwością społeczną i poczucie ładu na skutek gminnej wspólnoty rolnej, wyczytałem też i takie wyjaśnienie, że rewolucja zwyciężyła zdecydowanie i bezkrwawo dlatego, że robił ją świadomy proletariat. To było nowe dla nas, w czwartej gimnazjalnej nie znaliśmy tego słowa, na jednej z pauz posprzeczaliśmy się nawet o to, czy robotnicy i proletariat to jedno i to samo? Niektórzy chłopcy twierdzili, że robotnicy pochodzą ze wsi i do wsi chcą wrócić, ale nie mogą, choć pracują do upadłego, są umorusani, ciemni i niebezpieczni po wypłacie, kto nie wierzy, niech się przejdzie przez Słobódkę, a proletariat to dziedziczni robotnicy, przeważnie w skórzanych fartuchach, bo pracują przy maszynach, przy piecu i metalu w wielkich fabrykach, dlatego w Pienzie nie ma proletariatu, spotkasz go tylko w Petersburgu, w Moskwie i na Uralu. Proletariat gardzi chłopami i robotnikami, jest dumny ze swej pracy i klasy, a w święta idzie porządnie ubrany do proletariackich związków i partii, gdzie się uczy i wybiera przywódców.

Życie, zamknięte dotąd domem, szkołą i chłopięcym penetrowaniem, rozwarło się na świat, wdzierały się niepojęte wydarzenia, sprawy i słowa, próbowałem je uchwycić, przyswoić, z najlepszą wiarą i naiwnością, naiwnością w normie mojej czternastej wiosny i w aurze wiosny siedemnastego roku, którą wszyscy się upajali, kiedy wytrawni politycy snuli dziecięce sny w ogólnym idealizowaniu, w powszechnej euforii wyzwolenia, jakiej nie dane mi już było nigdy potem przeżyć. Wiosna czterdziestego piątego roku, kiedyśmy wychodzili z obozów, także oszałamiała wyzwoleniem, była jednak skażona, z obozów śmierci nie powracało się do życia bez skazy, byliśmy u kresu sił, dusze mieliśmy chore i czad palonej kości z nozdrzach, niejeden mijając nie pochowane jeszcze zwłoki zmarłych odczuwał wyrzut tamtych, przeżyłeś, dlaczego właśnie ty? — wyrzut, rozterkę i lęk, jak żyć z tym wszystkim, jak w poprzedni byt przenieść odmienioną moją osobowość, z którą muszę się oswoić i przecież wrócić do tych, którzy kochali, znali, pamiętają zupełnie innego człowieka... A wiosną siedemnastego roku była sama radość, obchodzone niczym nieskalane święto wyzwolenia, olśniewające zwycięstwo nowego życia bez walk i ofiar, bez terroru, bez rozpasania niskich instynktów — jak świat światem, mówiono, nie było jeszcze takiej rewolucji!

Co do owych instynktów i ofiar, to w Pienzie zdarzył się tylko jeden wypadek zemsty tłumu, w marcu chyba, bo dzień był słoneczny i parny, pamiętam zwały brudnego śniegu i szum potoków na ulicy, którą szedłem pod górę z malutką Tanią na spacer. Trzymając ją za rączkę, posuwałem się tam, dokąd wszyscy spieszyli, na plac katedralny, dochodziły już stamtąd dźwięki orkiestry przygrywającej do uroczystości zaprzysiężenia garnizonu. Przysięgę na wierność rewolucji i defiladę wojsk miał odebrać dotychczasowy carski komendant miasta czy też dowódca okręgu wojskowego, generał Baum, Berg, Bem, nie mogę sobie przypomnieć, jakieś niemieckie nazwisko na B.

Kiedyśmy doszli do rogu ulicy, skąd otwierał się widok na plac, orkiestra przestała grać, rozległ się czyjś donośny, władczy głos, ktoś przemawiał, dolatywały odpryski zdań, coś o Rządzie Tymczasowym, który wzywa i o armii, która jednak musi dalej walczyć z Germańcem. Ludzie poruszali się niespokojnie — wyciągali głowy, wziąłem Tanię na ramiona, żeby jej czasem nie przewrócili w tłumie. Siedziała sobie wygodnie na moim karku przewiesiwszy nóżki, które przytrzymywałem na piersi, od czasu do czasu wykrzykiwała co się dzieje na placu, bo ja widziałem tylko głowy i plecy przed sobą i izwoszczyka nad tłumem z prawej strony na postoju, siedział w swych sankach ze znudzoną miną, nagle się poruszył, Tania zawołała, o, ten pan ucieka! — i w tejże chwili huknęły strzały. Tłum rzucił się do tyłu i byłby nas przewrócił, gdyby nie słup telegraficzny, uderzyłem o niego plecami, czapka zleciała mi z głowy, Tania wczepiła się w moje włosy, złapałem się oburącz słupa, a nikogo już nie było przede mną, tylko ten generał na B., którego raz koledzy pokazali mi na ulicy mówiąc, satrapa, znęca się nad żołnierzami. W rozpiętym szynelu zmykał co tchu, generalskie wyłogi majtały, ich czerwień biła w oczy żałosną jaskrawością, czymś jarmarcznym, biegł prosto na nas z rewolwerem w ręku. Ścigający go żołnierze, których był powstrzymywał ostrzeliwując się przed chwilą, podnieśli karabiny, ale się zawahali mając nas na linii strzału, dzięki temu zdążył dopaść sań, dziesięć kroków ode mnie, widziałem go wyraźnie, ledwo łapał oddech, szary z przerażenia staruszek, zdołał tylko wychrypieć, ruszaj! Ale izwoszczyk nie mógł ruszyć, na defiladę nadciągała właśnie jakaś spóźniona i dobrze prezentująca się kompania, jej dowódca na widok obleganego w sankach generała rzucił komendę i kolumna stanęła jak wryta błysnąwszy bagnetami na rozwścieczonych żołnierzy. Sypnęły się stamtąd wyzwiska i wyrzuty, a coście poszaleli, że na swoich z bronią? i kogo wy bronicie, tego skurwysyna?! Nastroszona szczecina bagnetów drgnęła, generał chciał wyskoczyć z sań, ale izwoszczyk, który oglądał się, obracał na koźle to do tych z bagnetami przed nim, to znów do tamtych wrzeszczących z tyłu, raptem uniósł się jak w strzemionach i ciął generała batem przez twarz, generał zwalił się i zaraz wyleciał wyrzucony w górę, szmaciany Pietruszka z szarmankowego balaganu, runął w żołnierską, sukienną masę. Stunożna masa dreptała teraz z pomrukiem, z chrobotem, wlokła, rozrabiała zajadle, zewsząd zbiegali się żołnierze, cywile, kobiety i nad całym tym opętaniem świdrował dziecięcy krzyk Tani, oni go biją, powiedz dlaczego oni go biją?! Zdjąłem ją z ramion, postawiłem, bo już byliśmy sami na rogu, wszystko kotłowało się coraz dalej od nas. Zacząłem szukać czapki, czapka na głowie, o tym tylko myślałem, to mi się wydawało najważniejsze, najpilniejsze. A kiedy w końcu znalazłem ją zdeptaną, podartą, z ułamanym skrzydełkiem srebrnego znaczka gimnazjalnego, kiedy otrzepywałem to coś, co przed kwadransem było czapką, ujrzałem Lilę Sołowjową z siódmej klasy gimnazjum żeńskiego, gwiazdę naszej sceny szkolnej, niezrównaną w heroinach z poetyckiej wizji, biegła ulicą wymachując tryumfalnie strzępem generalskiej podszewki, subtelna Lila Sołowjowa, nasz ideał, tęsknota nasza, uosobienie słodyczy dziewczęcej i czaru, pędziła na złamanie karku z ustami wykrzywionymi dzikim, krwawym śmiechem, z oczami pijanej wampirzycy. Ale powiedz, szarpała mnie za rękaw Tania, powiedz, za co oni go biją? Nie miałem ochoty na rozmowę z Tanią, taki czteroletni szkrab, na co jej to wszystko, nie mogłem w ogóle mówić, ach, co ty pleciesz, powiedziałem, oni się tak tylko bawią, widziałaś przecież, że go bujali...

Pierwszy raz widziałem mordowanie człowieka, dlatego tak pamiętam. I zatracanie się ludzi w niepoczytalnym i przemożnym tłumie, gdzie nikt już nie jest sobą. Ilekroć później na Wolnej Wszechnicy Polskiej Ludwik Krzywicki dosiadł swego konika, psychozy zbiorowej, bez której niepodobna zrozumieć dwudziestego wieku, jego masowych zamroczeń i klęsk, powtarzał to nam niemalże na każdym wykładzie i to wówczas, na początku lat trzydziestych, wydawało się przesadą, jakimś starczym przeczuleniem znakomitego socjologa, bo chociaż faszyzm już był, lecz hitleryzm dopiero się kształtował, a stalinizm rozwijał się w osłonie złudzeń, dymnej propagandy i dezinformacji, otóż ilekroć Krzywicki poruszał zjawisko masowej psychozy, zawsze wybiegało mi ono przed oczyma i nękało twarzą Lili Sołowjowej.

I jeszcze coś, nie warto by o tym wspominać, takie to błahe i zupełnie bez znaczenia, jeśli chodzi o historię tamtych dni, ale ja spisuję historię własną, rejestr pamiętnych momentów psychicznych. Otóż, gdy prasa podała opis deportacji cara, czytałem z aprobatą, dobrze mu tak, zsyłał, teraz sam jedzie na zesłanie, czyli mniej więcej jakeśmy postanowili. Myśmy pierwsi zainteresowali się losem zdetronizowanego monarchy, co z nim zrobić, ściąć go, trzymać w więzieniu czy posłać do pracy? Sądzimy go sądem jawnym, sprawiedliwym i powszechnym całej naszej czwartej klasy, każdy mógł go bronić, tylko że nikt nie chciał, trzeba było wylosować obrońców. W czasie rozprawy wyszły na jaw rzeczy straszne i ohydne, bylibyśmy go skazali na śmierć gdyby nie obawa, że w ten sposób możemy pokalać rewolucję, o której ciągle pisano i mówiono, że bezkrwawa, wspaniała i wielka na miarę Rosji, jej kultury, jej ofiarnej, ideowej inteligencji, rewolucja na miarę świadomości młodego proletariusza rosyjskiego i serca prostego ludu, który szuka Boga i prawdy na ziemi. Dobrze, powiedzieliśmy, darujemy Mikołajowi życie ze względu na brak charakteru i słaby rozwój umysłowy, niech idzie na zesłanie, niech się tam gryzie i wstydzi do końca swoich dni, natomiast cesarzową Alicję, tę czarownicę, należy trzymać w więzieniu aż się wojna skończy, wtedy odesłać z powrotem do Niemiec wraz z księżniczkami, jeśli do tego czasu nie powychodzą za mąż, a były carewicz może się uczyć jak każdy chłopiec, tylko pod innym nazwiskiem i w nieznanym mieście. Tu nasz wyrok różnił się od postanowienia rządu, bo jak wyczytałem, cała rodzina carska jechała na zesłanie, ostatecznie nie taka już wielka różnica, byłoby to przeszło bez wrażenia, gdyby w ostatniej chwili nie zjawił się emerytowany admirał Niłow. Dosłownie w ostatniej chwili, gdy car wsiadł już do wagonu, stary admirał zdołał przepchnąć się przez tłum konwojentów i gapiów i ze łzami w oczach przypadł do ręki swego monarchy. Znalazł się jednak monarchista, jeden jedyny, ale się objawił, dodano zjadliwie w komentarzu i coś tam jeszcze o lokajskiej mentalności. Wstyd było patrzeć na takie dogryzanie człowiekowi, który zawinił właściwie tylko przyzwoitością. Zrobiło mi się nieswojo. Zdążyłem już nabrać pogardy do monarchistów, dla ich nikczemności i głupoty za cara, kompletnej ich nędzy w dniach rewolucji, z poczuciem wyższości mogłem mówić o tych bądź co bądź dorosłych dranie, durnie i tchórze, i oto jeden z nich robi rzecz imponującą, na którą nie każdy by się zdobył, zastanawiałem się, czy ja bym tak mógł? Przecisnąć się przez tłum szumiący gniewną kpiną albo milczący, co jeszcze gorzej, przejść przez takie miażdżące milczenie tłumu i na oczach wszystkich ucałować rękę swego pana i dobroczyńcy, jadło się przecież dawniej z tej ręki, może nawet mniej niż inni, to nieważne. Po prostu, sprawą honoru jest pożegnać solennie swego cesarza, gdy idzie na wygnanie, potępiony, wzgardzony bardziej niż żebrak czy przestępca — nie, łatwiej zdawało mi się bronić i bodaj zginąć na jakiejś straconej placówce niż zrobić coś podobnego, prosty ludzki odruch na przekór wszystkim pod gwizd i śmiechy wszystkich...

Fragmenty, miesięcznik krytyczny „Meritum" październik 1981

19 października zmarł w wieku 54 lat Igor Newerly. W jego prozatorskiej twórczości łączą się w sposób interesujący elementy literackiego autentyzmu (często wiążące się z biografią pisarza) z wątkami egzotycznymi bądź przygodowymi. Do najpopularniejszych powieści zmarłego pisarza należą „Chłopiec z Salskich Stepów" (1948), „Archipelag ludzi odzyskanych" (1950), „Pamiątka z Celulozy" (1952) — niewątpliwie najbardziej dojrzała artystycznie pozycja literacka, która powstała w okresie propagowania założeń realizmu socjalistycznego. Sekretarz i współpracownik J. Korczaka — wróci po latach I. Newerly do postaci Dobrego Doktora i czasów „Małego Przeglądu" w „Żywych wiązaniach" (1964) i „Rozmowie w sadzie piątego sierpnia" (1976). Aurą egzotyki i zafascynowania przyrodą wprowadzają powieści „Leśne morze" (1960) — historia polskiego myśliwego w Mandżurii oraz wydane tuż przed śmiercią „Wzgórze błękitnego snu". Wydał nadto „Za Opiwardą, za siódmą rzeką" oraz „Wybór pism J. Korczaka".
Twórczość literacka oraz działalność społeczna pisarza uhonorowana została zarówno nagrodami literackimi i odznaczeniami państwowymi (Krzyż Komandorski z Gwiazdą Odrodzenia Polski, Order Sztandaru Pracy I klasy).

Zostało z uczty bogów

IGOR NEWERLY

Kronika kulturalna

JUBILEUSZOWY, czterdziesty rok działalności rozpoczęła w bm. PWSFTviT im. Leona Schillera w Łodzi.

Uroczystości rocznicowe zainaugurowane zostaną 12 listopada sesją poświęconą uczczeniu pamięci wybitnego pedagoga i jednego z założycieli szkoły — prof. Antoniego Bohdziewicza.

Jego imię nadane zostanie auli PWSFTviT.

DLA UPAMIĘTNIENIA 45 rocznicy zagłady ludności żydowskiej w Kraju Warty, zespół naukowo-badawczy do spraw eksterminacji Żydów na ziemiach polskich wcielonych do III Rzeszy przy OKBZH w Łodzi, wraz z Delegaturą w Sieradzu, zorganizował 23 bm. w Zduńskiej Woli sesję naukową.

W kilkunastu referatach (m.in. **prof. dr Kazimierza Kąkola, prof. dr Jana Fijałka, dr Stefana Krakowskiego**) i komunikatach naukowych, znalazła wszechstronny wyraz gehenna ludności żydowskiej.

Tego samego dnia w gmachu Sądu Rejonowego w Zduńskiej Woli, **otwarte zostały dwie wystawy — „Okupacja hitlerowska w Sieradzkiem" i „Martyrologia Żydów w Kraju Warty".**

W XXX LICEUM OGÓLNOKSZTAŁCĄCYM im. Janka Krasickiego w Łodzi odbyła się 20 X br. uroczysta sesja — „NRD — kraj i ludzie".

Zorganizowana została z okazji dziesiątej rocznicy bardzo owocnie układającej się współpracy tej szkoły z organizacją związkową działającą przy Komitecie Okręgowym SED w Karl-Marx-Stadt.

Wykład wprowadzający, pt. **„Obraz Polski i Polaków w podręcznikach NRD"**, wygłosił Karol Strawiński (MNP). Później dyskutowano w zespołach problemowych.

Wśród zaproszonych gości **znajdowała się delegacja z NRD.** Obecny był również sekretarz KŁ PZPR — **Tadeusz Janusz.**

LICZĄCY PONAD 14 TYS. CZŁONKÓW rzeczywistych, należący do najaktywniejszych w kraju, **łódzki oddział Towarzystwa Krzewienia Kultury Swieckiej, zainaugurował** 19 października, **nowy rok działalności kulturalno-oświatowej.**

Przy TKKS istnieje wydawnictwo, które zamierza **wydać w przyszłym roku 11 publikacji książkowych (m.in. drukowane u nas w odcinkach wspomnienia Adama Ochockiego z pobytu, w latach wojny, w ZSRR).**

WYBITNY RADZIECKI TWÓRCA — Bułat Okudżawa, w wywiadzie dla tygodnika „Ogoniok" **o powieści „Dzieci Arabatu" Anatolija Rybakowa powiedział:**

„Wśród niezliczonych pisanin, fałszerstw, rzekomo obiektywnych »prawd«, które jedynie wypaczają naszą historię, rodzą cynizm i obojętność to dzieło wielkiego talentu jest rzetelną, obiektywną, nie zaślepioną, lecz sprawiedliwą i humanitarną kroniką".

W OSTATNIM NUMERZE POZNAŃSKIEGO TYGODNIKA „WPROST" (nr 43 z 25.X.), w „Notatniku kulturalnym", podana jest informacja (być może oparta na prasie warszawskiej, że głośną powieść **Anatolija Rybakowa „Dzieci Arabatu"** drukują czasopisma **„Przyjaźń" i „Stolica".**

Nie jesteśmy zbyt przewrażliwieni, ale **przeoczone zostały „Odgłosy", do których,** ponadto, **należy palma pierwszeństwa.**

JUŻ PO RAZ PIĄTY odbędzie się w naszym mieście, od 18-22 XI br., **Ogólnopolski Festiwal Współczesnej Twórczości Muzycznej dla Dzieci i Młodzieży („DO-RE-MI").**

Jego organizatorami są: **Ludowy Instytut Muzyczny i Związek Kompozytorów Polskich** (Oddział w Łodzi).

Podczas tegorocznego festiwalu, **45 kompozytorów polskich zaprezentuje ponad 120 różnorodnych utworów muzycznych.**

Wśród wykonawców gościć będziemy również — **Młodzieżową Orkiestrę Smyczkową z Bułgarii i zespoły Kameralne z NRD.**

Oprócz koncertów festiwalowych, przewidziane są atrakcyjne imprezy towarzyszące.

WIESŁAW GÓRNICKI, wybitny publicysta, **obecnie doradca przewodniczącego Rady Państwa, szef samodzielnego zespołu studiów przy przewodniczącym Rady Państwa i przewodniczącym Komitetu Obrony Kraju,** został **awansowany do stopnia podpułkownika.**

OD MIESIĄCA REDAKCJĄ SPORTOWĄ TVP kieruje Edmund Mikołajczyk.

Wielu naszych **czytelników pamięta go** zapewne z doskonałego **„Studia 2".**

Przed powrotem na Woronicza, E. Mikołajczyk **był rzecznikiem prasowym PZPN.**

W wywiadach zapowiedział, iż **nie będzie występował jako komentator sportowy.** Zamierza ograniczyć swoją rolę do **uatrakcyjnienia i sprawnej organizacji programu sportowego.**

ANDRZEJ KRÓLIKOWSKI, absolwent Wydziału Dziennikarstwa i Nauk Politycznych UW, **od 1974 r. pracujący w telewizji** (współpracował ze Studiem 2", w latach 1982-1986 prowadził program reporterów „Gorąca linia"), **komentator TV w Łodzi,** został wybrany **wiceprezesem Zarządu Głównego Stowarzyszenia Dziennikarzy PRL.**

Łączymy nasze „Odgłosowe", najserdeczniejsze gratulacje!

PIĘKNY PUCHAR, z wygrawerowaną **dedykacją: „Jerzemu Passendorferowi za film „Mewy" —** wdzięczne „Mewki", **doręczono** przez gońca, **znanemu reżyserowi** do hotelu w Koszalinie.

BOGUMIŁA WANDER — jedna z najpopularniejszych naszych spikerek telewizyjnych — powiedziała niedawno **dziennikarzowi „Życia Warszawy",** „że krępują ją uwagi o jej strojach i dodatkach". Po uszczypliwych docinkach „sięgnęła natychmiast po szarą suknię i po sztuczną biżuterię. W rezultacie telewidzowie nie mogli jej wybaczyć, że tak nieefektownie i skromnie wypadła na ekranie".

NA REDAKTORA NACZELNEGO bydgoskiego **tygodnika kulturalno-społecznego „Fakty" — powołany został Wiesław Krzysztoszek.**

Opracował: JAK

ANATOLIJ RYBAKOW (20)

Dzieci Arbatu

2.

Na naradę w sprawie Centralnego Planu Rozbudowy Moskwy Stalin przyszedł, kiedy narada już się zbliżała do końca. Wiedział, co powie w przemówieniu wprowadzającym Kaganowicz, czytał referat Bułganina. Wszystkie opinie i propozycje w sprawie rozbudowy już były mu przedstawione, omawiano je dwukrotnie na posiedzeniach Biura Politycznego i wypracował sobie swój punkt widzenia. Właśnie ten punkt widzenia jest ujęty w Centralnym Planie Rozbudowy Moskwy. Centralny Plan — to jest właśnie jego punkt widzenia.

Wszyscy wstali, kiedy zjawił się w prezydium, wybuchnęła narastająca zwykła burza oklasków. Stalin podniósł rękę w geście powitania i zaraz usiadł, prosząc tym samym pozostałych, żeby też usiedli.

Ktoś, stojąc na trybunie, kończył wystąpienie. Udając, że uważnie go słucha, Stalin rysował na kartce ruiny zabytkowych cerkwi w Ateni, maleńkiej wsi, położonej około dziesięciu kilometrów od Gori, gdzie mieszkali klienci jego ojca, szewca Dżugaszwili. Ojciec odnosił im robotę, a czasem wykonywał zamówienia na miejscu dzień-dwa.

Często zabierał z sobą małego Josifa. Wyruszali z Gori wczesnym ranem, szli brzegiem Tany wzdłuż winnic, aż zrównali się z ruinami starych cerkwi, w Ateni, tej małej wiosce, było ich dziewięć, czy dziesięć, wśród nich cerkiew Sionskiego monastyru, zwieńczona kopułą, i jak mówią przekazy, zbudowana jeszcze w siódmym wieku. Na jej fasadzie zachowały się rzeźby, przedstawiające postacie historyczne tamtej epoki, a wewnątrz świątyni freski, także przedstawiające postacie historyczne.

Zabytki architektoniczne są zabytkami o największej wadze: długowieczne ze względu na materiał, stoją na odsłoniętych miejscach, dostępne zewsząd oglądowi i w naturze, i w makiecie, i na fotografiach. Znaczenie rzeźby rozumiał też Lenin, żądający propagandy pomników. Jednak Lenin pojmował ją jako środek służący do wpajania w świadomość mas nowych historycznych autorytetów. Prawdziwym zaś zadaniem propagandy monumentalnej jest uwiecznienie epoki. Ile zostało z pięćdziesięciu stworzonych wtedy pomników? Jeden? Dwa?

Pomnikiem JEGO epoki będzie Moskwa, miasto, które ON stworzy od nowa, tylko miasta są długowieczne. Skromna architektura była błędna. Przeciwstawienie rewolucyjnej ascezy ostentacyjnemu luksusowi NEP-u służyło jako przykrywka architektom-formalistom, odrzucającym spuściznę klasycyzmu. A na spuściźnie klasycyzmu trzeba się oprzeć przede wszystkim.

Rozumiał to Piotr i tworzył Petersburg właśnie według wzorów klasycznych, dlatego z architektonicznego punktu widzenia Leningrad — to miasto. Ale jest to miasto minionych wieków — przyziemne. Moskwa jawić się będzie potomkom jako miasto dążące wzwyż. Wysokościowe gmachy w połączeniu z rozwiązaniami klasycznymi — oto jej przyszły styl. Jako pierwszy gmach wysokościowy stanie Pałac Rad. Z projektem jego budowy wystąpił Kirow w dwudziestym drugim roku na Pierwszym Zjeździe Rad. Kto o tym pamięta? Pałac Rad zbuduje ON, zbuduje jako centrum architektoniczne nowej Moskwy, przebije nowe magistrale, przerzuci metro, wzniesie nowoczesne domy mieszkalne i gmachy instytucji, wybuduje nowe mosty i bulwary, dźwignie hotele, szkoły, biblioteki, teatry, kluby, założy ogrody i parki. To wszystko będzie monumentalnym pomnikiem JEGO epoki.

Takie myśli wzbudziły w Stalinie wspomnienia o ruinach starych cerkwi w Ateni.

A wówczas, w dzieciństwie, te na wpół rozwalone świątynie zdumiewały go swoją dźwięczną pustką, swoją daleką tajemnicą.

I teraz siedząc z boku długiego stołu prezydialnego, kreślił na kartce papieru proste linie ich zarysów. Nie umiał rysować, ale figury o prostych liniach wychodziły mu nawet bez linijki, miał pewną rękę.

— Głos zabierze towarzysz Stalin — obwieścił Kaganowicz.

Znowu wszyscy wstali, znowu zwykła owacja, zwykły grzmot oklasków.

Stalin wszedł na trybunę, ruchem ręki przerwał oklaski, zaczął mówić cicho:

— Wystarczająco dużo mówiło się tu o konieczności rozbudowy Moskwy. Nie mam co tego powtarzać. Stara drewniana Moskwa ze swoimi wąskimi ulicami i zaułkami, przejściami i ślepymi uliczkami, ze swoją chaotyczną zabudową, ubogimi domami i ponurymi robotniczymi koszarami, ze swoimi przedpotopowymi środkami transportu absolutnie nie może zaspokoić potrzeb ludzi pracy Moskwy.

Zrobił pauzę, wsłuchał się w napiętą ciszę — siedzieli w bezruchu, wstrzymując oddech.

— Przez lata władzy radzieckiej — ciągnął Stalin jeszcze ciszej — uczyniliśmy wiele dla polepszenia bytu ludzi pracy Moskwy. Robotników, gnieżdżących się w piwnicach, przesiedliliśmy do normalnych mieszkań, zagęściwszy przedstawicieli byłych klas wyzyskiwaczy. Wzniesione zostały liczne szkoły dla dzieci robotników, robotnicze kluby i pałace kultury. Osiągnięcia nasze w tej dziedzinie są znaczne, budzą one słuszną dumę w sercach ludzi radzieckich. Ale naszym obowiązkiem jest myśleć o przyszłości. Kierować — to znaczy przewidywać. Musimy stworzyć plan na dziesięciolecia. To właśnie będzie Centralny Plan Rozbudowy Moskwy.

Zszedł z trybuny, przeszedł się po proscenium, w sali panowała wciąż ta sama cisza.

Stalin wrócił na trybunę i kontynuował:

— Wcielając w życie ten plan, powinniśmy walczyć na dwa fronty: przeciw temu, aby Moskwa pozostała „dużą wsią" i przeciw nadmiernej urbanizacji. Nie powinniśmy ślepo kopiować zachodnich wzorów. Moskwa — to miasto socjalistyczne, stolica socjalistycznego państwa, to właśnie powinno określać jej oblicze. To nie miasto, w którym bogacze żyją w pałacach, a robotnicy w norach, ale odwrotnie — to miasto, w którym właśnie robotnikom stworzono najlepsze i najgodniejsze warunki życia.

Zatem, pierwszym zadaniem planu jest stworzenie miasta, w którym będzie się żyło wygodnie. Powinniśmy wznieść nowe wygodne kompleksy mieszkaniowe, pożądane jest, aby powstały w strefach parkowych. Powinniśmy zabudować wygodnymi i pięknymi domami brzegi rzeki Moskwy i Jauzy, to da nam jeszcze pięćdziesiąt kilometrów uzbrojonych ulic. Powinniśmy zbudować nowe domy na głównych ulicach miasta, burząc wszystko, co stare, poszerzyć główne magistrale do pięćdziesięciu — siedemdziesięciu metrów i tym samym rozwiązać komunikacyjne problemy miasta — znowu w interesie ludzi pracy.

Stalin znowu zrobił pauzę. Wiedział, że mówi rzeczy znane, ale wiedział także, że wszyscy, którzy go słuchają, przyjmą jego słowa jak odkrycie, dlatego, że wygłasza je ON.

— Przechodzę do drugiego zadania — znowu zaczął Stalin — drugie zadanie: stolica pierwszego na świecie socjalistycznego państwa powinna być miastem pięknym. Jeszcze u zarania naszej państwowości pod kierownictwem wielkiego Lenina wypracowany był plan monumentalnej propagandy, wielki Lenin chciał, żeby nasza epoka pozostawiła pomniki na wieki — tego testamentu Lenina winniśmy święcie strzec i rozwijać go. Jednakże w tamte lata byliśmy biedni i zmuszeni byliśmy kontentować się skromnymi rozwiązaniami architektonicznymi. Niestety, otworzyło to szeroko drogę sztuce formalistycznej, a sztuka formalistyczna jest niezrozumiała dla mas, to obca nam sztuka. Teraz jesteśmy dostatecznie bogaci i potężni, i powinniśmy oprzeć się przede wszystkim na spuściźnie klasycznej. Oczywiście, spuścizny klasycznej nie powinniśmy ślepo kopiować, jak to zrobili petersburscy budowniczowie. W klasyczne formy powinniśmy wlać nową, socjalistyczną treść.

Nikołaj Bułganin

Łazar Kaganowicz

Znowu zrobił długą pauzę, potem kontynuował:

— I wreszcie, towarzysze, sprawa ostatnia: w jakim kierunku powinna rozwijać się Moskwa?

Pierwsza propozycja — to zostawić Moskwę taką, jaką jest, w postaci, powiedzmy, muzeum, zabytku, a nową Moskwę budować na nowym miejscu. Przy całym naszym szacunku dla autorów tego projektu, przyjąć go nie możemy. Moskwa — to historyczne centrum Rosji. Moskwa zjednoczyła i stworzyła Rosję, odtrącić jej nie możemy, nie śmiemy i nie ośmielimy się.

Druga propozycja — to zostawić nietknięte dzisiejsze centrum Moskwy, w przybliżeniu w granicach Sadowego Kolca, i otoczyć je ośmiu dzielnicami-satelitami, stworzyć, stworzyć osiem aglomeracji mieszkalnych, które właśnie będą nową Moskwą. Nietrudno spostrzec, że jest to nie więcej, jak tylko złagodzony wariant pierwszego projektu.

Z czego wypływają obydwie te propozycje? Wypływają one z niewiary w naszą zdolność przebudowy Moskwy. Oczywiście, łatwiej jest zbudować nowe miasto. Ale w naszych, bolszewików, siłach, leży nawet najtrudniejsze zadanie: przebudować naszą Moskwę, zostawić naszą Moskwę na swoim miejscu, pozostawić Moskwę jako centrum naszego kraju, centrum światowej rewolucji. I dlatego postanowiliśmy rozbudowywać Moskwę według jej historycznie ukształtowanego radialno-pierścieniowego planu. Jej centrum architektonicznym stanie się Pałac Zjazdów, zwieńczony monumentalną figurą Włodzimierza Iljicza Lenina. Od Pałacu Zjazdów promieniście rozchodzić się będą główne arterie komunikacyjne Moskwy, szerokie, w pełni uzbrojone, z budynkami wysokościowymi na każdej. Moskwa zwróci się wzwyż, w górę. Zwrócona ku górze Moskwa w połączeniu z klasycznymi, lecz z socjalistycznego punktu widzenia przemyślanymi rozwiązaniami — oto jej przyszłe oblicze. Oblicze przyszłej Moskwy.

Za kwadrans dziesiąta, wracając z narady, Stalin przeszedł do siebie do gabinetu.

Poskriebyszew zameldował:

— Szumiacki przywiózł film, Josifie Wissarionowiczu.

— Dobrze — powiedział Stalin — Szumiacki może jechać do domu. Przekażcie Klimentowi Jefriemowiczowi, żeby przyszedł obejrzeć.

Sala kinowa znajdowała się za gabinetem Stalina, dzielił je tylko pokój ochrony. Sala była niewielka, na siedem rzędów, w każdym rzędzie osiem miejsc.

Stalin zwykle oglądał film z kimś z członków Biura Politycznego. W takim przypadku zakładał okulary i siadał w ostatnim, siódmym rzędzie, z brzegu, żeby nie przeszkadzał promień projektora i żeby nie trzeszczał nad uchem. Niekiedy, chociaż bardzo rzadko, tylko jeśli byli goście, Stalin siadał w środku drugiego rzędu i okularów nie zakładał. Nikomu nie pokazywał się w okularach, nigdy w okularach go nie przedstawiano.

Dzisiaj na polecenie Stalina dostarczono „Światła wielkiego miasta" Charliego Chaplina. Stalin oglądał film trzeci raz. Lubił Chaplina. Chaplin przypominał mu ojca, jedynego bliskiego człowieka. A czasem wychwytywał w Chaplinowskim bohaterze podobieństwo z samym sobą — też takim samotnym na tym świecie.

Ale odpędzał od siebie tę myśl — nie odpowiadała rzeczywistości. Chaplin przypominał mu ojca i tylko ojca. Biedny Charlie odchodził drogą, oglądał się, uśmiechał się bezbronnie. Stalin wzruszył się do łez, wytarł chusteczką oczy...

Woroszyłow pochylił się ku niemu.

— Koba, co z tobą?

— To o mnie jest ten film — sucho odpowiedział Stalin.

Ale to był film nie o nim, ale o jego ojcu, nieszczęsnym szewcu Wissarionie Dżugaszwili... Kiedy wyruszał na zarobek, zwykle do Telawi albo jeszcze gdzie indziej, tak samo, jak Chaplin, odwracał się po drodze, machał Josifowi ręką, smutnie, bezbronnie się uśmiechał.

Mieszkali wówczas w domu Kulumbegaszwili, też szewca. Dom był dwupokojowy, jeden zajmowali Kulumbegaszwili, w drugim gnieździli się oni, Dżugaszwili. Malutki, przesycony szewskimi zapachami domek, w którym pracował Kulumbegaszwili, a ojciec bywał rzadko, jeździł do Kachetii, tułał się, nie układało mu się z matką. Matka była kobietą apodyktyczną, czystej kwi Gruzinką, z Kartwelów, a ojciec rzekomo z południowych Osetyńców, zamieszkujących powiat Gori. Jego przodkowie się zgruzinizowali, i dziadek zmienił osetyńskie „jew" w swoim nazwisku „Dżugajew" na gruzińskie „szwili".

Matka chodziła prać i sprzątać do bogatego wdowca Egnatoszwili. W seminarium pogadywano, jakoby to właśnie on był ojcem Josifa, to właśnie on umieścił go w seminarium duchownym, gdyby był synem szewca Dżugaszwili, to ten by go uczył szewskiego fachu, a nie włóczył się po Gruzji.

Wszyscy kłamią — nikomu nie można wierzyć. Malutki Josif dobrze wiedział, że jego ojciec — to szewc Wissarion Dżugaszwili, cichy, dobry człowiek, chociaż matka zawsze mu wymyślała, mówiła, że to przez niego są tacy biedni, zmarnował im życie. Przez te wymówki Josif nie kochał matki.

Niewątpliwie, matka chciała dla niego dobra, chciała, żeby został duchownym, chciała oddać go Bogu. I do Egnatoszwili prowadzała, żeby podjadł sobie więcej i smaczniej. A on nie chciał chodzić do nich. Oni są bogaci, on biedny, wynoszą mu na podwórze talerz charczo, baraninę z kukurydzą, a sami siedzą w pokojach, piją wino, rozmawiają. Kiedy chodzili do Egnatoszwili, matka starała się przyodziać go lepiej. A po co? Jedni ubraniem podkreślają bogactwo, inni usiłują ukryć ubóstwo. A on nie wstydził się swojego ubóstwa. Spodnie się wytarły? Pluje na to. Nie ma innych spodni. Buty się zdarły? Nie ma innych butów. W Tbilisi, w seminarium, nawet był dumny ze swego ubogiego wyglądu — tak powinien wyglądać prawdziwy mężczyzna. I teraz też ubiera się jak prosty żołnierz...

Nie chciał podporządkowywać się woli matki, Ojca kochał, ale jego woli także się nie podporządkowywał z tej prostej przyczyny, że ojciec nie miał woli. Matka miała wolę i wszyscy mówią, że odziedziczył jej charakter, ale jej wola i charakter poświęcone zostały na zdobywanie kawałka chleba. Ale ojciec nie chciał zginać karku za kopiejki, lubił śpiewać, żartować, biesiadować z przyjaciółmi. I w takich chwilach był prawdziwym mężczyzną, sympatycznym, czarującym, wesołym. A obok matki wydawał się malutki, zahukany, milkliwy. Słaby człowiek.

Potem przyszedł list, że ojca zabito w pijackiej bójce. Znowu kłamią. Ojciec nigdy się nie bił, był cichym, spokojnym człowiekiem. Kto i za co mógł go zabić? Po prostu ojciec umarł. Chłopcy w seminarium drażnili Josifa: ojciec nie umiał się obronić. A Josif dobrze wiedział, że to nie tak, wszystko kłamstwo, nawet nie odpowiadał, uśmiechał się i odchodził na bok, pogardzając nimi wszystkimi, swoimi kolegami szkolnymi, pogardzał bogatymi, którzy chełpią się swoim bogactwem, pogardzał biednymi za to, że się wstydzą swojego ubóstwa.

Tam też, w Telawi, pochowano ojca, a gdzie, nikt nie wie. I on jego syn, też nie wie. A on kochał ojca, i ojciec kochał jego, nie karał, nigdy nie robił wymówek, targał pieszczotliwie po głowie, śpiewał piosenki. Po nim też ON odziedziczył muzykalność. W seminaryjnym chórze stał zawsze w górnym rzędzie, gdzie stali wszyscy małego wzrostu. JEGO głos uważano za najlepszy, chórmistrz mówił, że i słuch ma. Wszystko to ma po ojcu, i podobny jest do ojca, też był niewysoki, rudawy, a matka wysoka, czarna. Ojciec znał się na żartach, lubił żartować, matka na żartach się nie znała, była ponurą kobietą.

Krajanie chcą nazwać Gori jego, Stalina, imieniem. Nie potrzeba. Niech nazwą jego imieniem miasto Cchinwali — stolicę Południowej Osetynii — to będzie pomnik ojca i wszystkich osetyńskich krewniaków. Niech matka wie, że on czci pamięć swojego ojca, szewca Wissariona Dżugaszwili. To niegłupia kobieta, zrozumie. Oczywiście, oczami narodu radzieckiego powinien być widziany jako przykładny syn, to czyni jego obraz bardziej ludzkim, bliższym, droższym. Ale dla niego dzieciństwo — to przede wszystkim ojciec.

Znowu wspomniał, jak chodził z nim do Ateni, chłopi uprawiali tam winnice, deptali nogami winogrona, nalewali do ogromnych glinianych dzbanów dobre wino „Atenuru".

I ojciec wieczorami pił z przyjaciółmi ateńskie wino i śpiewał z nimi pieśni — ściskający serce gruziński wielogłos. Ładnie śpiewali, ładnie pili — po gruzińsku, łagodniejąc i weselejąc od wina, nie tak, jak piją rosyjscy chłopi, wpadając po wódce w pijacki amok, bijatyki, nożownictwo. Ale jest to lud rosyjski, wielki w swej liczebności, swoim terytorium, lud, z którym jedynie można tworzyć historię. Przyłączenie do Rosji pozwoliło Gruzinom przetrwać jako narodowi i dlatego gruziński socjalizm jest częścią socjalizmu ogólnorosyjskiego.

Jednak Rosjanie to nie Gruzini. W szkole, w seminaium, nikt go nie zaczepiał z powodu okaleczonej ręki, przejawiała się w tym rdzennie gruzińska szlachetność. Ale potem ludzie nie liczyli się z tym jego fizycznym brakiem, ani w Baku, ani w Batumi, ani na Syberii, byli grubiańscy i bezlitośni. Wtedy się obronił, przeciwstawił im jeszcze większą bezwzględność. Lenin wyrzucał mu bezwzględność, ale tylko tak można rządzić: bezwzględność aparatu trzyma w cuglach bezwzględność ludu. Cackają się z nim tylko inteligenci, których i tak potem wyrzucają, jak rupiecie. Już wtedy, w młodości, zrozumiał, że demokracja w Rosji to tylko wolność rozwoju sił brutalnych i bezwzględnych. Niskie instynkty może zdusić tylko silna władza, taka władza nazywa się: dyktatura. Nie rozumieli tego mieńszewicy, nie znający ludu, rozumieli to bolszewicy, znający lud. Dlatego socjaldemokraci — Rosjanie w swojej większości opowiedzieli się za bolszewikami, socjaldemokraci-nie-Rosjanie — za mieńszewikami. Bolszewizm jest zjawiskiem rosyjskim, mieńszewizm — nierosyjskim. Ze wszystkich wybitnych Gruzinów jedynie ON rozumiał lud rosyjski i opowiedział się za bolszewikami. Inni Gruzini — Noj Żordanija, Cereteli, Czcheidze i tym podobni — nie znali ludu rosyjskiego i opowiedzieli się za mieńszewikami. To prawda, że ON był wówczas przeciwny nacjonalizacji ziemi. Kto miał słuszność w świetle tamtych lat, on czy Lenin, nie wiadomo. Kto miał rację albo nie miał racji w przeszłości — na to historia nie daje jednoznacznej odpowiedzi — rację ma zwycięzca. Ale ON nie stanął w opozycji wobec Lenina: jego droga — z bolszewikami, z Rosją, w której jedynie właśnie ON mógł stać się działaczem politycznym. Dużo się zajmował problemem narodowościowym i wie dobrze: między narodami, jak między ludźmi, zwycięża najsilniejszy, pośród narodów, jak pośród polityków, są tacy, którzy prowadzą i tacy, którzy są prowadzeni. W Związku Radzieckim, skupiającym sto narodów, prowadzącym może być tylko jeden naród — rosyjski, stanowi on więcej niż połowę ludności państwa. Z rosyjskim wielkomocarstwowym szowinizmem należy GŁOSIĆ bezlitosną walkę, ponieważ jako reakcję wywołuje on lokalny nacjonalizm. Ale ni na chwilę nie można zapominać, że główną jednoczącą siłą jest naród rosyjski. Dla narodu rosyjskiego powinien być Rosjaninem, jak dla Francuzów był Francuzem Korsykanin Napoleon Bonaparte.

C.D.N.

Tłumaczyła:
EWA-KATARZYNA NOWAK

■

Polemiki • Listy • Opinie

Na łamach „Polemiki, listy, opinie" publikujemy tylko listy podpisane imieniem i nazwiskiem, z podaniem adresu. Adres i nazwisko na życzenie zainteresowanego zastrzegamy do wiadomości redakcji. Zastrzegamy sobie możliwość skrótów.

KRONIKA BIBLIOFILSTWA ŁÓDZKIEGO

Piękną niespodziankę zgotowało Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego uczestnikom Ogólnopolskiego Zjazdu Bibliofilów obradującego w Łodzi w dniach 18—20 września 1987 r. Wśród wielu wydawnictw wystawionych do sprzedaży w specjalnie uruchomionym kiosku w Muzeum Historii Miasta Łodzi — miejscu obrad zjazdowych — znalazła się monografia Marii Majzner „Rodowód i historia Łódzkiego Towarzystwa Przyjaciół Książki do 1981 roku", wydana w serii wydawnictw UŁ „Folia Scientiarum Artium et Librorum".

Łódzkie Towarzystwo Przyjaciół Książki, powstałe 26 stycznia 1967 r., jest spadkobiercą pięknych idei miłośnictwa książki realizowanych ongiś przez Towarzystwo Bibliofilów w Łodzi w latach 1927—1939 i przez Klub Miłośników Książki działający w latach 1958—1966 przy Stowarzyszeniu Bibliotekarzy Polskich Okręg Łódź-Miasto. To właśnie z inicjatywy ŁTPK zwołano do Łodzi tegoroczny, siódmy już (trzeci po wojnie) zjazd bibliofilów.

Maria Majzner w interesującym, erudycyjnym wykładzie przedstawiła antecedencje bibliofilstwa łódzkiego na tle ówczesnej sytuacji demograficznej i ekonomicznej miasta i kraju. Bardzo sugestywnie zaprezentowała inicjatywy garstki entuzjastów skupionych przez twórcę Towarzystwa Bibliofilów Przecława Smolika, który przeniósłszy się z Krakowa do Łodzi podjął tu próbę utworzenia organizacji bibliofilskiej, w której gronie znaleźli się przedstawiciele inteligencji miejscowej, burżuazji i finansjery.

Okazało się, że w Łodzi, wbrew pozorom, znajdowały się wówczas poważne zasoby dawnej książki, częstokroć o charakterze unikatowym. Kilkadziesiąt starych druków posiadała biblioteka Gimnazjum Zgromadzenia Kupców, cenne księgozbiory posiadali Aleksander Heiman-Jarecki i Stanisław Zimiński, doborową kolekcję ksiąg z zakresu geografii i krajoznawstwa zgromadził późniejszy profesor UŁ Juliusz Jurczyński.

Towarzystwo Bibliofilów dzięki swoim inicjatywom wydawniczym i działalności popularyzującej piękną książkę zapisało się trwale w kulturze robotniczego miasta. Do jego tradycji nawiązał Klub Miłośników Książki pod przewodnictwem Michała Kuny, bibliotekarza z profesji, arcytypografa z powołania. Błyskotliwość, erudycja i niepowtarzalny urok osobisty twórcy Klubu sprawił, że KMK-owcy nazywali się często Klubem Michała Kuny, a wieść gminna niosła rozliczne opowiastki o bibliofilskich biesiadach, eskapadach i ekstrawagancjach pań i panów spod znaku KMK. Maria Majzner uporządkowała i uściśliła tę wiedzę z dociekliwością historyka kultury, wspierając się o kronikarskie zapisy w raptularzu Wacława Pryta, dla chleba administratora domów mieszkalnych, zaś z potrzeby serca arcybibliofila, zmarłego przedwcześnie w 1978 r. Dodajmy, że Prytowa tradycja kronikarska odżyła w barwnych, zaskakujących formą i treścią przekazach Grzegorza Matuszaka.

Okazało się przecież, że mariaż ze Stowarzyszeniem Bibliotekarzy Polskich nie mógł ze względów proceduralnych trwać zbyt długo i wreszcie ŁTPK wybiło się na samodzielność uzyskując osobowość prawną stosownym wpisem do rejestru stowarzyszeń i związków Urzędu Spraw Wewnętrznych Rady Narodowej m. Łodzi w dniu 26 stycznia 1967 r. Nadszedł nowy okres w działalności łódzkiej organizacji bibliofilskiej.

Statut ŁTPK określił najważniejsze cele, wśród których wymieńmy: „rozwijanie wśród najszerszych warstw społeczeństwa zamiłowania do książki, szczególnie do książki dobrej i pięknie wydanej, poszanowanie dla druków, mających wartość zabytkową, artystyczną i unikatową; popieranie i ułatwianie kolekcjonerstwa (...)". Cele te zamierzało Towarzystwo osiągnąć poprzez „zebrania, odczyty publiczne, dyskusje, wystawy i konkursy, aukcje, wycieczki do instytucji publicznych, związanych z produkcją, przechowywaniem i rozpowszechnianiem książki i do osób prywatnych posiadających ciekawe zbiory; przez druki okolicznościowe i wydawnictwa o charakterze eksperymentalnym, wzorowe pod względem typograficznym i tłoczone w łódzkich oficynach; współpracę z łódzkim środowiskiem plastycznym w popularyzacji artystycznej grafiki użytkowej i ekslibrisu".

W pracowicie zestawionej „Bibiografii publikacji Łódzkiego Towarzystwa Przyjaciół Książki" autorka opisała 62 druki samoistne wydawniczo oraz zasygnalizowała (bez opisów szczegółowych) 56 zaproszeń na imprezy Towarzystwa, 18 grafik okolicznościowych i 21 komunikatów ŁTPK z lat 1967—1981.

Obszerne kalendarium działalności ŁTPK na tenże okres obejmuje 37 stron druku i przynosi pełną dokumentację wewnątrzorganizacyjnej działalności Towarzystwa, jednego z bardziej aktywnych w kraju gremiów bibliofilskich. Działalność to różnorodna: od wystaw związanych tematycznie z szeroko rozumianą problematyką księgoznawstwa i bibliofilstwa po ekspozycje ekslibrisów i małej grafiki. W latach 1967—1981 zorganizowano 32 wystawy siłami członków ŁTPK przy udziale różnych instytucji, bibliotek, muzeów. Osobne miejsce zajmuje w merytorycznej działalności Towarzystwa prelekcja, odczyt, gawęda, szczególnie w atmosferze historycznej już „mansardy" bibliofilskiej przy ul. Więckowskiego 3. Spotkania te koncentrowały się wokół spraw związanych z książką, jej powstawaniem, wyposażeniem i obiegiem społecznym. Dużą wartość poznawczą posiadały relacje z podróży zagranicznych członków ŁTPK oraz spotkania z luminarzami kultury polskiej zapraszanymi na otwarte lub kameralne spotkania z łódzkimi bibliofilami.

Pod znakiem ŁTPK znalazło się w latach 1967—1981 niespełna 250 bibliofilów lub sympatyków tego ruchu. Niektórzy z nich wykruszyli się rychło, inni pozostali wciąż wierni, ale organizacja to nadal elitarna, nie szukająca taniego rozgłosu, ale też nie propagująca szeroko swych osiągnięć i dokonań w społeczeństwie naszego miasta.

Bibliofilstwo łódzkie wchodzi niebawem w kolejny rok swego działania i znów czeka na swego dziejopisa. Monografia M. Majzner spełniła swój cel, zadokumentowała historię łódzkiego bibliofilstwa i powinna być odczytana z uwagą przez współczesnych i przyszłych autentycznych miłośników dobrej i pięknej książki.

ANDRZEJ KEMPA

KTO NIE LUBI ZIELENI?

Wszyscy znamy ciągle pogarszającą się sytuację ekologiczną Łodzi i wiemy, że trzeba ratować łódzką przyrodę. Wzywają do tego działacze społeczni, administracja państwowa, środki masowego przekazu, władze polityczne. Wszystko jednak obraca się dotychczas wokół wołania o pomoc przy braku działań konkretnych.

Przerzucanie odpowiedzialności na innych i na „społeczeństwo" stało się modne. Ale co konkretnie społeczeństwo ma robić? Nie wiadomo. Nie deptać trawników? Szanować zieleń? Zrzeszać się w organizacje o profilu działania zbliżonym do Ligi Ochrony Przyrody? Oczywiście — tak. Ale to za mało. Wbrew opinii osób odpowiedzialnych za fatalny stan łódzkiej przyrody, społeczeństwo jest już jako tako uświadomione, a organizacje zajmujące się ochroną środowiska działają, a nawet — stojąc na straży łódzkiej przyrody — przysparzają wielu kłopotów, nie licząc się z tzw. trudnościami obiektywnymi i walcząc, by przysłowiowe drzewa nie umierały stojąc.

Park Ludowy na Zdrowiu — powstały dzięki staraniom ówczesnej Rady Narodowej Miasta Łodzi — przeznaczono na obiekt rekreacyjny dla mieszkańców miasta. Park ten należy do największych w kraju, a drugim jest chyba — po Lasku Bulońskim — w Europie. Niestety, znajduje się w nim „lunapark" — wybitnie kolidujący z charakterem i przeznaczeniem pierwotnym Parku Ludowego. Lokalizacja „lunaparku" jest przy tym niezgodna z zasadami planowania przestrzennego, co wykazała opinia Towarzystwa Urbanistów Polskich. Wieloletnie starania organizacji społecznych i przyrodników o zmianę lokalizacji „lunaparku" pozostają bez echa. Początkowo sprawę rozpatrywano na szczeblu administracji państwowej, a obecnie zajmuje się tym Rada Narodowa. Bliżej nie znani i trudni do ustalenia „obrońcy lunaparku" zasłaniali się racjami ekonomicznymi, zapominając o racjach społecznych, o których przypomniał dopiero tragiczny wypadek z 27 lipca 1987 r. Chęć zysku przeważyła nad racjami społecznymi i eksploatowano przestarzały sprzęt bez należytej kontroli jego sprawności.

Inny przykład: Łódzkie Przedsiębiorstwo Ogrodnicze zaproponowało przekształcenie cmentarza ewangelickiego przy al. Politechniki na park miejski. Na tym cmentarzu, oczywiście już nieczynnym, są cenne i bogate drzewa oraz bluszcz, uznawany za roślinę chronioną i przez to „nie do ruszenia". Narada ŁPO z przedstawicielami różnych środowisk, w tym z przyrodnikami, zapowiadała urządzenie tam nieomal „ogrodów Semiramidy", zapowiadano też place gier i zabaw. Prace rozpoczęto. Efekt: wycięto wiele drzew, poważnie zniszczono bluszcz. Z cmentarza nie zrobiono parku. Zresztą — jak mówi kierownik Straży Ochrony Przyrody w Łodzi — inż. **Henryk Klidzia:** — ŁPO chciało zrobić z cmentarza park, natomiast łódzkie parki zamieniają się w cmentarze drzew.

ŁPO jest prawnym opiekunem łódzkiej zieleni i parków. Jest również opiekunem Lasu Łagiewnickiego. Ale o Łagiewnikach pisać już nie warto. Na ten temat wylano już morze atramentu, a jak przedstawia się sytuacja Łagiewnik — każdy widzi.

Powszechnie wiadomo, że zieleń jest cennym biofiltrem gazów i pyłów przemysłowych. Ponadto produkuje tlen, tłumi hałas, a skupiska drzew są producentami bakteriobójczych fitocydów. Tymczasem łódzka zieleń jest zaniedbana, a nawet niszczona. Głównymi jej niszczycielami — według przedstawicieli Straży Ochrony Przyrody — są... urzędowi opiekunowie zieleni (placówki komunalne) oraz osoby planujące i projektujące w sposób nie przemyślany. Wiadomo przecież, że wycinało się i wycina wiele drzew, często dorodnych i zdrowych, nie bacząc, że można znaleźć inne rozwiązania. W latach 1975—79 corocznie wycinano 4—5 tys. drzew, nie licząc krzewów. Obecnie rozmach ten zahamowano i wycina się ok. 2 tys. drzew, co też nie jest liczbą małą, przy niedostatecznym uzupełnianiu ubytków.

Egzystencja niektórych placówek komunalnych odpowiedzialnych za stan łódzkiej zieleni chłonie z budżetu miasta ok. 200 mln zł rocznie. Jest to kwota wystarczająca, by nie było wyłysiałych trawników i zaniedbanych parków. Tymczasem Ogród Botaniczny, palmiarnia, rezerwat Polesie Konstantynowskie, park Helenów — to „perły" zaniedbanej zieleni. Jedyny rezerwat w Łodzi, Polesie Konstantynowskie przy ul. Krzemienieckiej jest jednak „perłą nad perły" zaniedbania. Kto nie wierzy — może sprawdzić.

Komisja ds. Zieleni przy Zarządzie Wojewódzkim LOP oraz SOP wniosły cenne propozycje do projektu nowego zarządzenia prezydenta w sprawie zieleni miejskiej. Projekt ten od roku nie opuszcza Wydziału Gospodarki Komunalnej i Infrastruktury Teohnicznej UML.

Organizacje przyrodnicze nie posiadają — choć przeczy temu logika — odpowiednich uprawnień, jeśli chodzi o sankcje za niszczenie zieleni, o które ubiegają się od 1983 r. Sprawę najpierw zaprzepaściło byłe Ministerstwo Leśnictwa i Przemysłu Drzewnego, a obecnie niemal beztrosko przechodzi obok tych kwestii Ministerstwo Ochrony Środowiska, któremu np. SOP w Łodzi podlega resortowo. Dopiero w tym roku Ministerstwo Spraw Wewnętrznych zgodziło się pomóc w tej sprawie.

Specyfiką Łodzi i nie tylko Łodzi jest klimat „trudności obiektywnych", jeśli chodzi o ochronę przyrody. Brakuje czasu, środków, ludzi, mocy przerobowych. Załatwianie niektórych spraw trwa miesiącami, latami.

Gdy np. Straż Ochrony Przyrody zwraca się w jakichkolwiek sprawach do innych województw — odpowiedzi (przy tym logicznie uzasadnione) otrzymuje najpóźniej w terminie ustawowym. Z Łodzi natomiast odpowiedzi przychodzą albo z opóźnieniem, albo nie przychodzą wcale.

Udział ludności i organizacji społecznych w ratowaniu łódzkiego środowiska jest koniecznością. Koniecznością, której nie wolno nie doceniać. Trudności ekonomiczne, jakimi zasłaniają się prawni opiekunowie zieleni, nie są bowiem bezwzględną przeszkodą w pokonaniu trudności. Potrzebna jest racjonalna strategia ochrony środowiska. Bo nade wszystko odczuwa się brak działalności przemyślanej. Społeczeństwo stanowi poważny potencjał, tyle że jak dotąd nie zorganizowany. Organizacje społeczne działają wedle własnych planów i skromnych możliwości. Integracja wysiłków jest koniecznym skutecznym środkiem wyjścia z impasu. Ale tu wyłania się problem znalezienia koordynatora. LOP i PKE (Polski Klub Ekologiczny) są chyba najwłaściwszymi kandydatami do tej roli.

Program działania jest w zasięgu ręki i nie wymaga narad i debat. Trzeba go realizować wspólnie. I szybko, bo czas nagli. Dotychczasowe osiągnięcia w ochronie środowiska łódzkiego są niemal znikome w skali narastających zniszczeń przyrody. Stworzyły one jednak bazę do dalszych działań, które należy rozszerzyć. Sprzyjającą okolicznością jest fakt, że nie tylko czynniki administracyjne, lecz także Sejm, czynniki polityczne, świat nauki i powszechna opinia społeczna wzywają do natychmiastowego działania.

JACEK GŁĘBSKI

CIĄG DALSZY SPORU O „CENTAURO"

Z wielkim zdziwieniem przeczytałem te dwa głupawe listy zamieszczone w „Odgłosach" nr 39/41, skierowane przeciwko grupie literackiej „CENTAURO". I doprawdy nie wiem, jaki jest sens lub cel krytyki Tadeusza Kołaczyka i Andrzeja Krakowskiego, odnośnie kolumny wierszy grupy literackiej „CENTAURO" wydrukowanej w numerze 38 „Odgłosów". Wiem tylko jedno, że na pewno nie jest to rozmowa o poezji, tylko nieuczciwa rozgrywka dwóch (chyba zbyt mało dowartościowanych przez środowisko) twórców literatury.

T. Kołaczyk pisze — „że nie rozumie wierszy poetów grupy literackiej „CENTAURO", bo i dlaczego ma je rozumieć, przecież sam napisał, że wychował się na poezji Mickiewicza i Słowackiego. Język poetycki ciągle się rozwija. Jest jak wiecznie odradzający się wszechświat i nie sposób go zrozumieć będąc myślami w epoce romantyzmu, a duchem i ciałem w XXI wieku. Gdyby nawet Mickiewicz zmartwychwstał, to i tak nie zostałby Herbertem, to nie ta epoka, nie ten język, nie ta metafora, nie to słowo itd.

— „O Boże, broń mnie od głupoty świata". — To zdanie zalecam T. Kołaczykowi powtarzać rano i wieczorem, a na pokutę przeczytać parę wierszy Z. Herberta, E. Pounda, Eliota, R. Lowella, C. Raine'a i J. Ashbery. Może to pozwoli mu wyjaśnić, dlaczego poezja jest elitarna. Bo elitaryzm tworzy inteligencja. Zachęcam do czytania. „Wiedza jest cnotą" — jak mawiał Sokrates.

W nr 41 „Odgłosów" niejaki Andrzej Krakowski, kolega szanownego T. Kołaczyka, ośmiela się twierdzić, że poeci grupy „Centauro" nie rozumieją swoich wierszy. Ciekawe, skąd ten pan o tym wie, przecież z żadnym z poetów grupy „Centauro" na temat ich wierszy nie rozmawiał. A może A. Krakowski jest Absolutem? Na takiego jednak nie wygląda. Załóżmy, że nikt nie rozumie swoich wierszy — czy to nie jest piękne? Przecież istoty Boga też nikt nie rozumie, ale ją tworzy. Zachęcam gorąco do przeczytania pism Tertuliana. Może one Andrzeja Krakowskiego nawrócą — („credo quia absurdum"), a jeżeli nie, to te święte słowa rozpołowią mu brzuch. Teraz nieważne stało, liczy się tylko dusza.

Wprowadzając czytelnika w „czystą duszę" osiągnięć Andrzeja Krakowskiego, muszę dodać, że był on członkiem, a nawet przewodniczącym grupy literackiej ZSMP „Wiadukt", która rozpadła się podczas „prezydentury" Andrzeja Krakowskiego. Sądzę, że komuś przeszkadza literacka grupa „Centauro", ponieważ nie występuje pod płaszczykiem żadnej organizacji, a efekty jej działalności są widoczne w całej Łodzi. Zastanawiam się tylko, czy jeżeli ktoś z literackiej grupy „Centauro" napisałby takie „bzdety" na działającą parę lat temu grupę ZSMP „Wiadukt", to czy wydrukowałaby to redakcja „Odgłosów".

Andrzej Krakowski oskarża grupę „Centauro" o przekupstwo w konkursach poetyckich, wysokie dochody finansowe itp. sprawy. Radziłbym się dobrze zastanowić, bo jeżeli zabraknie Andrzejowi Krakowskiemu dowodów, to sprawa zostanie skierowana do sądu o zniesławienie członków literackiej grupy „Centauro".

A Szanownej i Oświeconej Redakcji „Odgłosów" polecam do przeczytania noty krytyczne A. Sandauera, bo śmiem sądzić, że ich nie przeczytała. A oto przywołuję słowa Szanownej Oświeconej Redakcji — „List A. Krakowskiego przypomina dawne czasy, gdy ostro i bezkompromisowo spierano się o poezję. Dziś tak potrafi A. Sandauer, chociaż nie wszyscy się z nim zgadzają i przyznają mu rację...". Jeżeli według redakcji ma być to spór o poezję — to ja odlatuję na Księżyc. Adieu! A zestawienie A. Sandauera z A. Krakowskim, to tak jakby koncerdo porównywać z nietoperzem.

Nie wstydzę się przyznać, że należę do literackiej grupy „Centauro". Ale przyznam, iż brzydzę się pisać o takich sprawach (to nie jest godne artysty), a teraz brzydzę się sobą. A jeżeli chodzi Szanownej Redakcji o zastąpienie inwektyw i insynuacji argumentami, to za chwilę to uczynię.

Przed kilkoma miesiącami w Pałacyku ZSMP przy ul. Piotrkowskiej odbył się konkurs poetycki, brało w nim udział 10 osób, nie wliczając w tę liczbę członków jury, a było ich sześciu na czele z Andrzejem Krakowskim, który w stanie nietrzeźwości alkoholowej zachowywał się skandalicznie. Oczywiście jedyna nagroda przypadła K. M. Dutkiewiczowi, który został wydalony z literackiej grupy „Centauro" — informacje dotyczące tego faktu mogę dopiero podać po zakończeniu sprawy sądowej. Niedługo każdy będzie wiedział kogo faworyzuje Andrzej Krakowski, pisząc — „...z grupy „Centauro" w porę i we własnym, dobrze pojętym interesie rejterował kol. Kajetan M. Dutkiewicz". Na razie pozostaje mi tylko pozazdrościć tak wspaniałego kolegi.

Jeżeli chodzi o argumenty dotyczące tego skandalicznego konkursu poetyckiego, to mam w domu listę osób z podpisami stwierdzającymi, że Andrzej Krakowski w czasie trwania turnieju był pod wpływem alkoholu. Naocznym świadkiem tego incydentu był dr Henryk Pustkowski — obecnie kierownik działu literackiego „Odgłosów".

Jeżeli Szanowna Redakcja „Odgłosów" przydzieli mi kolumnę w swoim piśmie i pozwoli krytykować to, czego nie wolno krytykować, to ukażę czytelnikowi pełny obraz łódzkiego środowiska literackiego — oczywiście tylko pod względem literackim. Trzeba pamiętać, że w Łodzi istnieją nazwiska literatów, których krytyka negatywna do tej pory nie obejmowała.

A prawdy swojej i honoru grupy literackiej „Centauro" będę bronił do krwi ostatniej — tak mi dopomóż Boże.

ANDRZEJ ARCZEWSKI

OD REDAKCJI: Cóż się z nami dzieje? Zaczyna to już być przerażające. Walczą między sobą sportowcy, działkowcy, pszczelarze, skłóceni są członkowie klubu jeździeckiego, teraz dołączyli do nich poeci. Ale można mieć nadzieję — niestety — że lista skłóconych wewnętrznie środowisk nie jest pełna. Czy nie czas już na opamiętanie się? Tyle się mówi u nas o potrzebie pluralizmu, tolerancji, zgody narodowej, porozumienia. Czyż te wszystkie piękne hasła mogą być choć w części zrealizowane, gdy ludzie — zdawałoby się — bliscy sobie zainteresowaniami, zawodem, zamiłowaniem, sztuką podzieleni są i skłóceni?

Publikując list Andrzeja Arczewskiego dajemy tym dowód, że nie faworyzujemy nikogo. Nie potrafimy też dziś odpowiedzieć na pytanie: „czy jeżeli ktoś z literackiej grupy „Centauro" napisałby takie „bzdety" na działającą parę lat temu grupę ZSMP „Wiadukt", to czy wydrukowałaby to redakcja „Odgłosów"? A nie potrafimy dlatego, że był to inny czas, inna redakcja, inne „Odgłosy" i wiele jeszcze inności. Zresztą Andrzej Arczewski sam tak dialektyczną metodę stosuje do Tadeusza Kołaczyka, Adama Mickiewicza i Zbigniewa Herberta.

Będąc bardzo wyrozumiali jesteśmy gotowi opublikować „obraz łódzkiego środowiska literackiego". Byłoby tylko dobrze, gdyby Andrzej Arczewski wiedział, że Szanowna Redakcja „Odgłosów" nie przydziela nikomu kolumn i nie zabrania nikomu krytykować „tego czego nic wolno". Granice krytyki określa nasz ogół prawo prasowe, wiedza, kultura i odpowiedzialność za słowo piszącego. Wierzymy, że Andrzej Arczewski zna reguły gry i czekamy na zapowiedziany artykuł, w którym w sposób bezkompromisowy i pryncypialny zostanie ukazany czytelnikowi „pełny obraz łódzkiego środowiska literackiego". Śmiały to i interesujący może być zamysł.

GŁOS MA JOANNA ŚLEDZICKA

W związku z artykułem zamieszczonym w waszym piśmie 18 września 1987 r. nr 37 proszę o zamieszczenie mego listu w pełnym brzmieniu:

Dopiero po powrocie z wakacji przeczytałam artykuł, w którym pan Jerzy Chmielewski, dyrektor biura Miss Polonia w rozmowie z Dariuszem Dorożyńskim przekonuje o tym, że w czasie finałów tegorocznej imprezy w Sopocie nie żuł gumy, lecz kartkę z osobistego notatnika. Przyznam, że niewiele mam do powiedzenia na temat mędlenia. Uwagę moją natomiast zwrócił ostatni fragment wypowiedzi pana Chmielewskiego, w którym mówi, że Miss Polonia skończy się, gdy nikt nie kontrowersyjnego na temat imprezy nie powie i nie napisze. I dopiero wówczas on, dyrektor poprosi o zwolnienie. To bardzo interesująca myśl, że dyrektor poczeka aż impreza upadnie, ale do rzeczy. Moim zdaniem istnieje jeszcze jedno, znacznie poważniejsze zagrożenie. Brak dobrego wychowania, kultury słowa i zwykłe chamstwo. W tych jedynie kategoriach odczytuję filipikę dyrektora biura na temat moich kształtów. Być może zbudowana jestem jak pływaczka lub może szachistka. Nie jestem Venus z Milo to pewne, choć ona kiedyś pływała. Nie bardzo pojmuję jednak kto upoważnił dyrektora biura do publikowania prywatnych analiz na ten właśnie temat, występując w imieniu instytucji, która zaprosiła mnie do konkursu. Rozumiem, że w pewnych kręgach kulturowych tematy rozmów sprowadzają się do jednego tematu, ale żeby od razu publikować je w prasie z tytułem służbowym?! Chyba, że się po prostu z tego żyje, ale od kiedy ta funkcja nazywa się dyrektorską?

Z poważaniem

JOANNA ŚLEDZICKA

Łódź, 13.10.1987.

Do wiadomości: Redakcja „Przeglądu Tygodniowego" Warszawa, tygodnika „Razem" Warszawa, Stowarzyszenia Przyjaciół „Expressu Wieczornego".

Wideonotes

TvP - restyling

Obce słowo w tytule felietonu może ktoś uznać za pseudoerudycję albo za jeszcze jeden kamyk do ogródka naszych bojowników o czystość polszczyzny. Nie obawiam się jednak, że ów kamień wróci i świśnie mi koło ucha wraz ze stosowanym hasłem językowego patrioty, bo oto słowo „restyling" (czyt. restajling) w ciągu parunastu ostatnich dni zrobiło zawrotną karierę. Ten nagły wzrost znajomości języka z ojczyzny Szekspira zawdzięczamy Włochom, którzy po raz kolejny rozświetlili nadwiślańskie marzenia przemodelowaną wersją małego fiata.

Nie o motoryzacji jednakowoż chcę pisać, a o telewizji. Wprawdzie i telewizor trudno kupić, ale w przeciwieństwie do samochodu, który na ogół jest oczywistą gruszką na wierzbie, ta tranzystorowa skrzynka z ekranem stoi w każdym domu i błyska codziennie przez kilka godzin. Z tych błysków wynika od paru miesięcy, że idea pod nazwą „restyling" zapanowała też niepodzielnie w gmachach przy ulicy Jana Pawła Woronicza.

O zmianach programowych w dotychczasowej historii TVP można by napisać całą tetralogię, na poły dramatyczną, na poły — niestety — komiczną. Przeżyliśmy bowiem wielu prezesów, wiele odwrotów i powrotów, okresów świetności i kryzysów, czczych obiecanek i burz w szklance wody. Wszelkie zmiany zaczynały się od pompatycznych deklaracji, wywiadów w tygodnikach i reżyserowanych „przecieków", które ukazywały się potem w popołudniówkach z podtytułem „informacja własna". A wszystko to wedle prawa Passenta: „w Polsce wszystko można powiedzieć i nic nie można zrobić".

W najnowsze obietnice zacząłem po trosze wierzyć w momencie, kiedy zaprzestano retransmisji głównego wydania DTV w programie II. Ten absurdalny z każdego punktu widzenia pomysł, aby w obu programach, w tym samym czasie nadawać dziennik, był jednym z niepodważalnych dogmatów TVP. I to oto, któregoś dnia miało okazać się, że nie ma w dwójce dziennika. Prysł dogmat, a mmio to nie zawalił się system informacyjno-perswazyjny naszego ustroju.

Piszę o dziennikach, bo dzięki ostatnim zmianom stały się one programami sytuującymi się w górnych rejonach tabel oglądalności. Wprawdzie Andrzejowi Bilikowi, nowo mianowanemu szefowi dzienników nie podoba się scenograficzny wystrój głównego wydania o 19.30 (co był powiedział w wywiadzie), jednak on sam i my wszyscy wiemy, że nie to jest najważniejsze. Przecież „Teleexpress" — by tak rzec — rozgrywa się na korytarzu, a „Panorama dnia" w pomieszczeniu równie nieokreślonym. Powiedziałbym nawet tak (na podstawie wieloletnich doświadczeń), że im wymyślniejszy wystrój studia, tym program gorszy. Błikujące zastawki, nikle fotele-zapadnie i inne tym podobne efekty scenograficzne pojawiają się na ogół w tych programach, z których wieje nudą i myślowym bałaganem.

Co zatem jest najważniejsze? (Uwaga! Teraz napiszę straszny banał, ale za chwilę się z niego wytłumaczę). Najważniejsi są ludzie! Wiadomo o tym od chwili, gdy tylko telewizja powstała. Właśnie ludzie, ich wygląd, sposób mówienia, inteligencja, indywidualność. Jednym słowem osobowość. Dlatego też we wszystkich telewizjach, którym zależy na widowni właśnie ludzie są dobrem najcenniejszym. Wystarczy przyjrzeć się jak zabiegają o telewizyjne twarze i osobowości sponsorzy francuskiej telewizji, która przeżywa obecnie prawdziwą organizacyjną rewolucję. Wielomilionowe transfery, przetargi, wzajemne podkupywanie tych najpopularniejszych i tych najlepszych! Istna futbolowa mafia.

Jak to wygląda u nas? Aby nie wikłać się w szczegóły i przykłady (zresztą nie ma już w tym felietonie miejsca) powiem krótko: dziwacznie. Oto najnowsze egzemplum idei restyling, czyli „TVS" („Telewizyjna Sobota" z 3 października), „blok relaksowo-rozrywkowo-publicystyczny". Zamiast zwyczajnych zapowiedzi łączących poszczególne elementy sobotniego programu, który notabene nie był ani inny, ani oryginalniejszy, zobaczyliśmy trójkę prezenterów, którzy zachowywali się przed kamerami jak niewydarzeni debiutanci wywołani na nagłe zastępstwo. Wyglądało to mniej więcej tak jak przed paru tygodniami w monstrualnym bloku sportowym, kiedy to studio zdobiły kandydatki z konkursu Miss Polonia i też były przestraszone. No ale one miały właśnie zdobić — jak kalendarz zawieszony nad biurkiem. Natomiast prezenterzy „TVS" mieli zadania nieco inne. Nie może takiego programu prowadzić ktoś, kto wygląda jak w roli operetkowego Mefistofelesa z prowincjonalnego teatru i kto usiłuje pokrywać debiutancką tremę (w końcu zrozumiałą) wmówionym sobie urokiem osobistym. Towarzyszącym mu paniom współczuję, ale i ich debiut nie stał się sukcesem.

„Telewizyjną Sobotę" — restyling reżyserował Zbigniew Proszowski a opiekę artystyczną (?) sprawowali: Elżbieta Protakiewicz i Andrzej Turski.

WIT ZAKROTA

Wideo - techniki jutra

W dniach 28 sierpnia — 6 września odbywały się w Berlinie Zachodnim międzynarodowe targi sprzętu audio i wideo, zwane Internationale Funkausstellung (organizowane co dwa lata). Reprezentowane tam były czołowe firmy światowe — Sony, Grundig, Panasonic, Philips, Sanyo, Pioneer, Telefunken i wiele innych — słowem wszyscy, którzy liczą się na międzynarodowym rynku elektroniki użytkowej.

Tym razem targi stały pod znakiem digitalizacji — to jest techniki cyfrowego przetwarzania obrazu i dźwięku. Przetwarzanie cyfrowe oznacza w praktyce znacznie większą precyzję działania sprzętu i rozszerzenie jego możliwości. Dzięki temu można było wprowadzić na rynek urządzenia, które dotychczas istniały tylko w wyobraźni twórców science-fiction.

CDV — Compact Disc Video

Obok znanej już powszechnie fonicznej płyty kompaktowej z cyfrowym zapisem dźwięku i laserowym odczytem CD (Compact Disc), która po raz pierwszy została zaprezentowana przed siedmioma laty w Salzburgu przez firmę Sony (słynne nagranie orkiestry Herberta von Karajana), pojawiła się kompaktowa płyta wizyjna CDV (Compact Disc Video), na której oprócz dźwięku zapisany jest również obraz. Nie jest to pierwsza płyta wizyjna — od paru lat na rynku znajdują się różnego rodzaju takie płyty z laserowym odczytem (Laser-Vision), wszakże z analogowym zapisem obrazu i dźwięku. CDV ma obraz również analogowy — tego nie udało się jeszcze przeskoczyć, ale dźwięk już cyfrowy. W odróżnieniu od srebrnej płyty fonicznej CDV ma kolor złoty. Urządzenia odtwarzające zostały tak skonstruowane, aby mogły odtwarzać obydwie płyty. Specjalny czujnik rozpoznaje automatycznie, czy ma do czynienia z zapisem audio, czy wideo. Istnieją już nawet odtwarzacze uniwersalne — do wszystkich rodzajów płyt laserowych (jest ich pięć).

DAT — Digital Audio Tape

DAT to wynalazek łączący precyzję odtwarzania płyty kompaktowej z łatwością kopiowania kasety magnetofonowej. Jest to bowiem kaseta z cyfrowym zapisem dźwięku na taśmie magnetycznej. Zapis taki umożliwia wirująca głowica (jak w magnetowidach). Przy przegrywaniu muzyki z jednego magnetofonu DAT na inny nie występują praktycznie żadne straty jakości dźwięku, nie dochodzą również żadne szumy. Dziesiąta kopia ma tę samą jakość, co oryginalne nagranie (master tape).

Miniaturowa kaseta DAT (wymiary 73 × 54 × 10,5 mm, normalna kaseta audio 102,4 × 63 × 12 mm) stała się postrachem producentów płyt, może bowiem być gwoździem do trumny przemysłu płytowego. Nikt nie będzie kupował drogich płyt, mogąc darmo skopiować nagranie, przy czym jakość otrzymanej kopii będzie porównywalna z jakością nagrania na płycie kompaktowej. Dlatego nie ma jeszcze kaset DAT na rynku. Trwają przetargi między ich producentami a właścicielami praw autorskich muzyki oraz wielkimi wytwórcami płytowymi. Mówi się o wbudowaniu w rekordery DAT kodowego zabezpieczenia przed przegrywaniem fabrycznie nagranych kaset, ale żaden z prezentowanych na IFA modeli nie miał takiego zabezpieczenia. Nie leży to w interesie producentów recorderów. Łatwiej sprzedać urządzenie pozwalające nagrywać i odtwarzać niż zwykły odtwarzacz. Producenci płytowi stoją na straconej pozycji.

S — VHS (Super Video Home System)

Do niedawna uważano, że przyszłość wideo to kaseta 8 mm, wprowadzona kilka lat temu przez firmę Sony. Obecnie pojawił się poważny konkurent — system S-VHS, będący udoskonaloną wersją najbardziej na świecie rozpowszechnionego systemu VHS. Posiada znacznie wyższą rozdzielczość liniową — 400 linii, zamiast dotychczasowych 260. Obraz osiąga w ten sposób parametry zbliżone do HDTV (High Definition Television) — telewizji wysokiej jakości. Kaseta S-VHS posiada identyczne wymiary co zwykła kaseta VHS. Nie jest wszakże możliwe odtworzenie nagrania S-VHS na magnetowidzie VHS, bowiem obydwa systemy nie są kompatybilne (to jedyna wada S-VHS). Ponieważ jednak na rynku znajduje się olbrzymia ilość kaset VHS, produkowane obecnie magnetowidy S-VHS są uniwersalne — można na nich odtwarzać również „stare" kasety. To ważne, zwłaszcza ze względu na wysokie ceny kaset S-VHS.

Na razie S-VHS produkowany jest tylko w systemie barwnym NTSC, stosowanym w Japonii i USA, wkrótce jednak ma pojawić się wersja PAL. Producenci (JVC, Hitachi, Matsushita, Mitsubishi, Toshiba i Sharp) uważają, że w ciągu kilku lat S-VHS opanuje całkowicie rynek wideo.

Mikro i Makro

W dziedzinie odbiorników telewizyjnych niezależnie od powszechnej digitalizacji istnieją dwa trendy — mikro i makro. Mikro — to miniaturowe telewizorki, tak płaskie, że można je schować do kieszeni marynarki. Jest to możliwe dzięki zastosowaniu ekranu z ciekłych kryształów (jak w zwykłym zegarku elektronicznym). Technologia kolorowego ekranu LCD (Liquid Crystal Display) nie pozwala jeszcze na posługiwanie się dużymi płaszczyznami, tak więc duże telewizory LCD, które będzie można powiesić na ścianie jak obraz — to jeszcze wizja przyszłości, ale już na pewno bliskiej.

Dla tych jednak, którzy już dziś chcą oglądać duży obraz telewizyjny, firma Grundig do spółki z Mitsubishi wyprodukowała telewizor o przekątnej ekranu 95 cm. Grundig jest autorem tunera, zaś Mitsubishi kineskopu. Część telewizorów montowanych u Grundiga będzie więc nosiła znak Mitsubishi. W wersji Grundiga telewizor nazywa się Monolith 95, waży około 140 kg i kosztuje 8000 marek. Liczba wyprodukowanych telewizorów będzie zależna od ilości zamówień, nie opłaca się bowiem produkować ich na skład. Producenci są jednak dobrej myśli, liczą bowiem na snobizm bogatych klientów. Planują sprzedaż dziesięciu tysięcy Monolithów 95 w ciągu roku.

* * *

To tylko kilka z nowości prezentowanych w tym roku na Internationale Funkausstellung w Berlinie Zachodnim. Nie napisałem tu o camcorderze (połączenie kamery wideo z magnetowidem), który już od dawna nowością nie jest, ani o urządzeniach do odbioru telewizji satelitarnej, coraz mniejszych i coraz tańszych, ale zastrzeżonych w naszym kraju dla szczęśliwych posiadaczy specjalnych zezwoleń (przy okazji, dlaczego żaden urząd nie wydaje zezwoleń na słuchanie „Głosu Ameryki"?).

Nie omówiłem również nowych systemów programowania magnetowidów, eliminujących niebezpieczeństwo nagrania np. połowy filmu w wyniku poślizgu progr. telewizyjnego. Pozwalają one programować konkretny program, nie zaś — jak dotychczas — czas rozpoczęcia i zakończenia nagrania. Opierają się jednak na wykorzystaniu kodu cyfrowego, którym oznaczony jest każdy program (jeden system) oraz teletekstu (drugi) — co w naszych warunkach jest technicznie nierealne.

Cała jednak pozostała technika jutra — CDV, DAT, S-VHS, nawet telewizory mikro i makro — nawet w naszych warunkach jest całkiem realna i na pewno w najbliższym czasie znajdzie się w polskich domach — niestety, tylko w tych najbogatszych.

BRONISŁAW PUŁASKI

Misja

To arcydzieło.

Pojemny znaczeniowo jest już tytuł filmu. W warstwie najbardziej zewnętrznej odnosi się on do wydarzeń fabularnych — historii misji jezuickiej w Paragwaju w połowie XVIII wieku. Jezuici zorganizowali wśród Indian Guarani coś na kształt państwa misyjnego — komunę opartą o zasady braterstwa, równości i wspólnej pracy (ideę takiej społeczności możemy odnaleźć w Listach św. Pawła). Ale po roku 1750 kolonialne interesy Hiszpanii i Portugalii (za przyzwoleniem Rzymu, który na skutek licznych presji zewnętrznych planował kasację zakonu jezuitów) doprowadziły do specyfikowania misji, zniewolenia lub śmierci Indian i zakonników, którzy — jak bohaterowie filmu — ginęli wraz z nowo pozyskanymi dla wiary braćmi. A więc „misja" to instytucja kościelna i polityczna, która z racji jej niewygody dla ziemskich interesów władzy uległa zagładzie. Ale „misja" to także dwuznaczne poselstwo papieskiego wysłannika, kardynała Altamirano, który usiłuje wymóc na jezuitach wyrzeczenie się przez nich pokojowej ewangelizacji Indian w imię racji „królestwa z tego świata".

Jednak w tytule tym chodzi głównie o coś istotniejszego, o misję misji. Jest nią głoszenie miłości bliźniego, zaniechanie przemocy w stosunkach społecznych — między ludźmi jako jednostkami, jako siłami politycznymi, wreszcie jako różnymi kulturami. Przemoc rodzi przemoc w błędnym kole mimetycznych zachowań: oko za oko, ząb za ząb, gwałt za gwałt. Jedynym sposobem przerwania owego rozkręconego mechanizmu jest bezwzględne wyrzeczenie się użycia siły — nawet w obronie słusznej sprawy (taką postawę, konsekwentną do ostateczności, a niepojętą dla naszego zwykłego myślenia zajmuje w filmie jeden z głównych protagonistów — ojciec Gabriel).

Film rozpoczyna mocna, wstrząsająca scena: Indianie przywiązują do krzyża misjonarza, krzyż puszczają na rzekę, aż płynąc w dół roztrzaska się o progi gigantycznego wodospadu Iguaçu. Krzyż, dobitny znak ewangelicznego przesłania, odnajduje ojciec Gabriel. I z przekazaną mu tak tragicznie misją głoszenia istoty słów Chrystusa, wyrusza sam w głąb dżungli, w górę po kamiennych progach wodospadu. Przejmująca jest scena jego pierwszego spotkania z Indianami, wyraźnie żywiącymi wrogie zamiary: misjonarz po prostu siada nie zważając na wymierzone weń strzały i ostrza, i zaczyna grać na flecie. Muzyka wyrażająca transcendentną istotę tak wprost zjednuje Indian Gabrielowi, który osiągnie swój cel: założy misję, ujarzmiając „dzikich" nie przemocą, lecz miłością, słowem, sztuką i poszanowaniem ich zwyczajów.

Ojciec Gabriel to niemal święty — zwłaszcza we wspaniałej interpretacji Jeremy'ego Ironsa, który jedynie spojrzeniem i oszczędnym gestem (a także wspaniałą kondycją fizyczną podczas wspinaczek) niesłychanie uwierzytelnia bogactwo ducha i magnetyczną siłę osobowości tej postaci. Ale Gabriel ma swą przeciwwagę w postaci równie bogatej, tyle, że bardziej skomplikowanej i niejednoznacznej — ojca Rodriga, wcześniej kapitana Mendozy. Tę rolę gra równie wspaniały aktor — Robert de Niro. Kapitan jest łowcą niewolników. Nie odczuwa hańby tego procederu, bo nie widzi w Indianach ludzi. Ale będzie mu dane poznanie własnego grzechu i pokuta. Mendoza zabija w pojedynku o kobietę rodzonego brata. To zbrodnia Kaina, początek błędnego koła przemocy wywołanego przez zrodzoną z pożądliwości, a pasjonująco opisaną przez Girarda, rywalizację mimetyczną. Mendoza teraz dopiero poczuje się zbrodniarzem, kimś poza społeczeństwem. Od samobójczej głodówki uwalnia go Gabriel, wskazując drogę odkupienia: przez miłość i cierpienie aż do uzyskania przebaczenia własnych ofiar. Mendoza podejmuje bezwarunkowy trud wyrzeczenia się samego siebie — tj. pychy i pożądań, choćby nawet żądzy samounicestwienia — narzucony przez Gabriela. Dźwiga — dosłownie! — brzemię winy w górę wodospadu, w drodze do Indian, na których łaskę i nielaskę z pokorą (acz narzuconą gwałtem samodyscypliny) się zdaje. Ci, po lekcji Ewangelii i ojca Gabriela, uwalniają go od ciężaru: pokutny tobół z dawnym rynsztunkiem zrzucą do wodospadu, a Mendozę przyjmują do swej społeczności. „Miłujcie nieprzyjacioły swoje". Indianie pojęli tę lekcję bezwarunkowo. Czy pojął ją także Mendoza? Nie do końca.

Epilog zresztą zdaje się wyraźniej opowiadać za Gabrielem: niedobitki indiańskich dzieci unoszą ze zgliszcz spacyfikowanej misji w głąb dżungli monstrancję i skrzypce — wymowne znaki przesłania ojca Gabriela. Co prawda nasze zaklęte (wedle Girarda) myślenie przyznaje raczej rację Mendozie, ale tym samym — prowokatorom jego przemocy, królom i papieżom tego świata. I potwierdza to późniejsza historia cywilizacji. Oczywiście, „Misję" Rolanda Joffé można rozpatrywać też w kategoriach politycznych, historycznych czy psychologicznych. Jednak taka, etyczno-religijna interpretacja, wydaje mi się najbardziej adekwatna wobec przesłania filmu, który mimo tragicznego tematu pozostawia, jak Ewangelia, nadzieję.

O pięknie „Misji", poza tematem, aktorstwem i „temperaturą" odbioru, przesądza też strona formalna, zwłaszcza uroda kadru. Zachwyca śmiałość ujęć — dokonujących często niezwykłych skrótów i deformacji perspektywicznych czy w sposób fascynujący eksponujących detal (np zbliżenia twarzy). Podziwiać należy zresztą odwagę operatora Chrisa Mangesa, który w ujęciach wodospadu musiał chyba ryzykować.

Znakomita jest wreszcie ścieżka dźwiękowa, zwłaszcza muzyka opracowana przez Ennio Marricone. Niepokojąca, groźnie szemrząc, zapowiada tragiczne wydarzenia, wybucha zaś z jakąś transcendentną mocą jako muzyka chóralna w dramatycznych kulminacjach. Rzadko kiedy zresztą ścieżka dźwiękowa jest tak zintegrowana z obrazem i z przekazem, jak w „Misji". Bogactwo myśli, piękno i mistrzostwo formalne z pewnością przyczynią się do trwałej pozycji filmu Rolanda Joffé w historii jakoby ginącego kina.

„Misja", reż. Roland Joffe, prod. Wlk. Brytania (1986).

TOMASZ KŁYS

Robert de Niro

WIETNAM: Dlaczego ludzie boją się czarnego kruka?

Dzień Czystego Poranka i Błąkających się Dusz

ELŻBIETA SAJENCZUK

Thanh oznacza czyste powietrze. Minh — bezchmurne, poranne niebo. Thanh Minh to jedno z dwóch świąt poświęconych zmarłym obchodzonych w Wietnamie. Według kalendarza księżycowego wypada ono 3 marca. Nie jest to jeszcze czas upałów i gorącej wilgoci, która przychodzi nagle w pierwszych dniach kwietnia. O zmarłych pochowanych w pokrytych trawą grobach trzeba pomyśleć przed przyjściem lata i groby do lata przygotować. I robi się to w Dzień Czystego Poranka.

Właśnie wtedy, bo na początku trzeciego miesiąca kalendarza księżycowego, buszując po Hanoi napotkałam tę uliczkę. Była wąska, krótka jak wszystkie inne na starym mieście i ocieniona platanami. Zatrzymałam się, żeby coś zjeść w mijanej knajpce. Wtedy zauważyłam długie, prostokątne skrzynie z surowego drewna. Niektóre z nich pomalowano na czerwono. Był to kolor symbolizujący szczęście i powodzenie. Tak, wykonuje się tu — bez wątpienia — trumny, pomyślałam. Znajdował się tam także pokaźny warsztat kamieniarski. Przed nim i wewnątrz stały szeregami małe płyty nagrobkowe czekające na daty i nazwiska. Właściciel oparty o drzwi smutno spoglądał na ulicę.

Pomyślałam, że jeszcze nigdy nie widziałam wietnamskich ceremonii pogrzebowych.

— Chcę zobaczyć pogrzeb — powiedziałam do kamieniarza, pewna, że on mi w tym pomoże.

— *Niech pani jedzie na wieś, tam jeszcze kultywują stare tradycje. Ale gdyby pani pojechała teraz na ulicę Cukru* — zastanowił się. — *Może go jeszcze nie zdążyli pochować. Hung!* — zawołał jakiegoś chłopca. — *Zaprowadź panią!*

Udaliśmy się na ulicę Cukru. Tam zmarłego wynoszono już z domu. Liczna rodzina w białych przepaskach na głowach tłoczyła się do pogrzebowego autobusu. Młodzi ludzie wedle europejskiego zwyczaju opasali rękawy czarnymi wstążkami. Starsi mimo bieli na głowach przyszyli sobie czarne aksamitne tasiemki do klap garniturów lub kołnierzyków koszul. Do autobusu wstawiono czerwoną trumnę wraz z płytą nagrobkową i za chwilę odjechali na cmentarz.

Innego dnia jechałam rowerem mało znanymi cudzoziemcom ulicami. Niewielki, parterowy dom musiał być niedawno zbudowany, brakowało bowiem ram okiennych. W miejscu jedynego okna powiewała przezroczysta jak gaza tkanina. Na środku pokoju umieszczono katafalk z trumną.

Stanęłam przed domem i patrzyłam przez tę gazę. Wiedzieli, że jestem, ale dla nich nie istniałam. Zbliżyłam się do otwartych drzwi. Pokój spowity był dymem kadzideł. Na ołtarzu przodków wśród kwiatów stała fotografia zmarłego. Na trumnie postawiono dwie miseczki. W jednej wypełnionej piaskiem tkwiły palące się trociczki. W drugą włożono ryż i ugotowane jajko. Członkowie rodziny zgromadzeni wokół trumny głośnym szeptem odmawiali modlitwy. Stare kobiety z prostymi, długimi włosami zwiniętymi wokół głów, w czarnych satynowych spodniach i staroświeckich kimonach zapinanych na ramieniu i z boku bezgłośnie poruszały ustami. Wszyscy mieli na głowach białe przepaski, a niektórzy mężczyźni na ubrania włożyli płócienne, białe koszule. Nie zabrakło też muzykantów uderzających rytmicznie w bębny.

Wszyscy zamilkli, bo pojawił się buddyjski mnich w brązowej szacie i zaczął się śpiewnie modlić pochylając nad zmarłym. Przyszli także krewni z kondolencjami. W zdziwieniu mijali mnie stojącą pod drzewem. Kłaniali się głęboko przed trumną, a jeden z mężczyzn odwzajemniał te ukłony. Przynieśli prezenty: trociczki, wieniec, kwiaty, sentencje wypisane na papierowych szarfach.

CZYJĄ DUSZĘ KUPIŁAM NA BAZARZE?

Był maj. Nauka w szkole zbliżała się ku końcowi i trzeba było myśleć o powrocie do kraju. Kiedy krążyłam między straganami, dźwigając pomarańcze, stanęłam nagle przed stolikiem staroci. Wśród wielu innych zainteresowały mnie dwa dziwne przedmioty: duża miedziana moneta z kwadratowym otworem w środku i wizerunkiem smoka i feniksa oraz również miedziana kwadratowa tabliczka z chińskimi ideogramami. Moneta i tabliczka umieszczone były w drewnianych stojaczkach. Podobało mi się to i kupiłam.

Wracając do domu odwiedziłam Vudan Tana, malarza i twórcę wietnamskich masek. Matka Tana obejrzawszy te nabytki powiedziała ze zgrozą, że ludzie zrobili się bezbożni. Żeby sprzedawać tabliczkę z duszą zmarłego. I pieniądz pogrzebowy z ołtarzyka przodków. Pieniądz który jest potrzebny zmarłemu na tamtym świecie!

Przestraszyłam się. Obcować z czyjąś duszą przez resztę życia? Trochę mnie to przerażało, lecz nie zamierzałam pozbywać się tej tabliczki. Spojrzałam na Tana, szukając u niego ratunku, ale ten popatrzył na mnie porozumiewawczo bez słowa. Posłuszeństwo wobec rodziców przede wszystkim. Pani Lan nadal narzekała. Kogo dziś stać na ufundowanie zmarłemu miedzianej tabliczki? Stawia się po prostu fotografię. Ale żeby sprzedawać tabliczkę z duszą przodka na bazarze? I pobiegła do wiekowego starca z rzadką bródką, aby się w sprawie mojego nabytku z nim skonsultować.

O pogrzebowych tradycjach opowiedziano mi w domu Bui Kuan Phaia, jednego z najstarszych i najlepszych malarzy wietnamskich. Phaiowie mieszkali przy ulicy Leków (kiedyś na tej uliczce było wiele aptek z naturalnymi, przygotowywanymi na oczach pacjentów lekami), w typowej wietnamskiej kamieniczce. Zajmowali tam jeden duży pokój z antresolą, na której się spało. Poniżej był salon gościnny z telewizorem i kuchnią oraz wszędzie mnóstwo obrazów, bo mieszkanie było zarazem pracownią. Malarz miał piękną żonę, dużo młodszą od siebie, jedynego syna Phuonga, również utalentowanego malarza i śliczną synową, która urodziła mu wnuka. Cała rodzina mieszkała razem. W domu Phaiów można było spotkać wielu znaczących w Hanoi twórców.

To właśnie oni opowiedzieli mi o tradycjach związanych ze świętami zmarłych i kultem przodków. Sprzeczali się ze sobą w kwestii, czy cudzoziemce można opowiadać historie, które wyglądają jak jeden wielki zabobon? Czy naprawdę Wietnamczycy postępują tak

KIEDY UMIERA CZŁOWIEK

Trzeba wtedy zapisać dokładną datę i godzinę jego śmierci w modlitewniku rodzinnym, po czym udać się do wróżbity, aby dowiedzieć się, czy to była godzina szczęśliwa. Czasami bowiem godzina śmierci może w niewytłumaczalny sposób zbiegać się z godziną złego ducha zwanego Than Trung. Duch ów w postaci czarnego kruka przylatuje o północy na grób nowo pochowanego zmarłego i męczy go tak długo, aż ten wypowie imiona swoich dzieci, żony, sióstr i braci. Za jakiś czas zły duch przyjdzie w nocy do rodzinnego domu nieboszczyka i będzie wzywać mieszkańców po imieniu. Będą oni umierać w kolejności, w jakiej się odezwali. Zdarzało się często, że po śmierci męża umierała żona, jego syn lub brat. To właśnie duch Than Trung zabierał ich na tamten świat.

Aby zapobiec tym tragicznym wydarzeniom zapraszano wróżbitę. Odprawiwszy tajemne modły umieszczał on na drzwiach domu amulet, który miał odstraszać złego ducha. Zdarzało się też, że wróżbita musiał udać się o północy na grób, aby przepędzić kruka, gdyby ten przyleciał męczyć nieboszczyka. Wróżbita był oczywiście odpowiednio opłacony. Ludzie bali się czarnego ptaka, a szczególnie wtedy, gdy wybuchały epidemie dżumy lub cholery. Przybycia ptaka i stukotu jego dzioba w drzwi obawiano się w tym czasie tak bardzo, że powstrzymywano się od wołania po imieniu.

Kiedy człowiek umiera trzeba natychmiast uformować z kawałka tkaniny małą figurkę przypominającą swym wyglądem człowieka, bo ta figurka przejmie rolę duszy. Potem napełnia się usta zmarłego trzema garściami ryżu i trzema miedzianymi monetami. Ciało myje się dokładnie i ubiera w najlepsze odzienie. Ręce składa się na piersiach i wyprostowuje nogi. Na brzuchu trzeba położyć żelazny nóż, bo żelazo chroni ciało od szybkiego rozkładu, a także dlatego, iż złe duchy boją się żelaza i nie zbliżają się nieboszczyka. Trumna dzień i noc powinna być strzeżona przez dzieci zmarłego, aż do dnia pogrzebu.

Data i godzina pogrzebu wybierana jest przez wróżbitę, bo musi to być szczęśliwy czas dla zmarłego. Obrządkiem pogrzebowym kieruje najstarszy syn, który odtąd przejmuje rolę ojca rodziny. Modlitwy odmawia buddyjski kapłan, a jeżeli jest to pogrzeb uroczysty, zaprasza się także bębnistów. Po odprawieniu pierwszych modłów ciało przykrywa się całunem i wkłada to trumny, którą umieszcza się na katafalku w głównym, często jedynym pokoju. Obok na stole kładzie się figurkę z tkaniny z duszą zmarłego. Wyżej na ścianie umieszczony jest ołtarzyk przodków i do niego wstawia się drewnianą deszczułkę lub miedzianą tabliczkę — w zależności od stopnia zamożności rodziny — w którą to wciela się dusza. Na trumnie stawia się w miseczce pęk palących się trociczek, a w drugiej ryż z ugotowanym jajkiem. Jedzenie jest bowiem symbolem więzi zmarłego z rodziną.

Jeszcze do dziś na wsiach na czas pogrzebu obowiązują

SPECJALNE, ŻAŁOBNE STROJE W BIAŁYM KOLORZE.

Stroje te wyróżniają stopnie pokrewieństwa w rodzinie. Synowie, córki i synowe wkładają na ubrania suknie uszyte z surowej, konopnej tkaniny. Dół, rękawy i wycięcia na głowę nie są obrębione. Synowie, zięciowie i bracia obwiązują głowy przepaską z pasm surówki upletionych w warkocz. Wyróżnieni są wnukowie: najstarszy ma głowę zawiniętą w biały, a najmłodszy w żółty turban. A kobiety wkładają na głowy kaptury z surówki.

Goście przychodzą z kondolencjami, gdy zmarły leży w trumnie. Wykonują trzy głębokie ukłony, które odwzajemnia im najstarszy syn, obecnie głowa rodziny. Przynoszą okolicznościowe prezenty: świece, kwiaty, wieńce i sentencje wypisane na papierowych lub droższych satynowych szarfach.

Kiedy trumna ma być wynoszona z domu, rodzina zaczyna głośno lamentować. W tym czasie formuje się procesja. Pojawia się transparent z nazwiskiem zmarłego i jego statusem społecznym. Ten transparent będzie niesiony przed trumną, a po jego stronach dwa palące się lampiony. Na cmentarz zabiera się także tabliczkę z duszą zmarłego i wykonane z papieru wotywnego przedmioty, które będą mu potrzebne na tamtym świecie. Cała rodzina towarzyszy zmarłemu do grobu. Trumnę zwykle niosą synowie i najbliżsi krewni. A jeśli jest ona wieziona na pogrzebowym wózku, wtedy synowie (dawniej wsparci na bambusowych laskach) idą przed karawanem, a za nim żony, córki, synowe oraz krewni i znajomi.

Grób — jeśli to jest na wsi — znajduje się wśród pól ryżowych. Kopany jest na kilka godzin przed ceremonią pogrzebową, zgodnie ze wskazaniami geomanty, który za pomocą różdżki znalazł odpowiednie miejsce spoczynku nieboszczyka. Kiedy trumnę wkłada się do grobu, kapłan odmawia ostatnią modlitwę. Później formuje się mały kopczyk, który w niedługim czasie zarasta gęstą trawą. Z pogrzebu zabiera się do domu przedmioty wykonane z papieru wotywnego i pali się je. A te przedmioty zwykle przedstawiają ubrania, pieniądze, dom, czyli wszystko to, co jest potrzebne do życia. Palono je, bo wedle wierzeń ogień przemieniał je w prawdziwe. Tabliczkę z nazwiskiem zmarłego umieszcza się w ołtarzyku przodków, aby jego duch wrócił do domu. Wierzy się bowiem, że dusza zmarłego dzieli się na trzy części: jedna — pozostaje w grobie, druga — przenosi się do świata pozagrobowego, a trzecia — wciela się w tabliczkę i pozostaje wśród żywych.

Byłam posiadaczką takiej duszy... Duszy wcielonej w tabliczkę. Czy bałam się jej? Chyba tak, choć żal mi było ducha, który w tak dziwny sposób przybłąkał się do mnie. Może musiałam przyjść tego dnia na rynek, aby zabrać ze sobą tę samotną duszę?

Dlaczego ktoś w taki sposób sprofanował kult przodków we własnej rodzinie? Wyjazd? Likwidacja domu? Brak pieniędzy? Odejście od wiary? Przecież kult przodków jest najpiękniejszą i najbardziej wzruszającą tradycją wietnamską. Trwa on od wieków we wszystkich warstwach społecznych. Siłę tego kultu widać w każdym domu w postaci ołtarzyka umieszczonego w głównym pomieszczeniu, udekorowanego zgodnie ze stopniem zamożności rodziny. Powinny się tam znajdować świeczniki, miseczki z trociczkami, taca z kwiatami, dzbanuszek na alkohol oraz modlitewnik zawierający prócz modlitw imiona przedstawicieli czterech pokoleń oraz... tabliczki lub deszczułki z duszami.

Rocznicę śmierci każdego z przodków obchodzi się bardzo uroczyście: wzywa się zmarłego do powrotu i ofiarowuje się mu wykonane z wotywnego papieru przedmioty, które za życia lubił, a które mogą być mu potrzebne w życiu pozagrobowym. Ofiary można składać zmarłym z wielu okazji: wesela, urodzin, szczęśliwie zdanego egzaminu, wyjazdu na studia i powrotu do domu. Rodzina chce powiadomić zmarłego o ważnych wydarzeniach. Nie wolno o zmarłym zapomnieć.

ZOSTAŁAM, ABY OBEJRZEĆ DZIEŃ BŁĄKAJĄCYCH SIĘ DUSZ.

Kończył się czerwiec. Lepkie, wilgotne gorąco przylejało się do ciała, a czas ciągnął w nieskończoność. Moi studenci zdali egzaminy z polskiego i myśleli o podróży do Polski na studia. Zabukowałam się na 15 lipca, bo wydawało mi się, że dwa tygodnie wystarczą mi na zakupy i pożegnanie przyjaciół. Ale właśnie wtedy spotkałam Sanh Thuca, który zdziwił się, że ja tak zainteresowana obyczajami wietnamskimi wyjeżdżam akurat wtedy, gdy zbliża się drugie święto zmarłych — Trung Nguyen — Dzień Błąkających się Dusz. Sanh Thuc zaczął mnie namawiać na zmianę terminu odlotu.

Była to ciekawa i malownicza postać. Adoptowany syn prezydenta Ho Chi Minha, uczestnik walk pod Dien Bien Phu, emerytowany wojskowy, właściciel prywatnego interesu (zawsze przy pieniądzach), przyjaciel artystów, człowiek, który wszystko o wszystkim i wszystkich wie. Był już niemłody, ale pełen werwy i niezwykle towarzyski. Miał piękną i o wiele młodszą od siebie żonę i piętnastoletnią córkę, która specjalnie dla mnie grała utwór „Dla Elizy" Ludwika Beethovena. Sanh Thuc pił. Pił Kug-lui — świetny wietnamski bimber. Zaczynał od rana, żeby się nakręcać. Wracał do domu kiedy chciał i robił co chciał. Wymyślał najprzeróżniejsze szaleństwa. Gdyby nie Sanh Thuc, nigdy nie poznałabym tajemnic Hanoi i smaku opium.

Więc, kiedy jedząc żabie udka, powtórzyłam, że za dwa tygodnie wyjeżdżam, nie przyjął tego do wiadomości.

— *Nie możesz wyjechać teraz, kiedy zbliża się Trung Nguyen. Zabiorę cię na cmentarz* — kusił. — *Nikt z cudzoziemców nie wie nawet, gdzie to jest.*

Ta propozycja była nie do odrzucenia. Przebukowałam bilet na późniejszy lot i czekałam na Trung Nguyen, aby osobiście uczestniczyć w święcie zmarłych, które było ważniejsze od Thanh Minh i przypadało na dzień 15 lipca.

A kiedy nadszedł Trung Nguyen spotkałam się z Sanh Thukiem rankiem. Na rowerze, w szerokich spodniach z czarnej satyny kupionych kiedyś w Sajgonie, w białej bluzce, stożkowatym kapeluszu i ciemnych okularach wyglądałam jak duża, nietypowa Wietnamka. Pojechaliśmy w południowym kierunku ulicą Bach Mai i kiedy wyjechaliśmy z miasta przemierzyliśmy jeszcze około 13 kilometrów. Znaleźliśmy miejski cmentarz...

Ogrodzony murem, otoczony wysokimi drzewami sprawiał z daleka wrażenie ogromnego parku. Wchodziło się przez bramę z wygiętym łukowato daszkiem pokrytym glazurą. Jednakowe groby ciągnęły się szeregami w nieskończoność. Były to proste kopczyki porośnięte trawą, a nad nimi górowały płyty nagrobkowe osadzone w ziemi. Te groby nie mogły mieć więcej niż trzy lata. Istnieje bowiem taki zwyczaj, że po upływie tego czasu kości wykopuje się z ziemi i w małej trumience przenosi się na inny cmentarz. W ten sposób zyskuje się miejsca dla innych, licznych zmarłych.

NA DALEKIM CMENTARZU

Sanh Thuc zaprowadził mnie wąskimi alejkami do grobu, przy którym czekały żona i córka. Jak on znalazł ten grób wśród tysiąca innych kopczyków? Wszędzie krzątali się ludzie: wyrywali zbędne chwasty, zapalali trociczki, a do miseczek z wodą wstawiali kwiaty. Były to kwiaty bez łodyżek, zatknięte na cienkie bambusowe kijki i obłożone listkami. Dym kadzideł spowijał cmentarz.

Nie opodal, za murem znajdowała się pagoda, z której dobiegał odgłos modłów i rytmiczny stuk bębnów. Tam mnich w brązowej szacie, z ogoloną głową wykonywał skłony do pozycji leżącej przed ołtarzem, na którym szeregami na coraz to wyższych stopniach stały różnej wielkości wyobrażenia Buddów. Olbrzymia postać górująca nad nimi wypełniała wnętrze. Brązowo-złoty Budda siedział na kwiecie lotosu. W bocznych ścianach świątyni tkwiły wmurowane szeregami małe tabliczki z czarnego kamienia, pokryte pismem. Widywałam je także w innych pagodach, nawet w tych w centrum Hanoi. Były to symboliczne nagrobki z nazwiskami, imionami, datami śmierci i jakimiś, zwykle wzruszającymi sentencjami.

Trung Nguyen zaczynało się w połowie lipca, ale można było je obchodzić każdego dnia drugiej połowy miesiąca. Święto to celebrowali wszyscy bez względu na przekonania. Trung Nguyen ustanowiono dla wszystkich zmarłych, ale myślano przede wszystkim o tych, którzy zmarli nagłą śmiercią w wypadku, o tych, których ciał nigdy nie odnaleziono i o tych, którzy zginęli w czasie wojny. Według dawnych wierzeń dusze ich nie otrzymały boskiego przebaczenia i błogosławieństwa, bo do śmierci nie zdążyły się przygotować. Nie odpuszczono im grzechów i dlatego błąkają się po świecie nie mogąc zaznać niebiańskiego spokoju. Obowiązek pomocy nieszczęśliwym duszom spada na żyjących.

W dzień Trung Nguyen stół jest obficie zastawiony ofiarnym jadłem. Powinny się tam znajdować trzy rodzaje mięs: gotowane, drobno pokrojone kurczęta, pieczona wieprzowina i kraby. Gdy z różnych przyczyn mięsa zabrakło, wystarczy placek z ryżu kleistego i rosół z przezroczystym makaronem z mąki ryżowej. Przyrządza się także napój niebiański z soku pomarańczowego, który według dawnych wierzeń pozwalał błąkającej się duszy przypomnieć sobie, w jaki sposób umarła i jakie grzechy popełniła. Obok potraw kładziono na stole papiery wotywne przedstawiające miniaturowe ubrania, pieniądze, dom, czyli to wszystko, co jest potrzebne do życia. Podczas celebrowania obrządku papiery palono, bo ogień przemieniał je w prawdziwe. Po zaproszeniu duchów do stołu przez najstarszego syna, po rozmowie z nimi — a rozmowa ta miała charakter modlitwy — domownicy zasiadali do stołu. Dawniej w południowej części Wietnamu Dzień Błąkających się Dusz był szczególnie uroczyście obchodzony przez koleje i inne firmy transportowe, bo przecież to one były niejednokrotnie przyczyną nagłej śmierci pasażerów. Również i... rzeźnicy przygotowywali się do Trung Nguyen. Musieli prosić Boga o przebaczenie za całoroczne uśmiercanie zwierząt, bo przecież zabijając zwierzę mogli zabić zmarłego, który powrócił na ziemię przeistoczony w czworonoga. Aby uniknąć potępienia nie jedli tego dnia mięsa, nie wolno im też było zabić żadnego, żywego stworzenia. Dlaczego więc duszom podawano mięso?

Po modlitwach w przycmentarnej pagodzie postanowiliśmy wracać do Hanoi. Przedtem zjedliśmy placuszki z kleistego ryżu, które Nhung — żona Sanh Thuca odwinęła z liścia palmowego. Wracaliśmy w porze największego skwaru. Mrowie rowerów posuwało się w stronę miasta, bardzo powoli, jak stado żółwi. Każdy wehikuł był bowiem obciążony dzieckiem jadącym na tylnym bagażniku.

Kiedy przyjechaliśmy na ulicę Nguyen van Tho zasiedliśmy do stołu. Sanh Thuc wezwał ducha swojego ojca oraz nieznane mu dusze, aby nie gniewały się, jeśli posiłek wyda się im skromny. Błąkającym się duszom życzył darowania win, a swojego ojca prosił, aby ten nie zostawiał rodziny samej z troskami i kłopotami. Następnie spalił papiery wotywne i zabraliśmy się do jedzenia. Potrawy smakowały mi, ale miałam wrażenie, że dotknął je powiew innego świata.

TO BYŁA DUSZA CHIŃSKIEGO PISARZA

Przed wyjazdem do Polski poszłam pożegnać się z Vudan Tanem i panią Lan. W prezencie otrzymałam swój portret, na którym widnieję z opiekuńczym duchem w tle. Pani Lan wydobyła z ukrycia miedzianą tabliczkę zostawioną kiedyś dla wyjaśnienia, czyją zawiera duszę. Okazało się, że zmarły był Chińczykiem, osobistym pisarzem cesarza wietnamskiego Minh Manga panującego w latach 1820—1840. Pisarz zmarł młodo, bo w wieku lat czterdziestu dziewięciu. Na tabliczce wyryto sentencję: *Jak ulotne jest życie... Ileż cierpień człowiek doznaje, na jakie ciężkie próby Niebo go wystawia, nim się Karma wyczerpie... Czy musi być tak?...*

Masz temat dla reportera? Coś cię drażni, niepokoi, szlag cię trafia – podnieś słuchawkę i wykręć numer: 36-77-70

Na twój telefon czekają redaktorzy:

29 października — JERZY KWIECIŃSKI — godz. 10—16

5 listopada — PAWEŁ TOMASZEWSKI — godz. 10—16

Zadzwoniła Anonimowa Czytelniczka, która podziękowała za pozdrowienia i za spełnienie jej życzenia. A było to tak: Latem podczas dyżuru przy redakcyjnym telefonie Andrzeja Makowieckiego taż właśnie Anonimowa Czytelniczka wyraziła życzenie, abym również — z racji tego, że przyszło mi kierować redakcją — zasiadł przy telefonie i posłuchał, co mają mi do powiedzenia Czytelnicy. Życzenie to uznałem za dobry pomysł i dopisałem do sprawozdania Andrzeja Makowieckiego z dyżuru zapewnienie, że po powrocie z urlopu zasiądę przy telefonie i pozdrowiłem pomysłodawczynię. I oto zasiadłem przy telefonie 36-77-70.

Z obowiązku muszę przekazać tak Czytelnikom, jak i zespołowi „Odgłosów", że wysłuchałem kilku komplementów pod adresem pisma i zespołu, za co dziękuję. Te komplementy powinny nas zmobilizować do jeszcze lepszej pracy, jako że dobrze zdajemy sobie sprawę z naszych błędów i niedomagań.

Wspomniana **Anonimowa Czytelniczka zwróciła nam uwagę, że coraz głośniej robi się wokół powieści Anatolija Rybakowa** „Dzieci Arbatu". Pojawiły się różne informacje, kto to już jej nie drukuje i kto będzie drukował tę powieść, a jakoś nikt nie wspomina, że już drukujemy 20 jej odcinek. Przykro nam z tego powodu!

Anonimowa Czytelniczka — która pragnie występować incognito — zwróciła mi też uwagę, że będąc na Cmentarzu Komunalnym na Zarzewie zauważyła, że jakoś na grobie Michaliny Tatarkówny-Majkowskiej nie ma kwiatów. A przecież ta kobieta — co by się o niej nie myślało i nie mówiło — tak wiele zrobiła dla Łodzi. Zgadzam się z tym w zupełności i też boleję, że pamięć ludzka jest taka krótka.

Lechowi Malańskiemu pragnę natomiast donieść, **że skontaktowałem się z Włodzimierzem Skoczylasem,** który nie pamięta wprawdzie szwagra Lecha Malańskiego — **Władysława Rebikowskiego, ale w najbliższy czwartek na spotkaniu z byłymi więźniami Dachau popyta o niego. Lech Malański** czytał wspomnienie Włodzimierza Skoczylasa „W cieniu siedmiu wież", z którego dowiedział się, że autor miał numer obozowy 11952, a Władysław Rebikowski miał numer 11956. Od 1945 roku, po wyjściu z obozu, wszelki ślad po nim zaginął. Czy Włodzimierz Skoczylas pomoże rozwiązać tę zagadkę?

Jak zwykle nie brakowało spraw związanych z funkcjonowaniem naszej gospodarki komunalnej. Przede wszystkim komunikacją. **Adam Ochocki** opowiedział mi o fatalnym kursowaniu autobusów linii „57". W wolne soboty mają one kursować co 12 minut, a w dni powszednie co 7 minut; co jest zupełną fikcją. Jeżdżą „stadami" i niekiedy nawet... co 30 minut. Na przystankach gromadzą się ludzie i wygłaszają niezbyt przychylne opinie o pracy MPK.

Cezary Kwiatkowski zwrócił uwagę na bardzo lekkomyślne zachowanie się niektórych motorniczych MPK. Otóż na niezbyt fortunnie usytuowanych zwrotnicach wyjeżdżają oni tramwajami poza skrzyżowania, utrudniają przez to ruch samochodów, zasłaniają kierowcom widoczność. Tak dzieje się na przykład — jak utrzymuje **Cezary Kwiatkowski** — na skrzyżowaniu alei Włókniarzy i ul. Bolesława Limanowskiego i na skrzyżowaniu Zachodniej i Ogrodowej. **Cezary Kwiatkowski** proponuje, aby służba ruchu MO zainteresowała się tymi skrzyżowaniami — i im podobnymi — i aby pomogli jej w tym członkowie ORMO.

J.A. z Bełchatowa (imię i nazwisko do mojej wiadomości) ostro skrytykował zmieniony rozkład komunikacji miejskiej w Bełchatowie. Chodzi przede wszystkim o to, że autobus łączący Osiedle Dolnośląskie ze szpitalem tak ma teraz ułożony rozkład jazdy — od jakichś 2 tygodni — że pracownicy dojeżdżający do pracy w szpitalu lub wracający z pracy muszą albo czekać bardzo długo na autobus, albo spóźniają się do pracy, albo muszą iść do pracy lub z niej wracać piechotą. Zdaniem J.A. ktoś nie pomyślał układając ten rozkład jazdy.

J.A. wyraża się też krytycznie o kulturze i poczuciu obowiązkowości pracowników komunikacji miejskiej w Bełchatowie. Kierowca, który odjechał wcześniej niż przewidywał to rozkład, nie mógł zrozumieć, że postąpił niewłaściwie. Jego bowiem zdaniem, niech sobie śpieszący na autobus pasażerowie poczekają, nic im się przez to nie stanie.

Na Osiedlu Dolnośląskim w Bełchatowie są bloki 97A, 97B i 97C. Pracownicy z Elektrowni w Bełchatowie twierdzą, że do tych bloków układali kabel telefoniczny. Dyrekcja miejscowego Urzędu Telefonicznego twierdzi, że tam kabla nie ma i stąd ludzie czekają na podłączenie im telefonu od 1984 roku. Mieszkańcy innych bloków mają już telefony, choć starali się o nie później. Ponoć problem ma być rozwiązany w tych blokach w I kwartale 1988 roku, gdyż plan na 1987 rok jest już wykonany. Tak przynajmniej mówi się w Bełchatowie. Czy to prawda?

Janina Tatarska i Jan Siekierzycki — mieszkańcy Osiedla im. Władysława Jagiełły w Łodzi przedstawili w niezbyt korzystnym świetle prace administracji tego osiedla. **Jan Siekierzycki** opowiedział o kłopotach z dojazdami do bloku przy ul. Julianowskiej 3/5. Są wprawdzie dalekie objazdy, ale blok ten ma 13 klatek, wszystko może się zdarzyć, a Julianowska rozkopana i nic się na tym „placu budowy" nie dzieje. Jak długo tak może być i co na to administracja osiedlowa, która powinna dbać o interesy mieszkańców?

Do Administracji Osiedla im. Władysława Jagiełły ma też pretensje **Janina Tatarska** z bloku przy ul. Jana Kochanowskiego 13. Blok ten nosi nr 20. Projektanci wadliwie zaprojektowali teren wokół bloku. Podczas deszczu — a jak już jest ulewa, to się robi potop — woda płynie do piwnic bloku. W mieszkaniu u **Janiny Tatarskiej** zgniła już wykładzina podłogowa, wilgoć źle wpływa na samopoczucie dzieci. Stan ten moja rozmówczyni przedstawiła na piśmie 30.09.1987 roku rzeczonej administracji i od tej pory zaległa cisza. **Janina Tatarska** 8 lat walczyła o włączenie ogrzewania na jej klatce schodowej. Jeśli teraz pomyśli, że przyjdzie jej walczyć kolejne 8 lat o sposób na osuszenie mieszkania, to strach ją ogarnia. A ja jej się nie dziwię.

Lucyna Kasicka poinformowała, **że osiedle na Żubardziu ma już 25 lat,** jest to pierwsze osiedle RSM Bewełna i w najbliższych dniach odbędą się uroczystości jubileuszowe. Gratuluję!

Natomiast **Paweł Wróblewski** — student, który stołuje się w „Tivoli" — narzekał na nachalstwo grających grup cygańskich. Pisaliśmy już niegdyś o tym brzydkim zjawisku. Ale, jak widać, nic to nie pomogło. Apelujemy do „Społem", aby zwróciło uwagę pracowników restauracji i barów, że nie wszyscy goście są miłośnikami muzyki cygańskiej, a i nachalność muzyków bywa dla niektórych przykra. Może by kierownicy restauracji nawiedzanych przez takie zespoły zdecydowanie się temu przeciwstawiali.

Sprawę przedstawioną przez **Jana Andrzejczaka z Konstantynowa** opiszemy w oddzielnej publikacji.

Za jakiś czas znów się spotkamy przy redakcyjnym telefonie: 36-77-70.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Wygrać, a później zwracać pieniądze

Z kim zakładamy się w Totolotku?

Rozmowa z dyrektorem V Międzywojewódzkiego Oddziału Przedsiębiorstwa Państwowego „Totalizator Sportowy" w Łodzi — JERZYM SKOTNICKIM

— Czy lubi pan wypłacać wielkie wygrane?

— Pasjami, pasjami... To najprzyjemniejszy moment w mojej pracy. Każdy lubi oglądać szczęśliwe twarze wokół siebie a świadomość, że ma się jakiś udział w czyimś szczęściu jest naprawdę przyjemna. Od strony zawodowej mogę też wówczas myśleć, na ile w wyniku tej wygranej wzrosną obroty mojej firmy.

— A jednak „Głos Robotniczy" przyniósł 1 października 1987 r. ogłoszenie o odwołaniu zakładów zawartych w kolekturze 5/202. Czy pańska firma nie wykręcała się w ten sposób od wypłacenia wygranych?

— Nie, moja firma nie potrzebuje się wykręcać od płacenia wygranych. Gdyby tak było, nie widziałby pan tych kolejek chętnych do zawierania zakładów przed naszymi kolekturami. Jakakolwiek niesolidność z naszej strony natychmiast odbiłaby się na gotowości klientów do korzystania z naszych usług. Przeciwnie, takie sytuacje są — choć rzadkie — dowodem poważnego podchodzenia przez nas do tego, co robimy; przy wystąpieniu najmniejszych nawet uchybień rezygnujemy z naszej części zysku.

— Zdaje się pan zapominać, że ogłoszenie ukazało się już po losowaniu i znając polskie zwyczaje kilka osób zdążyło już uczcić swoje mniejsze lub większe wygrane. W czwartek czytając „Głos" musieli przeżyć niezły zawód. Łatwo sobie przecież wyobrazić sytuację, w której po nadmiarze dużej wygranej dokonuje się unieważnienia zakładów w danej kolekturze.

— Wyobrazić można sobie wszystko, jeśli się chce. Pewnie niestarannie czyta pan kryminały, bo tam zawsze pierwszym pytaniem prowadzącego śledztwo jest problem, w czyim to leżało interesie. Unieważnienie zakładów nigdy nie leży w interesie Przedsiębiorstwa Państwowego „Totalizator Sportowy", ponieważ my nic nie zyskujemy na takiej operacji. Przeciwnie — tracimy teoretycznie 50 proc. wpływów z takiej sytuacji. Łatwo sprawdzić w regulaminie, że fundusz nagród stanowi właśnie 50 proc. wpływów na dane zakłady. Większa lub mniejsza ilość wygranych danego stopnia nie wpływa na nasz udział — po prostu tę samą kwotę dzielimy na większą lub mniejszą ilość osób. Z rachunku prawdopodobieństwa wynika, że pomijając wypadki skrajne, to znaczy takie, że w tej kolekturze pada akurat jakaś duża wygrana, musi dojść do sytuacji, że „średni" wynik finansowy każdej kolektury to właśnie 50 proc. wpływów dla nas. Unieważniając zakłady rezygnujemy z naszych pewnych udziałów, bo w wypadku dużej wygranej w tym punkcie, pieniądze na jej wypłacenie wzięlibyśmy z całości funduszu nagród. A że ogłoszenie ukazało się po losowaniu... przykro nam z tego powodu, ale pan powinien wiedzieć lepiej jak długo trwa proces produkcji gazety. To nie nasza wina, że jest on tak długi i względy techniczne uniemożliwiają szybsze informowanie grających. Radio jest szybsze pod tym względem i mogło podać tę wiadomość już w środę: raz o godzinie 13.05 i później o 17.00.

— Dobrze, nawet jeśli przyjmiemy, że Totalizatorowi nie przyświecały żadne złe intencje, to nie wszystko wydaje mi się zupełnie w porządku przy tego typu operacjach — chodzi mi o kupiecką solidność. Klient płaci i nie może się już wycofać — jest też pewien, że to samo dotyczy drugiej strony, czyli PPTS. Używając języka pańskiej firmy są to dodatkowe zakłady specjalne: unieważnią czy nie?

— Niezupełnie, bo, jak pan wie, obowiązuje stara zasada prawnicza, głosząca, że nieznajomość przepisów nie może zwalniać od konsekwencji ich naruszenia. Otóż nasze kupony opatrzone są uwagą: **„Złożenie kuponu jest równocześnie wyrażeniem zgody na warunki gry określone regulaminem"** — to punkt 4. Punkt 5 mówi zaś, że **„regulaminy gier są do nabycia w kolekturach TOTO".** To pierwsza część odpowiedzi na pańskie pytanie. Druga zawarta jest właśnie w regulaminie gry TOTO, w którym par. 13 mówi wyraźnie, kiedy zostają zawarte zakłady. PPTS nie wycofuje się więc z umowy zawartej z klientem — w myśl tego regulaminu zakłady zostają zawarte w chwili zabezpieczenia odcinków A i B kuponu w skarbcach w Warszawie i w oddziale. Jeżeli więc nasz klient zna regulamin, nie podejrzewa nas o niesolidność, tym bardziej, że jak to już sobie wyjaśniliśmy, TOTO nie ma podstaw do działania na szkodę klienta. My przecież nie wycofujemy się z umowy na szkodę grającego — obowiązuje nas zwrot stawki, jaką wniósł do gry.

— To wszystko prawda, lecz my operujemy zupełnie innymi optykami: pan widzi to jako swoją pracę, gdzie wszystko jest codzienne, rutynowe — ja zaś patrzę przez pryzmat klienta, któremu duża wygrana może się zdarzyć w życiu raz, a jeśli będzie miał już zupełnie bajeczne szczęście to dwa; co on może czuć, jeśli po trafieniu „7" w Super-Lotku dowie się, że unieważniono mu zakłady? Wypłaty z tego tytułu znacznie przecież przekraczają 25 milionów złotych...

— Owszem, to prawda, co pan mówi, lecz pomija pan sytuację grającego, któremu na skutek naszej „solidności" ktoś zabiera połowę nagrody. Ostateczne unieważnienia zdarzają się niezwykle rzadko, zaś wypłaty dużych wygranych są właśnie sutyną. My nie dbamy tylko o nasze interesy, lecz przede wszystkim o interesy grających. Sposób, w jaki się zabezpieczamy, to nic innego jak właśnie zabezpieczenie interesów naszych klientów. Gdyby nie ten par. 13, który tak się panu nie podoba, łatwo byłoby sobie wyobrazić porozumienie się — obojętne ajenta kolektury czy pracownika oddziału — z kimś innym i dopomożenie losowi w uzyskaniu wygranej. Wypłaty Totalizatora były zawsze wystarczająco wysokie, by kusiły do takich zabiegów. To nie my ponieślibyśmy wówczas straty, bo nasze 50 proc. jest zagwarantowane regulaminem, lecz inni, uczciwie grający.

Zupełnie już przy tym pomijam fakt, że takie zabezpieczenie regulaminowe pozwala utrzymać czystą atmosferę wokół gry, choć rzecz toczy się o tak duże pieniądze.

— Czy nie sądzi pan jednak, że ów nieszczęsny par. 13, nawet jeśli przyświecały mu dobre intencje w chwili formułowania go, od strony prawnej jest rozwiązaniem niewłaściwym? Przytoczmy stosowny fragment: „W przypadku niezabezpieczenia w skarbcu odcinków B i A kuponów — bez względu na przyczynę — nie biorą one udziału w losowaniu". **Jest to dużo więcej niż pozwala na to ustawa o grach losowych i totalizatorach, której artykuł 11 par. 3 zwalnia organizatora zakładów od takiej odpowiedzialności tylko pod warunkiem, iż nie ponosi on winy w wyborze osób angażowanych do prowadzenia niektórych czynności z zakresu prowadzenia totalizatora.**

— „Zwężenie" stopnia naszej odpowiedzialności jest w tym wypadku zupełnie pozorne. W końcu sprawę winy w wyborze ajenta kolektury nie musimy uwidaczniać w regulaminie gry. Możliwe jest inne rozwiązanie tora oraz klientów zupełnie wystarczające. Spełnia też wymagania ustawy.

— W dalszym ciągu jednak nie jestem o tym przekonany. Pewnie pan pamięta — kilka lat temu znana była afera łódzkiego oddziału PPTS: w skrócie rzecz polegała na tym, że ajent po przyjęciu zakładów zamiast oddać kupony do oddziału, oddał się piciu alkoholu. Trafchciał, że akurat w tej kolekturze padła duża wygrana i grający wystąpili do sądu o wypłacenie im przez TOTO należnych pieniędzy. Sąd podzielił ich stanowisko i pańska firma musiała wypłacić wygrane...

— To stara historia... Z tym, że było to niezupełnie tak. Sąd Najwyższy podzielił racje grających, ale nie przeciw nam a ajentowi. To nie Totalizator płacił odszkodowanie, a niesolidny ajent.

— Pan tylko potwierdza moje opinie że jednak nie wszystko tak dobrze funkcjonuje w działalności Totalizatora.

— Sens istnienia Totalizatora polega nie na oszukiwaniu, lecz na organizowaniu. My gwarantujemy uczciwą grę i nasza rola sprowadza się faktycznie tylko do kontrolowania uczciwości gry przez wszystkich uczestników.

— Czy myśli pan o zawiedzionych, którzy stracili stawki?

— Myślę, chyba to samo, co oni. Może następnym razem będzie lepiej!

Rozmawiał: KRZYSZTOF PASIKOWSKI

OŚRODEK KSZTAŁCENIA ZAWODOWEGO NR 3

w Łodzi, ul. Próchnika 42, tel. 33-16-09

organizuje kursy:

kwalifikacyjne

(wymagany staż pracy od 3 do 7 lat)

- mechanik samochodowy
- blacharz samochodowy
- lakiernik
- wulkanizator

doskonalące

- przepisy transportowe dla pracowników służb transportowych
- instruktaż „taxi"
- transport ciężarowy
- przewóz materiałów niebezpiecznych

Szczegółowych informacji udziela i zapisy przyjmuje Sekretariat Ośrodka.

2443-k

Dobrze się dzieje, że coraz więcej wybitnych książek pisarzy emigracyjnych znajduje drogę do wydawnictw krajowych. W roku 1978 powrócił Józef Wittlin, najpierw wyborem poezji, a w następnym roku została po wielu latach wznowiona „Sól ziemi". Na wydanie w Polsce czeka jeszcze zbiór jego esejów i artykułów noszący tytuł „Orfeusz w piekle XX wieku". O tej ostatniej pracy Stanisław Gębala w „Ruchu Literackim" napisał *„Lektura Orfeusza jest przeżyciem niezapomnianym. Niewiele książek współczesnych tak głęboko porusza czytelnika..."*.

Krzysztof Dybciak zaliczył Józefa Wittlina obok Stanisława Vincenza, Kazimierza Wierzyńskiego, Jarosława Iwaszkiewicza, Jerzego Stempowskiego i Jana Parandowskiego do grupy pisarzy wywodzących się z kresów południowo-wschodnich, których łączyła wrażliwość na wielość kultur istniejących obok siebie na tych terenach, piękno języka, którym się owi pisarze posługiwali oraz nieosiągalna już chyba obecnie erudycja. Dodam, że w każdym z nich tkwił niezwykły duch poezji mający swe źródło w ziemi, na której przyszło im spędzić część swojego życia; poezji, którą potrafili tak dobrze przelewać na papier, zapisując piękne rozdziały naszej literatury.

Józef Wittlin pisał niewiele, ale wszystko co wychodziło spod jego pióra było starannie przemyślane. Każde zdanie, każde słowo, które pada w „Soli ziemi" jest wyważone i właśnie w tym, a nie w innym miejscu potrzebne. Wittlin był poetą, debiutował przecież ekspresjonistycznymi „Hymnami" i wiedział, jak wiele może zależeć od jednego odpowiednio użytego słowa. Całe fragmenty tej książki to jakby poematy pisane prozą.

Nad swym dziełem pracował długo. Zaczął je pisać w roku 1925, ukończył w 1935. „Sól ziemi" miała być pierwszym tomem zamierzonej trylogii pt. „Powieść o cierpiącym piechurze". Niestety całość nigdy nie została ukończona. Rękopis dalszej części zaginął w czasie wojny. Fragment drugiego tomu pt. „Zdrowa śmierć" ukazał się w 1972 roku w paryskiej „Kulturze", wszedł także do wydania krajowego. Trudno jest dziś powiedzieć dlaczego Józef Wittlin nie ukończył swojego dzieła. Jan Koprowski sugeruje, że to właśnie pobyt na emigracji nie pozwolił mu na doprowadzenie do końca tej pracy. Choć inni krytycy uważali, że los pisarza emigracyjnego autor „Hymnów" przyjął stosunkowo łatwo. Jak było naprawdę, nikt już nie będzie w stanie powiedzieć.

„Sól ziemi" stanowi jednak zamkniętą całość i jako taka zyskała sobie światową sławę. Tłumaczona była na wiele języków, po wydaniu jej we Francji recenzję napisał filozof Gabriel Marcel. A nieczęsto przecież się zdarza, by na polską literaturę zwracali uwagę wielcy myśliciele Europy Zachodniej. W roku 1939 kandydaturę „Soli ziemi" wysunięto do Nagrody Nobla.

Jak z Piotra N. robiono żołnierza

Józef Wittlin misternie wprowadza nas w świat prostego Hucuła Piotra Niewiadomskiego, jednego z wielu żołnierzy, którzy oddali życie w pierwszej wojnie światowej, a właściwie we wszystkich wojnach, jakie ludzie toczyli i będą (oby nie) toczyli w przyszłości. Bo książka jest hołdem dla najbardziej czystego człowieczeństwa. Bohaterem opowiadania jest człowiek nie potrafiący czytać, nie wiedzący która jest prawa, a która lewa ręka, człowiek, którego świat ograniczony jest ciągle do tej samej okolicy i właściwie jednego marzenia, by zostać dróżnikiem na kolei.

Autor nie przypadkiem tak skonstruował tę postać. Miała ona być w jego zamierzeniu, co zresztą mu się świetnie udało, najmniej dotknięta przez cywilizację, miała symbolizować, jak to określił Ludwik Fryde, *„naturalne człowieczeństwo"*, w które nagle wdziera się wojna. W jednym z artykułów zamieszczonych w „Orfeuszu w piekle XX wieku" Józef Wittlin napisał: *„Świdrem wojny ruszona trysnęła nagle na powierzchnię ziemi — całymi strumieniami ropa najczystszego człowieczeństwa"*.

Trysnęła, by zmienić świat każdego człowieka, rozbić go na części, pokiereszować, a często bardzo, by unicestwić. Oto jak autor w prologu do swej powieści opisał pojawienie się wojny: *„Usta ustom podawały nowinę. Gryzły ją, żuły, mełły, międliły, aż nagle milion ust wypluło na bruk jedno słowo jak gorzki migdał"* I trochę dalej: *„O świcie na wszystkie miasta padła szarańcza. Z mroków tej ostatniej nocy wyległo się błękitne robactwo: stonogi kłujące bagnetami, osy uzbrojone w żądła śmiertelne. Czy to ci sami żołnierze, którzy ubiegłej niedzieli piękną paradą bawili oczy nasze.*

Ulicami z szumem pędzą auta, naładowane generałami. Czerwone lampasy migają przed tłumem gapiów, jak czerwone płachty toreadorów".

Wojna stała się faktem, błyskawicznie dotarła na daleką huculszczyznę, do stacji Toporv-Czernielice, w życie Piotra Niewiadomskiego i zmieniła je. Najpierw — o dziwności losu! — Piotr, ponieważ większość mężczyzn idzie na front, zostaje dróżnikiem. Ale stan ten nie trwa długo. Na komisji wojskowej zostaje uznany jako zdolny do walki.

„Sześćdziesiąt siedem kilogramów żywej wagi. Piotr nie rozumiał po co go ważą, zdawało mu się, że jest ubitym bydlęciem w rzeźni".

Potem jeszcze na krótko powrót do domu i oczekiwanie na kartę powołania, która wreszcie przychodzi i pociąg powozi Piotra Niewiadomskiego i wielu innych jemu podobnych daleko od stron rodzinnych. Szczególnie przejmująca jest tutaj scena pożegnania na stacji.

„Z grona milczących bab wychodzi jakaś staruszka. Kusztyka na sam środek toru. Włosy bez barwy i blasku, jak wymiędlone konopie, wyłażą spod białej chustki. Coś mówi do szyn, coś tłumaczy szynom, czego nikt nie słyszy. Potem hieratycznym gestem podnosi wysoko drżące, kościste ręce i kreśli nad szynami olbrzymi krzyż Potrójny, grecki".

W obozie rekruckim, gdzie uczą Piotra jak najlepiej zabijać ludzi, pojawia się druga ważna postać książki — feldfebel Bachmatiuk, całkowite przeciwieństwo Piotra, człowiek, dla którego świat zaczyna się i kończy na wojskowych regulaminach. Znakomite są końcowe partie książki, w których z Piotra Niewiadomskiego robi się żołnierza Bachmatiuk to chyba jeden z najciekawiej przedstawionych zawodowych żołnierzy C.K. armii w literaturze.

Zadziwiające, że książka Józefa Wittlina nic się nie zestarzała, mimo okropności następnej wojny światowej i całej literatury, która powstała na ten temat, dalej robi wrażenie i będzie robiła tak długo, jak długo będzie istniało realne zagrożenie wojną.

TOMASZ A. WŁODKOWSKI

1 Pod prąd

Nowomowa komputerowa

Spacerując któregoś dnia po parku, dostrzegłem parę młodych ludzi. Ona miała lat około osiemnastu, długie kasztanowe włosy i modne okulary na nosie. On — starszy chyba trochę — ubrany był w dżinsy i kurtkę koloru khaki z niezliczoną ilością kieszeni. Obejmując się czule, usiedli na ławce obok mnie, a że wokół panowała błoga jesienna cisza, mogłem w miarę swobodnie przysłuchiwać się ich rozmowie. Brzmiała mniej więcej tak:

Najpierw on poinformował ją, że jak tylko zobaczył jej soflter, to serce zabiło mu żywiej i od razu postawił dwa szlasze na tamtej starej karcie, wyskreczował pamięć zewnętrzną do ostatniego bajta, zdecydowany zrestartować swój program. Na co ona odpowiedziała, że takie zlinkowanie systemów bardzo jej odpowiada i nie ma nic przeciwko temu. Wtedy on — wyraźnie wzruszony — zapytał, czy nie miałaby ochoty poskrolować z nim trochę dziś wieczorem. A ona — że tak, ale najpierw chciałaby zobaczyć jego dżoba, bo inaczej nie ma to większego sensu. — A co z twoim drajwem? — zapytał on. Uspokoiła go, że wszystko w porządku i dodała, że jak się ma taki interfejs, to można wszystko bez żadnych obaw, a w ogóle to może go nauczyć takich sztuczek w sigolu, o jakich mu się jeszcze nie śniło. I pocałowała go czule w policzek.

Ponieważ nie jestem informatykiem, nie mam pewności, czy przytaczając powyższą rozmowę, nie pokręciłem czegoś, nie zniekształciłem, wypaczywszy tym samym jej sens. Jeżeli tak się stało, to z góry przepraszam, ale naprawdę trudno mi było momentami zrozumieć, o co dokładnie tym dwojgu młodym chodzi, choć sytuacja zdawała się świadczyć jednoznacznie, jakie mieli wobec siebie zamiary. No cóż, w czasach mojej młodości chłopak na randce z dziewczyną opowiadał o ptaszkach, pięknie przyrody i — jak bardzo lubi przeglądać się w jej błękitnych oczętach. Mówił przy tym cicho, szeptem, a po polsku, zrozumiale, tak że nie mogło być żadnych wątpliwości w czym rzecz.

Dziś jest inaczej. Dziś taki młody „mózgowiec" może bez większych obaw konwersować głośno w parku z jakąś długowłosą, „komputerową" o najbardziej intymnych nawet sprawach, gdyż wie, iż prawie nikt ze starszego pokolenia tak nie dociecze, o czym właściwie mowa. Nie musi obawiać się więc zgorszenia starszych panien z pieskami, tudzież dzieciarni w wiekach przedszkolnym zbierającej żołędzie. No, chyba że będzie się zachowywał nieprzyzwoicie.

Ale nie to jest najgorsze. Nie obyczaje współczesnej młodzieży budzą największe obawy, a — że jak tak dalej będziemy się komputerować, to najinteligentniejsi młodzi ludzie, przyszłość kraju, zapomną niedługo swego ojczystego języka. Już dziś mamy tego wyraźne symptomy, czego przykładem choćby zasłyszana przeze mnie w parku i — być może nieudolnie — odtworzona rozmowa zakochanych.

Ja oczywiście rozumiem, że bez komputerów w przyszłości nie da rady, że cały świat idzie w tym kierunku i że nowe pojęcia w informatyce rodzą się na gruncie języka angielskiego. Czy jednak naprawdę nie stać nas, Polaków, abyśmy pojęcia te przetłumaczyli na polski, stworzyli ich polskie odpowiedniki i nimi się na co dzień posługiwali? Nie jest to przecież niemożliwe. Trzeba tylko reagować odpowiednio szybko, póki obce zwroty i określenia nie zadomowią się w polszczyźnie na stałe. Zarówno mówionej, jak i pisanej, do której też już wiele przeniknęło, o czym łatwo się przekonać biorąc do ręki chociażby pierwszy z brzegu numer jakiegoś pisma informatycznego.

Chciałbym przy tej okazji zapytać, gdzie są nasi wspaniali językoznawcy? Czy nie widzą, co się dzieje? To przecież oni powinni czuwać nad czystością języka i reagować na zachodzące w nim zmiany. To oni powinni zaproponować nam coś zamiast obcego „dżojstika", „dampu" i „ślizeku", włączyć się aktywnie w proces komputeryzacji społeczeństwa, a nie tylko liczyć bez końca, ile razy Adam Mickiewicz użył w „Panu Tadeuszu" spójnika „i". Czas już ku temu.

Postulat ten zgłaszam najzupełniej poważnie, gdyż żarty żartami, a sprawa nie jest wcale błaha. Co gorsza, tempo życia jest obecnie tak szybkie, iż każdy rok, ba, miesiąc zwłoki powoduje następstwa częstokroć nieodwracalne. Zakładając na powrót błazeńską czapeczkę z dzwonkami, ostrzegam więc: obyśmy tumorol nie obudzili się z hendem w czeimberze. Kto wie bowiem, co ci Anglosasi mogą jeszcze do nas wyeksportować.

JÓZEF RETMAN

2 Lewym okiem

Wydobyć z milczenia!

Dwa lata temu zorganizowano w Republice Federalnej Niemiec wystawę dotyczącą niewolniczej pracy Polaków wywiezionych do Trzeciej Rzeszy podczas ostatniej wojny. Wystawę zorganizowały te ugrupowania postępowej młodzieży zachodnioniemieckiej, które uważają, że przeszłości narodu przemilczeć się nie da. Że słuszniej i godziwiej jest pamiętać ją, wyciągać z niej wnioski i konsekwencje, przezwyciężać zło, jakie w niej tkwiło, zamiast udawać, że tego zła wcale nie było. Wystawę, która gościła w kilku naj-

[redacted]

Niemcy, nikt natomiast nie pomyślał o czymś podobnym u nas w kraju.

Po przejściu frontów w 194[redacted] roku wielkie gromady wywiezionych Polaków znalazły się w zgrupowaniach zorganizowanych przez aliantów, a nazywanych obozami dipisów. DP — displaced persons, osoby przesiedlone. Wiele czynników złożyło się na to, że dipisi pozostali w tych obozach długie miesiące a nawet parę lat. Ale wszystkie te czynniki zostały dotychczas dostatecznie wyjaśnione. Upominałem się o te sprawy kilkakrotnie także w artykule zamieszczonym parę lat temu w „Polityce". Przypomnę te sprawy jeszcze raz, bo nienormalnym wydaje mi się, że znowu historyk zachodnioniemiecki dr Wolfgang Jacobmeier ubiegł nasze rodzime piśmiennictwo historyczne, poświęcając polskim dipisom książkę wydaną w Hanowerze w 1985 r. Zawiera ona wiele materiałów żywo obchodzących nasze społeczeństwo. I znów: nikt u nas o taką rozprawę się nie pokusił. Znów poprzestano na kilkunastu książkach wspomnieniowych, nie pogłębionych naukowo, nie popartych żadnymi dokumentami.

Nie poświęcono zwłaszcza uwagi ciekawemu, zupełnie pominiętemu milczeniem w krajowej publicystyce zjawisku, mianowicie tzw. kompaniom wartowniczym. Były to oddziały paramilitarne, organizowane przez amerykańskie wojsko okupacyjne do służb pomocniczych, zwłaszcza do pełnienia wart przy różnych obiektach wojskowych, amerykańskich. W kompaniach wartowniczych znalazło się kilkadziesiąt tysięcy naszych rodaków i służyli w nich ponad dwadzieścia lat. Pomyślcie sobie: dwudziestoletnia historia kilkudziesięciotysięcznej grupy Polaków absolutnie pominięta milczeniem w historiografii polskiej. Nie wiem, dlaczego tak jest, dlaczego temat ten nie zainteresował żadnego historyka. Nie wiem, skąd brał się nabór żołnierzy do owych kompanii z upływem powojennych lat, ci pierwsi przecież starzeli się, przechodzili na skromniutkie renty, skąd brali się ciągle nowi? A że się brali wiem z pisma wychodzącego w RFN jeszcze w 1964 roku, pisma wydawanego specjalnie dla kompanii wartowniczych, noszącego tytuł „Ostatnie Wiadomości". Pojedyncze numery dostępne są w Bibliotece Uniwersytetu Łódzkiego.

Jeszcze raz upominam się o tę sprawę, trzeba wydobyć z milczenia tych jakże licznych, naszych rodaków, którzy po różnych tragicznych przejściach, więzieniach, obozach koncentracyjnych i innych, znaleźli w sobie dość siły, aby następnie w obozach dipisów organizować szkolnictwo dla dzieci, pomoc społeczną dla wykolejonych tysięcy ludzi, wydawać dla nich pisma i książki, organizować służbę zdrowia.

Chciałbym też cokolwiek dowiedzieć się o kompaniach wartowniczych — tu nie ma nawet wspomnień. Rzecz jest do zbadania i opisania. Myślę, że trzeba to koniecznie zrobić.

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

3 Sport

Żałoba i żal

W „Expressie Wieczornym" w cyklu: „Nasza Syrenka" ukazał się rysunek Gwidona Miklaszewskiego przedstawiający Syrenkę, która pyta pana z czarną opaską na rękawie, kto mu umarł i po kim nosi żałobę. — Nie — odpowiada pan — nikt [redacted] żałoba po

[redacted]

lić drugiego gola. Szkoci rozegrali mecz w pierwszej połowie i w drugiej tylko kontrolowali jego przebieg. Stać ich było na stratę jednej bramki. Drugiej już strzelić sobie nie pozwolili. Było to dość żałosne widowisko. Mnie przed telewizorem było głupio, choć nie ja powinnam się wstydzić. Wyobrażam sobie, jak czuli się Polacy zamieszkujący lub przebywający w Anglii, gdzie piłka nożna ceniona jest wysoko i gdzie pogardza się takimi partaczami, jakimi okazali się piłkarze z Zabrza.

Tak więc ci, którzy liczyli na obronę honoru przez piłkarzy Górnika Zabrze — w końcu mistrza Polski, bądź co bądź — srodze się zawiedli. Mistrz Polski nie odbiega bowiem poziomem gry i poziomem wyszkolenia od całej reszty kopaczy piłki nożnej. Słusznie więc, że polscy kibice założyli po nich żałobę.

Rozczarowali się też ci, którzy liczyli, że działacze PZPN podejmą „męskie", twarde decyzje, które legną u podstaw radykalnych przemian polskiej piłki nożnej. Liczyli oni, że działacze PZPN stać na cud i dokonają „zmartwychwstania" tej piłki. Ale nic się takiego nie stało.

Wymyślono natomiast sposób, w jaki można skompromitować zasłużonego dla polskiej piłki nożnej człowieka. Bardzo cenię i szanuję Kazimierza Górskiego. Podziwiam jego dyplomatyczny i powściągliwy sposób odpowiadania na pytania wścibskich dziennikarzy. Kazimierz Górski do perfekcji opanował taki sposób mówienia, aby nic nie powiedzieć. I to mu się znakomicie udaje. Ale to nie jest powód, aby Kazimierza Górskiego — jak to się brzydko mówi — „wpuszczać w maliny", albo jeszcze brzydziej: „wpuszczać w kanał". Bo czymże jest powierzenie mu przewodnictwa Wydziału Szkolenia PZPN i przewodnictwa komisji specjalnej, która ma ustalić dlaczego jest tak źle. Co tu ustalać, skoro każdy przecież widzi, jaka jest ta polska piłka nożna.

Wszyscy komentatorzy zgodnie dają dowody rozczarowania. Na przykład Andrzej Bunn, w „Expressie Wieczornym", pisze wprost:

„Trener Kazimierz Górski znów u steru polskiej piłki! Ale pamiętać należy, że nie nie zdoła zrobić sam, gdy nie pomogą mu inni."

O to właśnie chodzi. Boję się, że sprytniejsi działacze, aby odsunąć od siebie wszelki cień odpowiedzialności, wymyślili sobie „cudotwórcę". Ale dziś cuda się nie zdarzają. Stąd oczekiwanie, że PZPN zdobędzie się na odwagę głębokiego przeorania tego wszystkiego, co się złego dzieje w polskiej piłce nożnej. Ale PZPN — ta góra — urodził przysłowiową myszy.

Leszek Świder w „Życiu Warszawy" zatytułował swoje sprawozdanie z konferencji prasowej: „Brak konkretów i nowych koncepcji", a Andrzej Szymański w „Dzienniku Łódzkim": „Słowa, słowa i jeszcze raz słowa". Leszek Świder napisał wprost: „W systemie zarządzania nic się nie zmieniło". Działacze PZPN są niebywale zadowoleni z siebie. Ich zdaniem wszystko jest dobrze. Koncepcje wspaniałe, nadzwyczajne, zamierzenia ambitne, sposoby doskonałe, tylko w realizacji popełniono błędy. Same się popełniły, te błędy? Czy też może popełnili je konkretni ludzie?

„Nie ma co się oszukiwać — napisał(a) w „Rzeczypospolitej" — ludzie czekali w poniedziałek na dymisje..." Ale dymisji nie było. Zostali ci sami, którzy popełnili błędy, bo nie wierzę w samoistność błędów. Błędów nie popełniają tylko ci, którzy nic nie robią. Błądzić nie jest rzeczą wstydliwą, gorzej jest — bo to już prawie zbrodnia — błędów nie widzieć i nie mieć odwagi przyznać się do nich. A coś takiego stało się właśnie w PZPN. I to dało Leszkowi Jezierskiemu prawo, aby powiedzieć, co wydrukowano w „Dzienniku Łódzkim": „wszelkie decyzje podejmowane w tej materii muszą wyjść od ludzi k o m p e t e n t n y c h, a takich w PZPN nie ma, co wykazała dotychczasowa działalność!". I co tu można jeszcze dodać?

Żal mi Kazimierza Górskiego, że dał się „wrobić" w tę sytuację bez wyjścia w takich warunkach, jakie istnieją. Żal, ale go rozumiem. Trzeba zrobić wszystko, co tylko jest możliwe, aby uratować polską piłkę nożną. Czy to się uda?

A mimo wszystko, powodzenia, Panie Kazimierzu!!!

BOGDA MADEJ

Dagome iudex

4

Zbigniew Nienacki

Proponujemy oto czytelnikom kilka fragmentów pierwszego tomu najnowszej powieści Zbigniewa Nienackiego „Dagome iudex", traktując je jako zapowiedź tomu drugiego, który „Odgłosy" będą drukować w całości już wkrótce.

„Dagome iudex" to swoistego rodzaju epos łączący w swojej fabule fantazję i historię, a właściwie zamierzchłą prehistorię życia plemiennego na obecnych ziemiach polskich. Nienacki próbuje po swojemu zrekonstruować obraz tamtych odległych czasów, i stworzyć nową mitologię początków polskości nad Wisłą. „Dagome iudex" to — z całym szacunkiem i dla Kraszewskiego, i dla Nienackiego — jakby współczesna wersja „Starej baśni".

Rys. Janusz Szymański-Glanc

Syn Bozy rozejrzał się po izbie. Nic nie wskazywało, aby mieszkał tu jakiś mężczyzna. Ale z izby prowadziły schody na górę. Może tam ktoś się ukrył? Nie wierzył, aby Astrid mieszkała samotnie. Miasto nie wydawało się dobrym miejscem dla samotnych kobiet.

— Gdzie jest twój mężczyzna? — zapytał.

— Żyję sama. Mówiłam ci, że jestem wdową. Brudzę sobie twarz, aby myślano, że jestem już stara i brzydka.

— I to są twoje czary — stwierdził drwiąco.

Zajrzał do miski z jedzeniem, nabrał kopiastą łyżkę i podał ją Astrid.

— Zjedz ty, zanim ja zacznę jeść. Nigdy nie biorę z ręki kobiet żadnego jedzenia, zanim ona sama go nie skosztuje.

— Nie jestem głodna.

— Rób co ci każę. Takie są obyczaje Spalów, z których pochodzę.

— Nie chcę.

— Zrób, bo cię uderzę — był głodny i narastała w nim złość.

Wzruszyła ramionami i zjadła łyżkę kaszy.

— Nigdy nie słyszałam o Spalach — oświadczyła. — Wyglądasz jak dziecko i jak dziecko nie masz imienia. Ale jesteś ostrożny i nieufny jakbyś przeżył sto lat.

W milczeniu obserwowała jak jadł. Nie siadła obok na ławie, ale wciąż stała nieruchomo przy płonącym ogniu i myślała o czymś pilnie.

— Weź — odsunął od siebie pustą miskę i łyżką wskazał jej stożek kufijskich monet. — To dla ciebie.

Zebrała monety i włożyła je do dwóch mieszków.

— Poznaję jeden z nich — powiedziała. — Miał go kupiec, który od Hurdy kupował jego niewolników. Zabiłeś Hurdę.

— Tak — skinął głową. — Zabijanie to moje czary.

— Jeśli zawiadomię o tym straż księcia Akuma, też stracisz życie.

— A te kufijskie monety? — zapytał. — Przecież nie żądam od ciebie wiele. Dasz mi mieszkanie, nauczysz języka i obyczajów. Mówiłaś mi, że od śmierci męża żyjesz w biedzie, musiałaś sprzedać niewolników, służbę. Od tej chwili staniesz się bogata.

Dotknęła dłonią piersi rysujących się pod lnianą koszulą.

— Czego jeszcze żądasz? — spytała.

Przecząco pokręcił głową.

— W tym mieście jest wiele kobiet. Widziałem je obnażone do pasa. Wabiły mnie swoim ciałem. Jeśli będę chciał kobiety, sprowadzisz mi którąś za jedną z tych monet.

— I niczego więcej nie żądasz nad jedzenie, mieszkanie i naukę języków a także obyczajów?

— Tak. Jeśli jest prawdą, że mieszkasz bez mężczyzny, mój miecz da ci obronę. Zabijam szybko i cicho. To jedno potrafię.

— Dobrze — skinęła głową.

Rozkazał, aby siadła na ławie po drugiej stronie stołu. Podsunął lampę aż pod jej twarz i polecił, aby spojrzała mu w oczy.

— Rozkazujesz mi jakbym była dzieckiem — powiedziała. — A ja mogłabym być twoją matką. Dlaczego chcesz patrzeć mi w oczy?

— Za mało masz lat, aby być moją matką. Masz piękne zielone oczy i cerę policzków tak delikatną, jak płatki kwiatów.

— Nie mów do mnie tak ładnie gdyż pomyślę, że mnie pożądasz.

Jedzenie napełniło go sytością. A wraz z nią odczuł ogromne zmęczenie.

— Czy nie widzisz, że jestem w łachmanach? — zapytał. — Chcę wypocząć. Daj mi czystą koszulę i wskaż miejsce do spania.

— To dom Ascomana — powiedziała. — Ascomanowie sypiają nago. Połóż się na ławie przy piecu. Tam jest skóra barania. Będzie ci pod nią ciepło. Jutro zrobię ci kąpiel i dam szaty po mężu. Długo tu szedłeś?

— Nie liczyłem dni i nocy. Ale było ich wiele.

Dorzuciła drew na ogień w piecu i wolno poszła po schodach na strych. Tam sypiała albo tym razem chciała tam spać. Nieomal po omacku znalazł ławę przy piecu i rozłożone na niej skóry baranie. Z ulgą zrzucił z siebie zarobaczone łachmany. Nie mył się i nie zdejmował ubrania przez wiele dni i nocy. Skóra na jego ciele aż łuszczyła się od brudu.

Położył na klepisku podłogi swoją kołczugę i tarczę. Ułożył łachmany na ławie. Nagi, tylko z Tyrfingiem i nożem w dłoniach, narzuciwszy na siebie skórę baranią, skrył się w najciemniejszym kącie izby. Usiadł tam i przymknął powieki. Rękojeść noża wsparł na kolanach ostrzem do góry. Gdyby zasnął i głowa mu opadła, ostrze noża powinno ukłuć go w brodę. Bał się snu, ponieważ wydało mu się, że w oczach Astrid odkrył fałsz. Miał świadomość, że posiada nadludzką siłę, ponieważ płynie w nim krew olbrzymów. Ale jak go ostrzegała Zely i nauczyło doświadczenie, Leśny Człowiek był silniejszy od niego i uratował mu życie tylko Tyrfing. Nawet cudowny Tyrfing okazywał się bezskuteczny, gdy ten, kto go trzymał w ręku poddał się ludzkiej słabości — potrzebie snu. Śpiącemu zwycięzcy ukradł Tyrfinga Odoaker — tego uczyła pieśń Zely.

Był tylko młodzieńcem zmęczonym długą drogą i bezsennością; ciepło pieca i spokój mrocznej izby odbierały resztki sił i oddawały ciało na łup snu. Coś jednak wciąż nakazywało czujność i broniło ciało przed słabością. Jakaś dziwna gorączka, która go zaczęła trawić podczas pogoni za wojownikami Hurdy — żądza czynów, niezaspokojone niczym pragnienie działania. Czuł w sobie ową gorączkę i to ona od czasu do czasu jak dreszczem wstrząsała jego ciałem i odpędzała sen i słabość.

Trzy razy ostrze noża boleśnie ukuło go w brodę. Za trzecim razem podniósł ociężałe powieki i zobaczył schodzącą Astrid. Była zupełnie naga, z rozpuszczonymi włosami i długim nożem w prawej dłoni. Blask ognia na piecu i steatytowa lampa słabo rozświetlały izbę, ale biel ciała tej kobiety wyraźnie rysowała się w mroku, a na ostrzu noża kilkakrotnie jak czerwona iskra zapełgało odbicie żaru od pieca. Patrzył jak bezszelestnie zbliża się do miejsca, gdzie miał spać. I równie bezszelestnie podniósł się ze swego kąta i stanął za jej plecami.

— Dlaczego chcesz mnie zabić? — zapytał. — Przecież nie uczyniłem ci nic złego?

Drgnęła przerażona tym głosem i obróciła się do niego, a on bez wysiłku wyjął z jej palców nóż o długim ostrzu.

Nie powiedziała ani słowa, w mroku nie widział wyrazu jej oczu. Stali naprzeciw siebie obydwoje zupełnie nadzy — ona o białej skórze, małych dziewczęcych piersiach i smukłych udach, z okrągłymi ramionami, na których leżały włosy. Zaciśnięte wargi mówiły o nienawiści i lęku. On też był nagi, o skórze szarej od brudu i o długich niemal białych włosach. Tylko przez krótką chwilę miał ochotę ją zabić, odciąć głowę Tyrfingiem. Jej twarz wydawała mu się zbyt piękną, aby miał ją zeszpecić grymas śmierci. Nigdy tak naprawdę nie miał kobiety, a tyle się ich dzisiaj napatrzył. Jej lęk wzmógł w nim pożą-

[redacted]

A on, zaspokojony, po raz pierwszy spełniwszy się z kobietą, z pogardą patrzył na swojego wciąż sterczącego członka lśniącego od jej wydzielin. Zaspokojenie pożądania dało mu ulgę, ale przecież do tej kobiety czuł wstręt. Jej pochwa wydzielała obrzydliwy rybi zapach, gdy Zely pachniała zawsze olejkiem sosnowym. Jej skóra miała nieprzyjemny w smaku słony smak, a skóra Zely smakowała igliwiem jałowca i rumiankiem. A więc nie wszystkie kobiety były takie jak Zely?

Astrid dygocąc całym ciałem wczołgała się na posłanie i legła na nim jak martwa, nieruchomym wzrokiem patrząc w ciemność pod sufitem izby. Legł obok niej i objął ją ramieniem, aby — jeśli on zaśnie — nie mogła odejść i znowu wrócić z nożem. Lecz ona chyba nawet o tym nie myślała.

— Siedem lat żyłam ze swoim mężem — szepnęła — ale nigdy nie przeżyłam rozkoszy. To strach przed śmiercią i nienawiść do ciebie dały mi ją.

Nie umiał wyjaśnić tej sprawy. Pomyślał tylko, że nie wszystkie kobiety przypominają Zely, są zapewne różne jak różne bywają kwiaty na łące. Ale chyba wszystkie jeden tylko sposób znają na mężczyznę — gdy kochają i nienawidzą, gdy odczuwają wdzięczność lub ogromny strach. W każdej trudnej sytuacji wypinają mężczyźnie swój obnażony zad.

Mówiła mu kiedyś Zely, że kobieta może oddać się mężczyźnie nie odczuwając żadnego pożądania. Niekiedy nienawiść, jaką nosiła w sobie wobec mężczyzny, mogła wzmóc jej rozkosz. To wszystko sprawiało, że kobiecie nigdy nie należało ufać; ani gdy się oddawała bez rozkoszy ani gdy oddając się — przeżywała rozkosz.

ROZDZIAŁ VII
ZYFIK

Przez dwa dni wolno i ostrożnie posuwali się przez rozległą krainę bagien i moczarów, jakie tworzyła rzeka, którą miejscowi ludzie nazywali Notecz. Sama rzeka nie była wielka, niekiedy jednak rozgałęziała się na dziesiątki małych rzeczułek i strumieni; wiosną i jesienią zalewała rozległe równiny, które nawet w upalne miesiące pozostawały wciąż podmokłe. Cała ta kraina zdawała się tworzyć jedną wielką pułapkę na człowieka — rozległe łąki porośnięte wysoką trawą po pas uginały się pod kopytami i dochodziło spod nich złowieszcze bulgotanie czarnego błota. Krzaki łozy rosły na cieniutkiej warstwie ziemi, zakrywając głęboką czeluść smrodliwej mazi. Tu i ówdzie zaciągnięte kożuchem rzęsy stały nieruchomo połacie ogromnych rozlewisk z cuchnącą wodą i rojącymi się nad nimi chmurami komarów. Nocami na moczarach płonęły małe ogniki wabiące ku sobie ciekawych lub przerażające tych, którzy mieli na sumieniu jakąś nieprawość. Herim raz po raz żegnał się znakiem krzyża, twierdząc, że to piekielnym ogniem płoną dusze ludzkie, ale Dagon, ponieważ pochodził z krainy Spalów, tak samo pełnej bagien i moczarów, tylko uśmiechał się ironicznie i zasypiał spokojnie. Gdyby nie Dagon i jego znajomość podobnych ziem przenigdy nie przebyliby. Noteczi, po stokroć pochłonęłaby ich czarna przepaść pod zielenią traw i krzaków. Nieomylnie jednak Dagon wiódł swojego Vindosa, omijając łąki i zarośla pełne zdrady. Jakiś cudowny instynkt (tak to nazywał Herim) kazał mu kierować konia po gruncie twardym, choć tak samo wyglądającym jak mokradła. On zawsze zdołał ominąć rozlewiska śmierdzącej wody, znajdował suche groble, choć niekiedy musieli nadkładać drogi zanim odrobinę posunęli się do przodu.

— Teraz wiem już, dlaczego Popiołowłosi i ich państwo nigdy dotąd nie weszli do historii — powiedział Dagon. — Ten kraj bronią bagna od niespokojnych i ruchliwych ludów północy. Żyje się tu bezpiecznie jak gdyby za Wielkimi Murami. A jednak rzeki, Herimie, nie powinny ludzi dzielić, ale łączyć. Tą rzeką popłyniemy kiedyś, aby wziąć we władzę Ludzi Wolnych i Pyrysjan, a także ludzi Północy. Cóż bowiem jest wart kraj bez owego bezmiaru wód, który zowią oceanem? Jest jak człowiek, który chodzi na jednej nodze.

— Nigdy nie widziałem oceanu — wyznał Herim. — Uczono mnie, że od oceanu przychodzi wszelkie zło: Normanowie, Jutowie, Anglowie, Ascomannowie.

— Ocean daje także bogactwo, Herimie. I siłę. Dlatego silne są ludy zamieszkujące nad morzami.

— Roma jest blisko morza, ale nad morzem nie leży. A czy jest coś potężniejszego od Romy?

— Nie wiesz o Nowej Romie za Wielkimi Murami? Kto widział miasto Byzisa, tego nigdy nie zachwycą miasta Franków. Słyszałem też wiele o przedziwnej urodzie miast Omajadów i Abbasydów, ludów, które nazywają siebie „uległymi". Czas też obudzić śpiącego olbrzyma, on stworzy rzeczy wspaniałe.

Po chwili dodał:

— Czy wiesz co naprawdę myślę o starej Romie, jej papieżu i jej ludzie? Leżałem w tym mieście chory, ale przecież zetknąłem się z wieloma zamieszkującymi ją ludźmi. Nigdy nie spotkałem ludzi tak pełnych zarozumialstwa i pychy, myślących tylko o sobie, że są dziedzicami wielkiej przeszłości, starodawnymi Rhomajami. W rzeczywistości zaś to bękarci Wandalów i Longobardów, Hunów i Gotów. Mówią w swym okropnym języku zwanym ladina, nie mając pojęcia o cudownej i dźwięcznej mowie Greków. Wielkość kryje się jedynie w Nowej Romie. I uczynimy wielkim i wspaniałym śpiącego olbrzyma.

Herim nie odezwał się. Gdzie byli owi śpiący olbrzymi, skoro już dwa dni przechodzili przez niemal bezludną krainę bagien i moczarów? Przebyli wiele rzeczułek i strumieni, może nawet i ową Notecz, wciąż jednak przegradzały im drogę rzeki i rozlewiska błota. Czy rzeczywiście gdzieś dalej było państwo Lendiców i król Popiołowłosy a także kraj Spalów, dokąd tak uparcie dążył Dagon. A jeśli Dagon się pomylił? Przecież uczono Herima, że na Wschodzie żyją Androfagowie, pożerający ludzkie mięso, łysogłowi Agrypajowie i na czarno ubrani Melenchlajnowie, ludy dzikie i barbarzyńskie, nie wybierające władców i nie tworzące żadnych, nawet swoich praw. Stare księgi nie mówiły o Lendicach i królach Popiołowłosych, ani też o krainie Spalów. Co będzie jeśli trafią na śpiącego olbrzyma, obudzą go, a on chwyci ich w swoje palce i zdusi jak małe robaki? A może historia czynila słusznie każąc spać olbrzymom na Wschodzie. Kto wie, czy owe bagna, przez które przechodzili, nie doprowadzą ich do wspomnianego w historii wielkiego jeziora, skąd wypływa jeszcze inna rzeka zwana Hypanis, o dookoła jeziora biegają dzikie konie podobne do Vindosa? Wedle ksiąg to właśnie jezioro miało odgradzać kraj Scytów i Neurów, ludzi, co roku zmieniających się w wilki.

Herim nagle wstrzymał konia.

— Zawróćmy, panie — powiedział błagalnie. — Zawróćmy do Kraju Wolnych Ludzi, gdzie nadano ci tytuł Piastuna. Lękam się olbrzymów, o których mówisz, że śpią za bagnami.

Dagon położył dłoń na rękojeści miecza. Usta miał zaciśnięte i Herim pojął, że za chwilę jego głowa upadnie w błoto, które miesiły kopyta ich koni.

— Wiedziałem, że drogę do kraju Spalów zagrodzą mi puszcze i rzeki, ogromne moczary i będę słyszał wołania, abym zawrócił. Ale sądziłem, że będą to słodkie głosy nagich kobiet, a nie twój, nędzny skrybo.

Zdawało się Herimowi, że po raz ostatni patrzy w zachodzące słońce, przestał odczuwać ból od ukłuć komarów, które oblepiły mu twarz, a także obsiadły sierść koni.

— Daruj mi, panie — zawołał błagalnie.

I być może — nigdy Herim nie był tego pewien — zostałby zabity, gdyby nie jakiś rozpaczliwy głos zajął uwagę Dagona. Ktoś wołał o pomoc z niedalekiej kępy krzaków wierzbowych porastających moczar pokryty rzęsą. To było wołanie w języku Spalów i przeszyło serce Dagona zarazem bólem i radością. Uderzył konia ostrogą, ale za chwilę już go powstrzymał, ponieważ każdy krok w tym miejscu groził śmiercią w czeluści błota.

Zeskoczył więc z siodła i prowadząc Vindosa za uzdę, ostrożnie skierował się ku krzakom wierzby. Wreszcie stanął, gdyż ziemia pod jego nogami zdawała się drgać i zapadać. O pięć kroków dalej zobaczył wojownika z koniem, który tkwił aż po brzuch zanurzony w topieli. Koń chrapał straszliwie, gdyż każdy jego ruch powodował, że zapadał się coraz głębiej. Wojownik zaś miał na sobie pancerz i na plecach tarczę, które krępowały jego ruchy. Bał się, że gdyż zeskoczy z konia, również zapadnie się w błoto.

— Panie, ratuj mnie — poprosił cienkim młodzieńczym głosem.

Twarz miał opuchniętą od ukąszeń komarów, jego pancerz ze srebrnych łusek błyszczał krwawo w zachodzącym słońcu. Połyskiwał też czerwono kopulasty hełm na głowie, srebrem pokryty i zakrywający nos.

C.D.N.